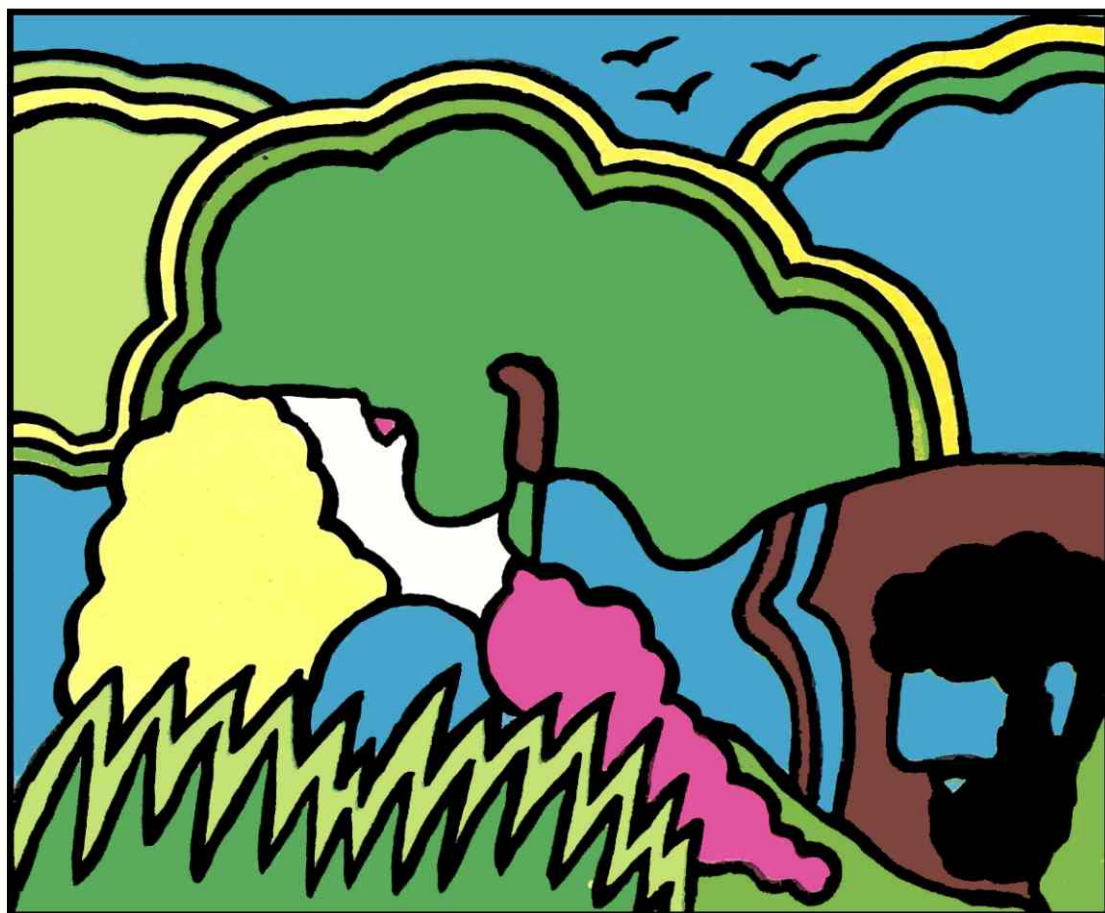


ANTONI CZECHOW

KIK **DRAMAT**
NA POLOWANIU



**ANTONI
CZECZOW**

**DRAMAT
NA POLOWANIU**

Z NOTATEK SĘDZIEGO ŚLEDZIEGO

Przełożył René Śliwowski



Państwowy Instytut Wydawniczy 1985

Pewnego kwietniowego południa roku 1880 do mego gabinetu wszedł woźny Andrzej i tajemniczym głosem zaanonsował, że do redakcji zgłosił się jakiś jegomość i usilnie prosi o widzenie z redaktorem.

– Chyba urzędnik – dodał Andrzej – ma czapkę z bączkiem...

– Poproś, żeby przyszedł kiedy indziej – odrzekłem. – Dzisiaj jestem zajęty. Powiedz, że redaktor przyjmuje wyłącznie w soboty.

– Już trzeci raz przychodzi, o pana pyta. Mówi, że ważna sprawa. Prosi i prawie płacze. W sobotę, mówi, że w żaden sposób nie może... Wpuścić?

Westchnąłem, odłożyłem pióro i jąłem czekać na jegomościa z bączkiem. Debiutujący pisarze i w ogóle ludzie niewtajemniczeni w arkana redakcyjne, doznający na dźwięk słowa „redakcja” mistycznych palpacji, długo każą na siebie czekać. Po redaktorskim „proś” długo odkasłują, długo wycierają sobie nos, powoli otwierają drzwi, jeszcze wolniej wchodzą i zabierają tym samym niemało czasu. Jegomość z odznaką zaś nie kazał na siebie długo czekać. Nie zdążyły się zamknąć drzwi za Andrzejem, jak ujrzałem w swym gabinecie wysokiego barczystego mężczyznę, trzymającego w jednej ręce zwitek papierów, w drugiej zaś – czapkę z bączkiem.

Jegomość, który tak dobijał się widzenia ze mną, odgrywa w mej powieści nader ważną rolę. Należałoby więc opisać jego powierzchowność.

Jak już powiedziałem, jest wysoki, barczysty i tęgi jak dobry koń pociągowy. Cała jego postać tchnie zdrowiem i krzepą. Twarz rumiana, duże ręce, pierś szeroka, muskularna, włosy gęste jak u zdrowego chłopca. Wygląda na czterdziestkę. Ubrany jest gustownie w świeżo skrojony według ostatniej mody garnitur z kortu. Na jego piersi widnieje gruba dewizka z brelokiem, na małym palcu mieni się drobnymi jaskrawymi gwiazdeczkami brylantowy pierścień. I, rzecz najważniejsza i niebagatelna dla względnie przyzwoitego bohatera powieści czy dłuższego opowiadania, jest niezwykle przystojny. Nie jestem kobietą ani artystą. Nie znam się na męskiej urodzie, ale wygląd jegomościa z bączkiem zrobił na mnie wrażenie. Jego duża, mięsista twarz pozostała na zawsze w mej pamięci. Miał istic grecki nos z garbkiem, cienkie wargi i łagodne niebieskie oczy, z których promieniowała dobroć i coś jeszcze, co z trudem poddaje się trafnemu określeniu. To „coś” można dostrzec w oczach małych zwierzątek, gdy tęsknią lub gdy coś je boli. Coś błagalnego, dziecięcego, pokornie cierpiącego... Ludzie przebiegli i bardzo mądrzy nie mają takich oczu.

Słowem, z całej twarzy tchnie prostota, szeroka, nieskomplikowana natura, szczerłość... Jeśli rzeczywiście twarz jest zwierciadłem duszy, to od pierwszego dnia

spotkania z jegomościem z bączkiem mógłbym dać słowo honoru, że nie potrafi on kłamać. Mógłbym się nawet założyć.

Czy wygrałbym zakład, czy nie – czytelnik przekona się w dalszym ciągu opowieści. Kasztanowate włosy i broda są miękkie jak jedwab. Podobno miękkie włosy są oznaką łagodnej, subtelnej duszy... Zbrodniarze i źli, uparci ludzie mają z reguły włosy szorstkie. Czy to prawda, czy nie – czytelnik również się o tym przekona... Lecz ani wyraz twarzy, ani broda – nic nie jest tak miękkie i delikatne w jegomościu z bączkiem, jak ruchy jego wielkiego, masywnego ciała. Z ruchów tych przebija dobre wychowanie, lekkość, gracia, a nawet – przepraszam za wyrażenie – pewna kobiecość. Niewiele wysiłku mój bohater włożyć musi w wygięcie podkowy lub zgniecenie w rękę pudełka sardynek, a przecież ani jeden jego ruch nie zdradza siły fizycznej. Klamkę u drzwi lub kapelusz ujmuje niczym motyla: delikatnie, ostrożnie, lekko dotykając palcami. Kroki ma bezszelestne, uścisk dłoni słaby. Patrząc na niego zapomina się, że jest silny jak Goliat, że jedną ręką może podnieść to, czego nie byłoby w stanie podnieść pięciu redakcyjnych Andrzejów. Patrząc na jego lekkie ruchy trudno uwierzyć, że jest silny i ciężki. Spencer mógłby go poczytywać za ideał gracji.

Wchodząc do mego gabinetu zmieszał się, jego delikatną, subtelną naturę spieszyła moja naburmuszona, niezadowolona mina.

– Niech mi pan daruje, na litość boską! – rzekł swym miękkim, soczystym barytonem. – Wtargnąłem do pana w nieodpowiedniej chwili i zmuszam pana, by zrobił dla mnie wyjątek. Pan jest tak zajęty! Ale widzi pan, chodzi o to, panie redaktorze, że wyjeżdżam jutro do Odessy w nader ważnej sprawie... Gdybym mógł odłożyć ten wyjazd do soboty, to, proszę mi wierzyć, nie prosiłbym pana o zrobienie dla mnie wyjątku. Szanuję przepisy, bo sam lubię porządek...

„Cóż to za gaduła!” – pomyślałem sięgając po pióro i dając mu tym samym do zrozumienia, że nie mam czasu. (Miałem już wtedy serdecznie dość interesantów!)

– Zajmę panu jedną tylko minutkę! – ciągnął mój bohater przepraszającym tonem. – Ale pozwoli pan, że się najprzód przedstawię... Kandydat nauk prawnych Iwan Pietrowicz Kamyszew, sędzia śledczy... Do ludzi piszących nie mam zaszczytu się zaliczać, niemniej jednak przybyłem do pana z intencjami czysto pisarskimi. Stoi przed panem kandydat na debiutanta mimo jego wieku – bez mała czterdziestki. Ale lepiej późno niż wcale.

– Bardzo mi przyjemnie... Czym mogę służyć?

Kandydat na debiutanta usiadł i ciągnął dalej patrząc w podłogę swym błagalnym wzrokiem.

– Przyniosłem panu małą opowieść, którą pragnąłbym wydrukować w pańskiej gazecie. Wyznam otwarcie, panie redaktorze: opowieść swą napisałem nie dla sławy autorskiej i jej słodyczy... Jestem już na to za stary. Obrąłem drogę pisarską z pobudek

czysto utylitarnych... Zależy mi na zarobku... Nie mam w chwili obecnej absolutnie żadnych zajęć. Byłem, widzi pan, sędzią śledczym w powiecie N-skim przez z górą pięć lat, ale ani kapitału się nie dorobiłem, ani niewinności nie zdołałem zachować...

Kamyszew spojrzał na mnie swymi dobrymi oczyma i zaśmiał się.

– Obrzydła mi służba... Służyłem, służyłem, w końcu machnąłem ręką i rzuciłem. Nie mam teraz żadnych zajęć, na życie ledwo mi starcza... Gdyby pan, mimo wszystko, wydrukował moją opowieść, byłbym panu więcej niż zobowiązany... Niech mi pan wyświadczy tę przysługę... Gazeta to nie instytucja filantropijna ani przytułek dla starców... Rozumiem to dobrze... ale... niech pan nie odmawia...

„Łżesz!” – pomyślałem.

Breloki i pierścień na małym palcu nie pasowały jakoś do pisania dla kawałka chleba, zresztą po twarzy Kamyszewa przemknęła ledwie zauważalna, dostrzegalna tylko dla doświadczonego oka chmurka, którą ujrzeć można na obliczach rzadko kłamiących ludzi.

– Co jest tematem pańskiej opowieści? – zapytałem.

– Temat... Jakby panu powiedzieć? Temat nienowy... Miłość, zabójstwo... Przeczyta pan, to pan zobaczy... Z notatek sędziego śledczego...

Musiałem się skrzywić, gdyż Kamyszew zmieszał się, po czym mrugając oczami zaczął szybko mówić:

– Opowieść moja napisana jest tak, jak piszą wszyscy sędziowie śledczy, ale... odnajdzie pan w niej rzeczywistość, prawdę... Wszystko, co w niej zostało przedstawione, wszystko od a do zet, działo się na moich oczach... Byłem świadkiem, a nawet uczestnikiem tych wydarzeń.

– Nie chodzi o prawdę... Niekoniecznie trzeba widzieć, żeby opisać... To nieważne. Chodzi o to, że nasza nieszczęsna publiczność dawno zaspokoili swój apetyt i już ją mdli od Gaboriau i Szklariewskiego. Obrzydły jej te wszystkie zagadkowe morderstwa, szatański spryt detektywów i niezwykła bystrość sędziów śledczych. Publiczność bywa oczywiście różna, ale mówię o czytelnikach mojej gazety. Jaki tytuł nosi pańska opowieść?

– *Dramat na polowaniu.*

– Hm... Trochę niepoważne, proszę pana... Zresztą, prawdę mówiąc, nzebierała mi się taka masa materiału, że stanowczo nie mogę przyjmować nowych tekstów, choćby były nie wiem jak dobre.

– Ale mój niech pan przyjmie, bardzo proszę... Powiada pan, że to niepoważne, ale... trudno przecież sądzić o utworze nie przeczytawszy go... I czyż nie może pan założyć, że i sędziowie śledczy, potrafią pisać poważnie?

Kamyszew wymówił to wszystko jękając się, kręcąc ołówek w palcach, ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Był bardzo speszony i mrugał oczami. Zrobiło mi się go żal.

– Dobrze, niech pan zostawi – powiedziałem. – Ale nie obiecuję panu, że pańska powieść zostanie szybko przeczytana. Będzie pan musiał poczekać...

– Czy długo?

– Nie wiem... Proszę przyjść za... dwa, trzy miesiące...

– Trochę długo... Ale nie śmiem nalegać... Niech i tak będzie...

Kamyszew wstał i sięgnął po czapkę.

– Dziękuję za audiencję – rzekł. – Wrócę teraz do domu i będę żyć nadzieją. Trzy miesiące nadziei! Widzę jednak, że się panu naprzykrzam. Moje uszanowanie.

– Pozwoli pan, jedno słowo – powiedziałem kartkując jego gruby, zapisany drobnym pismem zeszyt. – Pisze tu pan w pierwszej osobie... A więc ten sędzia śledczy to ma być pan?

– Tak, ale pod innym nazwiskiem. Rola, jaką odgrywam w tej powieści, jest nieco skandaliczna... Nie wypada wszak pod własnym nazwiskiem... A więc za trzy miesiące?

– Chyba tak, nie wcześniej...

– No to do widzenia!

Eks-sędzia śledczy szarmancko się uklonił, ostrożnie ujął klamkę i zniknął za drzwiami zostawiwszy swój utwór na moim stole. Wziąłem kajet i schowałem do szuflady.

Opowieść pięknego Kamyszewa przeleżała tam ze dwa miesiące. Pewnego razu, jadąc z redakcji na letnisko, przypomniałem sobie o niej i zabrałem ze sobą.

Siedząc w wagonie otworzyłem zeszyt i zacząłem czytać od środka. Środek zainteresował mnie. Tegoż dnia wieczorem, mimo braku czasu, przeczytałem całą powieść od początku do zamasyście skreślonego słowa „Koniec”. W nocy przeczytałem ją raz jeszcze, a nad ranem chodziłem z kąta w kąt po werandzie trąc skronie, jakbym chciał wymazać z głowy nową, nagle napływającą, dręczącą myśl... A myśl była zaiste dręcząca, nieznośnie natarczywa... Zdawało mi się, że choć nie jestem sędzią śledczym, a tym bardziej biegłym psychiatrą, odkryłem straszną tajemnicę pewnego człowieka, tajemnicę, która mnie właściwie nie obchodzi... Chodziłem po werandzie i przekonywałem sam siebie, że nie należy dawać wiary temu odkryciu...

Opowieść Kamyszewa nie trafiła do mojej gazety z powodów, które wyłuszczam na samym końcu mej rozmowy z czytelnikiem. Z czytelnikiem spotkam się raz jeszcze. Teraz zaś, rozstając się z nim na długo, zachęcam go do przeczytania opowieści Kamyszewa.

Opowieść ta nie wyróżnia się niczym szczególnym. Wiele w niej dłużyzn, sporo chropowatości... Autor ma słabość do mocnych efektów i frapujących wyrażeń... Widać, że pisze pierwszy raz w życiu, ręką nienawykłą, niewyrobioną... A mimo to opowieść czyta się lekko. Posiada fabułę, myśl także i, co najważniejsze, jest oryginalna, nader charakterystyczna, jest tym, co się zwie *sui generis*. Odznacza się też pewnymi walorami literackimi. Warto ją przeczytać... Oto ona:

DRAMAT NA POLOWANIU

(Z notatek sędziego śledczego)

– Mąż zabił swoją żonę! Ach, jakież pan głupi! Proszę mi wreszcie podać cukier!

Krzyk ten obudził mnie. Przeciągnąłem się i poczułem we wszystkich członkach jakąś ociężałość, słabość... Można odleżeć sobie rękę i nogę, ale tym razem wydawało mi się, że odleżałem sobie całe ciało od stóp do głów. Nie krzepiąco, lecz osłabiająco działał poobiedni sen w dusznej, suchej atmosferze, wśród brzęku much i komarów. Rozbity i zlany potem wstałem i podszedłem do okna. Była szósta wieczorem. Słońce stało jeszcze wysoko i paliło z tą samą siłą co trzy godziny temu. Do zachodu i chłodu pozostawało jeszcze dużo czasu.

– Mąż zabił swoją żonę!

– Przestałbyś fantazjować, Iwanie Diemianyczu! – powiedziałem, lekko pstrykając Iwana Diemianycza w nos. – Mężowie zabijają swoje żony tylko w powieściach i pod zwrotnikami, gdzie wrą afrykańskie namiętności, mój kochany. My musimy się zadowolić takimi okropnościami, jak kradzieże z włamaniem albo ukrywanie się przed policją z cudzym paszportem.

– Kradzieże z włamaniem... – wycedził przez swój haczykowaty nos Iwan Diemianycz. – Ach, jakież pan głupi!

– Ale cóż robić, mój kochany? Alboż to nasza, ludzi, wina, że mózg nasz ma swoje granice? Zresztą, Iwanie Diemianyczu, to żaden grzech być głupcem przy takiej temperaturze. Z ciebie na przykład wielki mądrala, ale i tobie mózg się rozmiękczył i stępsiał od tego upału.

Papuga moja zwie się nie byle jak, lecz Iwan Diemianycz. Imię to otrzymała zupełnie przypadkowo. Pewnego razu służący mój Polikarp, czyszcząc jej klatkę, zrobił nagle odkrycie, bez którego mój szlachetny ptak nie zostałby Iwanem Diemianyczem... Leniucha raptem ni stąd ni zowąd olśniła myśl, że dziób mej papugi podobny jest do nosa naszego wiejskiego sklepikarza Iwana Diemianycza, i od tej chwili papuga została na zawsze obdarzona imieniem i patronimikiem długowłosego sklepikarza. Za sprawą Polikarpa cała wieś przechrzciała osobliwego ptaka na Iwana Diemianycza. Z woli Polikarpa ptak znalazł się wśród ludzi, a sklepikarz utracił swe właściwe nazwisko i do końca swych dni figurować będzie w ustach wioski jako „papuga sędziego śledczego”.

Iwana Diemianycza kupiłem od matki mojego poprzednika, sędziego Pospiewłowa, zmarłego na krótko przed moją nominacją. Kupiłem go wraz ze starymi dębowymi

meblami, rupieciami kuchennymi i całym w ogóle gospodarstwem, jakie zostało po nieboszczyku. Ściany mego mieszkania dotychczas zdobią fotografie jego krewnych, a nad moim łóżkiem wciąż jeszcze wisi portret samego gospodarza. Nieboszczyk, chudy, żylasty jegomość o rudych wąsach i wydatnej dolnej wardze, tkwi z wybałuszonymi oczyma w wyblakłej orzechowej ramie i ani na chwilę nie spuszcza ze mnie oczu, gdy sobie leżę na jego łóżku... Nie zdjęłem ze ścian ani jednego obrazka, krótko mówiąc zostawiłem mieszkanie takim, jakim je zastałem. Jestem zbyt leniwy na to, by się kłopotać o komfort i pozwalam wisieć na moich ścianach nie tylko nieboszczykom, ale nawet żyjącym, jeśli tylko tego sobie życzą*.

Iwanowi Diemianyczowi było tak samo duszno jak mnie. Stroszył pióra, rozpościerał skrzydła i głośno wykrzykiwał zdania, których się wyuczył od mego poprzednika Pospiełowa i Polikarpa. By rozproszyć jakoś poobiednią nudę, usiadłem przed klatką i jałem obserwować ruchy papugi usilnie szukającej i nie znajdującej wyjścia z tej męczarni, jakiej przysparzały jej zaduch i pasożyty gnieźdzące się w upierzeniu... Biedaczka miała wygląd bardzo nieszczęśliwy...

– A o której to raczy się budzić? – doleciał do mnie czyjś bas z przedpokoju...

– Jak kiedy! – odpowiedział Polikarp. – Czasami o piątej się obudzi, a czasem to i do rana chrapie... Wiadomo, nie ma co robić...

– A wyście jego kamerdyner?

– Służący. No, nie przeszkadzaj mi, cicho bądź... Nie widzisz, że czytam?

Zajrzałem do przedpokoju. Na wielkim czerwonym kufrze wylegiwał się mój Polikarp i, jak zwykle, czytał jakąś książkę. Utkwiwszy swe nigdy nie mrugające oczy w książce poruszał wargami i chmurzył się. Widać drażniła go obecność osoby obcej – wysokiego, brodatego chłopca stojącego przed kufrem i po żołniersku wyprostowanego jak struna. Polikarp przybrał niezadowolony wyraz twarzy i nie odrywając oczu od książki uniósł się z wolna.

– Czego chcesz? – zwróciłem się do chłopca.

– Ja od hrabiego, proszę wielmożnego pana. Pan hrabia kazał się kłaniać i prosił pana zara do siebie, ale to już...

– Czyżby hrabia przyjechał? – zdziwiłem się.

– Tak jest, wielmożny panie... Wczoraj w nocy raczył przyjechać... Oto list, proszę łaskawego pana...

* Czytelnicy zechcą wybaczyć mi podobne wyrażenia. Obfituje w nie opowieść nieszczęsnego Kamyszewa, i jeśli ich nie wykreśliłem, to tylko dlatego, że uznałem za stosowne, gwoli właściwej charakterystyki autora, wydrukować jego opowieść *in toto*. – A.Cz.

– Znow go diabli przynieśli! – odezwał się mój Pplikarp. – Dwa lataśmy spokojnie sobie bez niego żyli, a ten znowu cały powiat w chlewnię zamieni. Znowu się wstydu nałykamy.

– Milcz, nikt cię o zdanie nie pyta.

– A mnie nie trzeba pytać... Sam powiem. Znowu zacnie pan przyjeżdżać od niego niemożebnie schlany i kąpać się w jeziorze, jak pan stoi, w całym ubraniu... A ty, człowieku, potem czyść! Trzech dni nie starczy na to czyszczenie!

– Co hrabia teraz robi? – zapytałem chłopą.

– Do obiadu zasiąść raczył, kiedy mnie do wielmożnego pana posyłał... Rybki raczył łowić w basenie... Co wielmożny pan rozkaże odpowiedzieć?

Rozpieczętowałem list i przeczytałem, co następuje:

„Mój miły Lecoq! Jeżeliś jeszcze żyw, zdrów i cały i nie zapomniałeś o swoim pijaniusieńkim przyjacielu, to nie tracąc ani chwili wdziej szaty i mknij do mnie. Przyjechałem dopiero zeszłej nocy, a już umieram z nudów. Niecierpliwość, z jaką czekam na Ciebie, nie ma granic. Chciałem sam do Ciebie zawitać i zabrać Cię do swego legowiska, ale upał sparaliżował wszystkie moje członki. Nie ruszam się z miejsca i chłodzę się wachlarzem. Jak Ci się wiedzie? Jak się miewa Twój przemądry Iwan Diemianycz? Czy wciąż jeszcze wojujesz ze swym pedantem Polikarpem? Przyjeżdżaj jak najprędzej i opowiedz.

Twój A.K.”

Nie musiałem patrzeć na podpis, by w grubych literach brzydkiego charakteru pisma rozpoznać pijaną, rzadko piszącą rękę mego przyjaciela, hrabiego Aleksego Karniejewa. Zwięzłość listu, jego efektowna filuterność i swada świadczyły, że mój nie nazbyt rozgarnięty przyjaciel sporo podarł papieru listowego, zanim wysmażył tę epistołę.

W liście brakowało zaimka „który” i starannie pominięto w nim imiesłowy – jedno i drugie rzadko się hrabiemu udawało.

– Co wielmożny pan rozkaże odpowiedzieć? – powtórzył chłop.

Nie od razu odpowiedziałem na to pytanie, zresztą każdy szanujący się człowiek na moim miejscu zastanowiłby się. Hrabia lubił mnie i narzucał się ze swą przyjaźnią, ja zaś nie żywiłem względem niego żadnych serdecznych uczuć, a nawet nie lubiłem go; toteż uczciwiej byłoby wprost i raz na zawsze odrzucić jego przyjaźń, niżli jechać do niego i zachowywać się wobec niego obłudnie. W dodatku wizyta u niego równoznaczna była z rozpoczęciem na nowo życia, które mój Polikarp nazwał „chlewnią”, i które dwa lata

temu, przed odjazdem hrabiego do Petersburga, nadszarpnęło mój silny organizm i zdrowie i wyjąłowiło mózg. To chaotyczne, niesamowite życie, pełne najdziwniejszych pomysłów i pijackiej rozpusty, nie zdołało jeszcze mocno nadwerężyć mego organizmu, natomiast uczyniło mnie znanym w całej guberni... Stałem się popularny...

Rozsądek ujawniał najprawdziwszą prawdę, rumieniec wstydu za niedawną przeszłość oblewał całą mą twarz, serce ścisnęło się ze strachu na samą myśl, że nie starczy mi odwagi, by wyrzec się jazdy do hrabiego, ale moje wahania nie trwały długo. Zmagalem się ze sobą zaledwie krótką chwilę.

– Kłaniaj się hrabiemu – rzekłem do posłańca – i podziękuj za pamięć... Powiedz, że jestem zajęty i że... Powiedz, że ja...

I w tej samej chwili, kiedy miałem już wyrzec stanowcze „nie”, nagle owładnęło mną przygnębiające uczucie... Człowieka młodego, pełnego życia, sił i pragnień, rzuconego wolą losu do zapadłej wioski ogarnęło uczucie smutku, samotności...

Przypomniałem sobie ogród hrabiego z rozkosznym chłodem jego oranżerii i półmrokiem wąskich zapuszczonych alejek... Alejki te, ukryte gęstwą liści przed słońcem, osłonięte splątanymi gałęziami starych lip, dobrze mnie znają... Znają i kobiety, które szukały mej miłości i cienia... Przypomniał mi się piękny salon z rozkosznie rozleniwiającymi pluszowymi kanapami, ciężkimi kotarami i miękkimi jak puch dywanami, które tak lubią młocie, zdrowe zwierzęta... Przypomniały mi się wszystkie moje pijackie szaleństwa, pełne szatańskiej dumy i pogardy dla życia. I wielkie moje ciało, znużone snem, znów zapragnęło ruchu...

– Powiedz, że przyjadę!

Chłop uklonił się i wyszedł.

– Gdybym wiedział, tobym go nie wpuścił! – warknął Polikarp, szybko i bezmyślnie kartkując książkę.

– Rzuć książkę i idź osiodłać Zorkę! – rzekłem surowym tonem. – Tylko prędzej!

– Pędzej... A jużci, niezawodnie... Już pędzę... Żeby to jeszcze w interesie jakim, a to przecież jedzie diabłu rogów utrzcć.

Było to powiedziane półszepem, ale tak, bym dosłyszał. Lokaj, wyszeptawszy te impertynencje, wyprężył się z pogardliwym uśmieszkiem, czekając na moją reakcję, ale udałem, że nic nie słyszę. Milczenie jest najlepszą i najskuteczniejszą bronią w starciach z Polikarpem. To wzgardliwe puszczenie mimo uszu jego zuchwałych i zjadliwych słów rozbraja go i pozbawia gruntu pod nogami. Jest dotkliwszą karą niżli cios w kark lub stek wyzwisk... Kiedy Polikarp wyszedł na dwór osiodłać Zorkę, zajrzałem do książki, którą przeszkodziłem mu czytać... Był to Hrabia *Monte Christo*, okropna powieść Dumasa... Mój kulturalny dureń czyta wszystko od szyldów szynkowych do Augusta Comte'a leżącego w moim kufrze z innymi nie czytanyymi przeze mnie, zapomnianymi książkami,

lecz spośród wszystkiego, co zostało napisane i wydrukowane, uznaje tylko romanse z „wyższych sfer” z truciznami i podziemnymi przejściami, resztę poczytuje za „bzdurę”. O jego lekturach wypadnie jeszcze kiedyś porozmawiać, a teraz – w drogę!

W kwadrans później kopyta mojej Zorki wzniecały już kurz na drodze prowadzącej ze wsi do dworu hrabiiego. Słońce zbliżało się już ku zachodowi, ale upał i duchota wciąż dawały o sobie znać... Rozpalone powietrze było nieruchome i suche mimo, że droga moja biegła brzegiem ogromnego jeziora... Z prawej strony rozpościerała się masa wodna, z lewej cieszyło oczy młode, wiosenne listowie dębowego lasu, a tymczasem policzki płonęły mi jak na pustyni.

„Będzie burza!” – pomyślałem marząc o porządnej, zimnej ulewie...

Jezioro cicho spało. Nie powitało mnie ani jednym dźwiękiem, jedynie pisk młodej kurki wodnej naruszał grobowe milczenie znieruchomiałego olbrzyma. Słońce przeglądało się w nim jak w wielkim zwierciadle i oślepiającym światłem zalewało całą jego powierzchnię od drogi do dalekiego brzegu. Oślepiionym oczom zdawało się, że cała przyroda czerpie swoje światło nie od słońca, lecz od jeziora.

Od skwaru zamarło również bujne życie jeziora z jego zielonymi brzegami... Pochowało się ptactwo, nie pluskały się ryby, cicho czekały na ochłodę pasikoniki i świerszcze. Dokoła była pustka. Jedynie z rzadka wpadałem w gęstą chmurę nadbrzeżnych komarów, a w dali na jeziorze kołysały się trzy czarne łódeczki starego Michieja, naszego Rybaka dzierzawiącego całe jezioro.

Jechałem nie po linii prostej, lecz po łuku, jaki tworzył brzeg okrągłego jeziora. Po linii prostej można płynąć tylko łodzią, jadący zaś lądem robią duży krąg i nakładają około ośmiu wiorst. Przez cały czas jazdy widziałem przeciwległy gliniasty brzeg, nad którym bieleło pasemko kwitnącego czereśniowego sadu, spoza czereśni widniała hrabiowska stodoła, którą obsiadły różnobarwne gołębie, i bieleła mała dzwonnica hrabiowskiej cerkwi. Na gliniastym brzegu znajdował się domek kąpielowy obity żaglowym płótnem, na barierach suszyły się prześcieradła. Widziałem to wszystko, oczom moim zdawało się, że dzieli mnie od mego przyjaciela-hrabiiego zaledwie wiorsta, a tymczasem, by dotrzeć do hrabiowskiego dworu musiałem jeszcze pokonać szesnaście wiorst.

Po drodze myślałem o moich dziwnych stosunkach z hrabią. Powiniennem sobie zdać z nich dokładnie sprawę, lecz – niestety! – wydawało mi się to zadaniem ponad siły. Ilekroć o tym myślałem, cokolwiek postanawiałem, w końcu zawsze dochodziłem do wniosku, że słabo znam siebie i ludzi w ogóle. Ci, którzy znali mnie i hrabiiego, różnie komentowali nasze wzajemne stosunki. Zakute łby nie widzące dalej swego nosa lubią utrzymywać, że sławetny hrabia widział w „biednym i niepozornym sędzim śledczym” pachółka i kompana od kieliszka. Kreślący te słowa, ich zdaniem, płaszczył się i poniżał przed hrabią dla nędznych okruchów i ogryzków, które ten mu dawał ze swego pańskiego stołu! W ich mniemaniu sławny bogacz, postrach i obiekt zawiści całego N-skiego

powiatu, był bardzo mądry i liberalny; w przeciwnym wypadku trudno byłoby pojąć jego łaskawe względy i przyjaźń, jaką obdarzał ubogiego sędziego śledczego oraz ów szczyry liberalizm, który znieczulił hrabiego na to, że go tykam. Ludzie zaś mądrzy tłumaczyli bliskie nasze stosunki wspólnotą potrzeb duchowych. Ja i hrabia jesteśmy rówieśnikami. Obaj ukończyliśmy ten sam wydział na jednym i tym samym uniwersytecie, obaj jesteśmy prawnikami i obaj bardzo niewiele wiemy; ja coś niecoś jeszcze pamiętam, hrabia zaś zapomniał i utopił w alkoholu wszystko, co kiedyś wiedział. Obaj jesteśmy zarozumiali i obaj z sobie tylko znanych powodów niczym dzikusy unikamy towarzystwa. Obaj nie dbamy o opinię publiczną (tzn. N-skiego powiatu), obaj jesteśmy amoralni i obaj źle skończymy. Takie oto łączą nas „potrzeby duchowe”. Nic ponadto nie potrafią powiedzieć o tych stosunkach znający nas ludzie.

Powiedzieliby oczywiście więcej, gdyby wiedzieli, jak słabym i uległym charakterem obdarzony jest hrabia i jak silny i krzepki jestem ja. Wiele by mogli powiedzieć, gdyby wiedzieli, jak lubił mnie ten płytki człowiek i jak ja go nie lubiłem! On pierwszy zaproponował mi swą przyjaźń, i ja pierwszy powiedziałem mu „ty”, lecz z jaką różnicą w tonie! Objął mnie w przypływie serdeczności, objął mnie i nieśmiało poprosił o przyjaźń – ja zaś, ogarnięty uczuciem pogardy i odrazy, rzekłem doń:

– Przestałbyś pleść bzdury!

To pierwsze „ty” potraktował jako wyraz przyjaźni odwiedzając mi się „ty” szczerym i braterskim...

Tak, zrobiłbym lepiej i uczciwiej, gdybym zawrócił Zorkę i pomknął z powrotem do Polikarpa i Iwana Diemianycza.

Później myślałem nieraz: iluż nieszczęść bym uniknął i ileż dobra przysporzył swoim bliźnim, gdybym tego wieczoru zdobył się na zawrócenie lub gdyby moja Zorka zbiesiła się i poniosła mnie jak najdalej od tego strasznego, wielkiego jeziora! Ileż dręczących wspomnień nie uciskałoby teraz mego mózgu i nie zmuszałoby mej ręki do odkładania co chwila pióra i chwytania się za głowę! Nie będę jednakowoż wybiegać naprzód, tym bardziej, że w przyszłości wypadnie mi jeszcze wiele razy zatrzymać się na sprawach gorzkich. A teraz pomówmy o czymś wesołym...

Moja Zorka wniosła mnie w bramę hrabiowskiego dworu. Przy bramie potknęła się, i straciwszy równowagę omal nie wyleciałem z siodła.

– Zły znak, jaśnie panie! – zawołał jakiś chłop stojący u wrót długich hrabiowskich stajen.

Wierzę w to, że człowiek, który spadł z konia, może skrócić kark, ale nie wierzę w znaki prorocze. Rzuciłem chłopu wodze i otrzepawszy szpicrutą kurz z botfortów pobiegłem do domu. Nikt nie wyszedł mi na spotkanie. Okna i drzwi w pokojach były otwarte na oścież, ale mimo to w powietrzu unosił się ciężki, dziwny zapach. Była to

mieszanina zapachu starych, niezamieszkanymi pokojów z przyjemnym, ale ostrym zapachem roślin cieplarnianych, niedawno przeniesionych z oranżerii do pokojów... W salonie, na jednej z kanap obitych jasnoniebieskim jedwabiem leżały dwie zmiętoszone poduszki, przed kanapą na okrągłym stole zobaczyłem szklankę z kroplami płynu na dnie, z której unosił się zapach mocnego balsamu ryskiego. Wszystko to świadczyło o tym, że dom jest zamieszkały, lecz, obszedłszy wszystkie jedenaście pokojów, nie spotkałem żywej duszy. W domu panowała taka sama pustka jak dokoła jeziora...

Z tak zwanego „mozaikowego” salonu prowadziły do ogrodu duże oszklone drzwi. Otworzyłem je z hałasem i przez marmurowy taras zszedłem do ogrodu. Po przejściu kilku kroków aleją napotkałem dziewięćdziesięcioletnią staruszkę Nastasję, która piastowała niegdyś hrabiego. Była to maleńka, pomarszczona, zapomniana przez śmierć istota o łysej głowie i świdrujących oczkach. Kiedy patrzyło się na jej twarz, mimo woli przychodziło na myśl przezwisko, jakie nadała jej czeladź: „Syczicha”^{*}... Ujrawszy mnie drgnęła i omal nie upuściła szklanki ze śmietaną, którą niosła trzymając w obu rękach.

– Jak się masz, Syczicho! – rzekłem do niej.

Spojrzała spoде łba i minęła mnie w milczeniu... Ująłem ją za ramię.

– Nie bój się, głupia... Gdzie hrabia?

Starucha wskazała na swoje uszy.

– Głucha jesteś? Od kiedy?

Starucha mimo swego sędziwego wieku świetnie widzi i słyszy, ale uważa za stosowne narzekać na swe organa zmysłów... Pogroziłem jej palcem i kazałem odejść.

Zrobiwszy jeszcze kilka kroków usłyszałem głosy, a po chwili zobaczyłem także ludzi. W miejscu, gdzie aleja poszerzała się tworząc placyk okolony ławeczkami, w cieniu wysokich białych akacji znajdował się stół, na którym lśnił samowar. Przy stole toczyła się rozmowa. Podszedłem bezszelestnie do placyku i schowawszy się za krzakiem bzu jąłem szukać oczyma hrabiego. Przyjaciel mój, hrabia Karniejew, siedział przy stole na wyplatanej krześle i pił herbatę. Ubrany był w kolorowy szlafrok, ten sam, co przed dwoma laty i słomkowy kapelusz. Twarz miał zatroskaną, skupioną, pomarszczoną, tak że ktoś, kto go nie znał, mógłby pomyśleć, że dręczy go w danej chwili jakaś doniosła myśl, troska... Zewnętrznie hrabia nie zmienił się nic a nic w ciągu naszej dwuletniej rozłąki. To samo drobne ciało, rachityczne i cherlawe jak ciało chruściela. Ta sama maleńka rudawa główka na wąskich gruźliczych ramionach. Nosek jak dawniej różowy, policzki, jak dwa lata temu zwisają niczym dwa gałganki. Na twarzy żadnego śladu odwagi, siły, męstwa... Wszystko słabe, apatyczne i ociężałe. Budzą podziw jedynie duże zwisające wąsy. Mojemu przyjacielowi ktoś powiedział, że mu do twarzy z długimi wąsami. Uwierzył i

^{*} Sycz (ros.) – sowa; w przenośni człowiek ponury, niemiły, nietowarzyski.

teraz codziennie rano sprawdza, o ile urosło mu owłosienie nad bladymi wargami. Z tymi wąsami przypomina wąsatego, bardzo młodego i cherlawego kociaka.

Obok hrabiego siedział za stołem jakiś nieznany mi tęgi jegomość. Miał dużą ostrzyżoną głowę i bardzo czarne brwi, twarz nalaną i lśniącą jak dojrzały melon, wąsy dłuższe niż hrabia, czoło niskie, wargi zaciśnięte, oczy leniwe, utkwione w niebo... Rysy twarzy rozlane, a jednocześnie ostre jak wyschnięta skóra. Typ nie rosyjski... Grubas był bez surduta i kamizelki, w samej koszuli, na której ciemniały mokre od potu plamy. Pił nie herbatę, lecz wodę selcerską.

W dość znacznym oddaleniu od stołu stał tęgi przysadzisty człeczyna o czerwonym, grubym karku i odstających uszach. Był to rządca hrabiego, Urbienin. Z okazji przyjazdu dziedzica wystroił się w nowy garnitur i przeżywał teraz męki. Pot strumieniem spływał po jego czerwonej, ogorzałej twarzy. Obok rządcy stał chłop, który jeździł do mnie z listem. Dopiero teraz zauważyłem, że chłop miał tylko jedno oko. Wyprężony jak struna, stał bez ruchu niczym posąg i czekał na rozkazy.

– Należałoby cię, Kuźmo, porządnie spruć tą twoją nahajką – skandował swym surowym basem rządca. – Jak można tak niedbale wykonywać pańskie rozkazy? Miałeś prosić, by raczył się pofatygować tu natychmiast, i dowiedzieć się, kiedy raczy przybyć.

– Tak, tak, tak... – denerwował się hrabia. – Miałeś o wszystko się zapytać! Powiedział: będę! Ależ to za mało! Potrzebny mi jest już, teraz! O-bo-wiąz-ko-wo teraz! Prosiłeś go, a on ciebie nie zrozumiał!

– Na co ci on jest tak potrzebny? – zapytał hrabiego grubas.

– Muszę się z nim zobaczyć!

– Tylko tyle? A według mnie, Aleksy, ten twój sędzia śledczy lepiej by zrobił, gdyby dzisiaj posiedział sobie w domu. Nie mam ochoty na gości.

Zrobiłem wielkie oczy. Co oznaczał ten ton, to władcze „nie mam ochoty”?

– Ależ to przecież nie gość! – rzekł błagalnym głosem mój przyjaciel. – Nie zakłóci ci odpoczynku. Nie musisz sobie z nim robić ceremonii! Zobaczysz, co to za człowiek! Z pewnością go polubisz i zaprzyjaźnisz się z nim, kochaneczku!

Wyszedłem z krzaków bzu i zbliżyłem się do stołu. Hrabia zobaczył mnie i na jego rozpromienionej twarzy zaigrał uśmiech.

– Otóż i on! Otóż i on! – zawołał rumieniąc się z zadowolenia i wyskakując z stołu. – Jak to miło z twojej strony!

Podbiegł do mnie, podskoczył, objął mnie i swymi szorstkimi wąsami kilkakrotnie podrapał mój policzek. Po pocałunkach nastąpiły uściski dłoni i wpatrywanie się w oczy...

– A ty, Sergiuszu, nic a nic się nie zmieniłeś! Wciąż taki sam! Ciągłe piękny i silny! Dziękuję ci, żeś zechciał przyjechać!

Uwolniwszy się z objęć hrabiego, przywitałem się z rządcą, moim dobrym znajomym, i usiadłem przy stole.

– Ach, kochaneczku! – ciągnął podniecony i uradowany hrabia. – Gdybyś wiedział, jaką rozkosz mi sprawia twoje poważne oblicze. Pozwól, że ci przedstawię mego dobrego przyjaciela Kajetana Kazimirowicza Przechockiego. A to – ciągnął, wskazując mnie grubasowi – mój dobry stary przyjaciel Sergiusz Pietrowicz Zinowiew. Tutejszy sędzia śledczy...

Czarnobrewy grubas uniósł się z lekka i wyciągnął do mnie swą tłąstą, strasznie spoconą dłoń.

– Bardzo mi przyjemnie – wymamrotał przyglądając mi się. – Bardzom rad.

Dawszy upust swym uczuciom, hrabia uspokoił się nieco, nalał mi szklanek zimnej, czerwonej herbaty i podsunął pudełko z ciastkami.

– Jedz... Kupiłem u Eidemana przejeżdżając przez Moskwę. Gniewam się na ciebie, Sierioża, tak się gniewam, że chciałem nawet poróżnić się z tobą... Nie dosyć, żeś przez te dwa lata nie napisał do mnie ani słowa, ale nawet nie raczyłeś odpowiedzieć na żaden z moich listów! Tak nie postępuje przyjaciel!

– Nie umiem pisać listów – odrzekłem – zresztą nie miałem czasu na prowadzenie korespondencji. I o czym, powiedz z łaski swojej, mógłbym do ciebie pisać?

– O czymkolwiek.

– Słowo daję, nie było o czym. Uznaję tylko trzy rodzaje listów: miłosne, okolicznościowe, i urzędowe. Tych pierwszych nie pisałem, bo nie jesteś kobietą i nie jestem w tobie zakochany, te drugie nie są ci potrzebne, a przed trzecimi chroni nas to, że jak świat światem nie mieliśmy wspólnych interesów.

– Powiedzmy, że tak jest – przystał na to hrabia, szybko i chętnie zgodziwszy się ze mną – a jednak co by ci szkodziło napisać choćby jedno słówko... A poza tym, jak mówi Piotr Jegorycz, przez te całe dwa lata ani razu nie pokazałeś się tu, jakbyś mieszkał o tysiąc wiorst stąd, albo... gardził moimi dobrami. Mógłbyś tu przecież zamieszkać, zapolować... Małoż to mogło się tu zdarzyć podczas mojej nieobecności?

Hrabia mówił wiele i długo. Skoro tylko zaczynał mówić o czymś, mełł językiem nieprzerwanie i bez końca, choćby nie wiem jak błahy i żalony był temat.

W wydobywaniu z siebie dźwięków był niezmordowany jak mój Iwan Diemianycz. Nie znosiłem tej jego cechy. Powstrzymał go tym razem lokaj Ilja, wysoki, chudy człeczyna w znoszonej poplamionej liberii, który przyniósł hrabiemu na srebrnej tacy

kieliszek wódki i pół szklanki wody. Hrabia wychylił kieliszek, popił wodą, skrzywił się i pokręcił głową.

– A ty wciąż jeszcze trąbisz wódkę! – powiedziałem.

– Ano trąbię, Sierioża!

– Dałbyś przynajmniej spokój temu pijackiemu wykrzywianiu i kręceniu głową. To wstrętne!

– Ja, kochaneczku, rzucam już to wszystko... Lekarze zabronili mi pić. Piję teraz tylko dlatego, że od razu niezdrowo przestać... Trzeba stopniowo...

Spojrzałem na schorowaną, zmiętą twarz hrabiego, na kieliszek, na lokaja w żółtych kamaszach, spojrzałem na czarnobrewego Polaka, który z miejsca wydał mi się nie wiedzieć czemu szubrawcem i szachrajem, na jednookiego wyprężonego chłopca – i zrobiło mi się nieswojo, duszno... Zapragnąłem nagle machnąć ręką na te brudy, otworzywszy przedtem hrabiemu oczy na całą moją bezgraniczną do niego antypatię... Była chwila, kiedy byłem gotów już wstać i odejść... Lecz nie odszedłem... Nie pozwoliło mi (wstyd się przyznać!) zwykłe fizyczne lenistwo...

– Mnie też daj wódki! – rzekłem do Ilji.

Podługne cienie jęły się kłaść na aleje i naszą polankę...

Daleki rechot żab, krakanie wron i śpiew wilg zwiastowały już zachód słońca. Zapadał wiosenny wieczór...

– Każ Urbieninowi usiąść – szepnąłem do hrabiego. – Stoi przed tobą jak jaki parobek.

– Ach, jakoś mi to nie przyszło do głowy! Piotrze Jegoryczu – zwrócił się hrabia do rządcy – niech pan siada! Co pan tak stoi!

Urbienin usiadł i spojrzał na mnie z wdzięcznością. Zawsze zdrowy i wesoły, wydał mi się tym razem chory i markotny. Twarz miał jakby wymiętą, senną, oczy patrzyły tępo, niechętnie...

– Co tam słyhać u pana, Piotrze Jegoryczu? Co dobrego? – zapytał go Karniejew. – Może zdarzyło się coś... by tak rzec... godnego uwagi?

– Wszystko po dawnemu, wasza ekscelencjo...

– Czy nie ma... jakichś nowych dziewczynek, Piotrze Jegoryczu?

Cnotliwy Piotr Jegorycz poczerwieniał.

– Nie wiem, wasza ekscelencjo... Mnie to nie interesuje.

– Są, wasza ekscelencjo – odezwał się basem milczący dotychczas jednooki Kuźma. – I to niczego sobie.

– Ładne?

– Rozmaite są, wasza ekscelencjo, do wyboru, do koloru... I brunetki, i blondynki, jakie tylko...

– Patrzaj, patrzaj!... Momencik, momencik... Przypomniałem już sobie, ktoś ty taki... Mój eks-Leporello, sekretarz do spraw... Jeśli się nie mylę, masz na imię Kuźma?

– Tak jest...

– Pamiętam, pamiętam... No więc co tam masz najlepszego? Pewno same chłopki, co?

– Wiadomo, więcej chłopek, ale znajdzie się i coś lepszego...

– Gdzieżeś to tak znalazł coś lepszego? – zapytał Ilja, patrząc na Kuźmę zmrużonymi oczyma.

– Na święta do pocztmistrza szwagierka przyjechała... Nastasja Iwanowna... Dziewucha jak się patrzy, sam bym skosztował, ale z forszą krucho... Krew z mlekiem... Jest coś jeszcze lepszego. Na pana tylko czeka, wasza ekscelencjo. Młodziutka, pulchniutka, żywe srebro... sam urok. Takiej piękności, wasza ekscelencjo, i w Pitiburgu nie raczył pan oglądać...

– Któż to taki?

– Oleńka, córka Skworcowa, leśniczego.

Pod Urbieninem zatrzeszczało krzesło. Opierając się rękoma o stół i purpurowiejąc, rządca powoli wstał i zwrócił się twarzą do jednookiego chłopca. Wyraz znużenia i nudy ustąpił straszemu gniewowi...

– Milcz, chamie jeden! – warknął. – Ty gadzie jednooki! Mów, co ci ślina na język przyniesie, ale nie waż się ruszać porządnych ludzi!

– Ja przecież pana nie ruszam, Piotrze Jegoryczu – odparł Kuźma ze spokojem.

– Nie o to mi chodzi, durniu jeden! Zresztą... proszę mi wybaczyć, wasza ekscelencjo – zwrócił się rządca do hrabiego. – Proszę mi wybaczyć tę scenę, ale byłbym wdzięczny waszej ekscelencji, gdyby zabronił swemu Leporello, jak wasza ekscelencja raczył się wyrazić, rozciągać swą gorliwość na osoby ze wszech miar godne szacunku!

– Ja nic... – wymamrotał naiwnie hrabia. – On nic takiego nie powiedział.

Obrażony i szalenie wzburzony Urbienin wstał od stołu i stanął do nas bokiem. Skrzyżowawszy ręce na piersi i mrugając oczami, ukrył przed nami swą purpurową twarz za gałązką i zamyślił się. Może przeczuwał, że w niedalekiej przyszłości jego uczucia zostaną po tysiącokroć bardziej znieważone?

– Nie rozumiem, dlaczego się obraził! – szepnął do mnie hrabia. – Doprawdy dziwak z niego! Nic obraźliwego Kuźma przecież nie powiedział.

Po dwuletniej abstynencji kieliszek wódki podziałał na mnie oszałamiająco. Umysł i całe ciało ogarnęło uczucie lekkości, błogości. W dodatku podziałał chłód wieczorny, który stopniowo wypierał duchotę dnia... Zaproponowałem przechadzkę. Przyniesiono hrabiemu i jego nowemu przyjacielowi-Polakowi surduty i wyruszyliśmy. Za nami podążył Urbienin.

Ogród hrabiego, po którym spacerowaliśmy, z uwagi na swe zdumiewające bogactwo, zasługuje na specjalny opis.

Pod względem botanicznym, gospodarskim i pod wieloma innymi jest on niezwykle urozmaicony i przewyższa wszystkie ogrody, jakie kiedykolwiek widziałem. Poza opisywanymi już poetycznymi alejkami z zielonymi sklepieniami można tu znaleźć wszystko, czego tylko zapragnie oko najwybredniejszego znawcy. Rosną tu wszelakie miejscowe i zagraniczne drzewa owocowe, poczynając od czereśni i śliw, a kończąc na drzewach morelowych, których owoce są wielkości gęsiego jaja. Morwy, berberysy, francuskie bergamoty, a nawet oliwki trafiają się na każdym kroku... Są tu i na wprost zrujnowane, porośnięte mchem grotty, fontanny, małe stawy przeznaczone dla złotych rybek i oswojonych karp, pagórki, altanki, kosztowne cieplarnie... I wyjątkowy ten luksus, gromadzony z pokolenia na pokolenie, całe to bogactwo wielkich, pełnych róż, poetycznych grot i nie kończących się alejek było w sposób barbarzyński zapuszczone i oddane na pastwę chwastów, złodziejskiej siekiery i kawek, które bezceremonialnie wiły sobie, szkaradne gniazda na rzadkich okazach drzew. Prawowity właściciel tych cudowności szedł obok mnie i ani jeden miesiąc na jego zapijaczonej i sytej twarzy nie drgnął na widok zaniedbania i wołającego o pomstę do nieba niechlujstwa, jakby nie był właścicielem ogrodu. Raz tylko jakby od niechcenia zwrócił rządcy uwagę, że byłoby dobrze posypać dróżki piaskiem. Zauważył brak nikomu niepotrzebnego piasku, a nie spostrzegł nagich, wymarżłych podczas ostrej zimy drzew ani krów, które pasły się w ogrodzie. Na jego uwagę Urbienin odparł, że do utrzymania ogrodu potrzeba byłoby co najmniej dziesięciu robotników, a ponieważ jego ekscelencja nie raczy mieszkać w swoim majątku, to koszty utrzymania ogrodu stanowią zgoła niepotrzebny zbytek. Hrabia oczywiście zgodził się z tym wywodem.

– Zresztą nie mam na to czasu, Bóg mi świadkiem! – machnął ręką Urbienin. – Latem jestem w polu, zimą sprzedaję zboże w mieście... Gdzie mi tam do ogrodu!

Główna, tak zwana „centralna” aleja, której cały urok tworzyły stare, okazałe lipy i mnóstwo tulipanów, ciągnących się dwoma barwnymi pasmami na całej jej długości, kończyła się żółtą plamą. Była to żółta murowana altanka, w której mieścił się kredens z bilardem, kręglami i grą w chińczyka. Skierowaliśmy się bezwiednie do tej altanki... Przed samym wejściem natknęliśmy się na żywe stworzenie, które nieco rozstroiło nerwy moich nie nazbyt odważnych towarzyszy.

– Żmija! – zapiszczał nagle hrabia chwytając mnie za rękę i blednąc. – Patrz!

Polak zrobił krok do tyłu, stanął jak wryty i rozpostarł ręce, jakby zagradzając drogę zjawie... Na górnym stopniu na wprost rozwalonych kamiennych schodów leżała młoda żmija z gatunku naszych zwyczajnych rosyjskich gadów. Zobaczywszy nas uniosła łepki i poruszyła się... Hrabia raz jeszcze zapiszczał i schował się za moimi plecami.

– Niech się pan niczego nie boi, wasza ekscelencjo! – rzekł leniwie Urbienin stawiając stopę na pierwszym stopniu...

– A jak ukąsi?

– Nie ukąsi. Zresztą w ogóle, nawiasem mówiąc, niebezpieczeństwo, jakim grozi ukąszenie tych żmij, jest mocno przesadzone. Ukąsiła mnie raz stara żmija – i żyję, jak panowie widzą. Żądło ludzkie jest stokroć niebezpieczniejsze od żądła żmii! – nie omieszkał zauważyć z sentencyjnym westchnieniem Urbienin.

I rzeczywiście. Nie zdążył rządca przestąpić dwóch czy trzech stopni, jak żmija wyciągnęła się jak długa i z szybkością błyskawicy dała nura w szparę między dwiema kamiennymi płytami. We wnętrzu altanki ujrzeliśmy inną żywą istotę. Na starym, wypłowiałym bilardzie z podartym sukniem leżał mały staruszek w granatowej marynarce, pasiastych spodniach i dżokejskiej czapce. Dokoła jego bezzębnych, przypominających dziupłę ust i na ostrym nosie uwijały się muchy. Chudy jak szkielet, z otwartymi ustami i zupełnie nieruchomy, podobny był do trupa dopiero co przeniesionego na sekcję z kostnicy do prosektorium.

– Franz! – szturchnął go Urbienin. – Franz!

Po pięciu czy sześciu szturchnięciach Franz zamknął usta, objął nas wszystkich spojrzeniem i znów się położył. Po chwili usta znowu mu się otworzyły i muchy, spacerujące sobie dokoła jego nosa, znowu spłoszyły się lekkimi wibracjami chrapania.

– Śpi, bezwstydna świnią! – westchnął Urbienin.

– To, zdaje się, nasz ogrodnik Triecker? – zapytał hrabia.

– We własnej osobie... I tak codziennie... W dzień śpi jak zabity, a w nocy w karty rżnie. Dzisiaj ponoć grał do szóstej nad ranem...

– A w co gra?

– W gry hazardowe... Najczęściej w stukułkę.

– Źle się tacy panowie wywiązują z obowiązków... Pensję za darmo dostają.

– Ja to nie dlatego powiedziałem, wasza ekscelencjo – spostrzegł się Urbienin – żeby się poskarżyć albo wyrazić niezadowolenie, ale tak sobie... żal człowieka: taki zdolny i we władzy nałogu. A człowiek z niego pracowity, co tu dużo mówić... nie za darmo pensję dostaje.

Spojrzeliliśmy jeszcze raz na karciarza Franza i wyszliśmy z altanki. Stąd udaliśmy się do wiodącej na pole furtki ogrodowej.

Furtki w powieściach z reguły odgrywają doniosłą rolę. Jeżeli państwo sami tego nie zauważyliście, zapytajcie mojego Polikarpa, który pochłonął w swym życiu mnóstwo strasznych i niestrasznych powieści, i on na pewno potwierdzi ten błahy, a jednak charakterystyczny fakt.

W mojej powieści również występuje furtka. Ale moja furtka różni się od innych tym, że pióru memu wypadnie przeprowadzić przez nią wielu nieszczęśliwych i niemal żadnego szczęśliwego, w przeciwieństwie do innych powieści. I co najgorsze, furtkę tę musiałem już nieraz opisywać, wszelako nie jako powieściopisarz, lecz jako sędzia śledczy... Przeszło przez nią więcej przestępców niżli zakochanych...

W kwadrans później podpierając się laskami wspinaliśmy się na górę zwaną u nas Kamienną Mogiłą.

Wieśniacy opowiadają, jakoby pod tą kamienną górą spoczywał jakiś tatarski chan, który, lękając się, by po jego śmierci wrogowie nie zbezczścili jego prochów, kazał usypać ponad swoją mogiłą górę z kamieni... Wątpliwe jednak, czy ta legenda jest prawdziwa... Kamienne warstwy, ich usytuowanie i wielkość wykluczają możliwość udziału rąk ludzkich przy powstawaniu tej góry. Stoi ona samotnie w szczerym polu i przypomina odwrócony dnem do góry kołpak.

Wdrapawszy się na nią ujrzeliśmy jezioro w całej jego porywającej wielkości i nieopisanym pięknie. Słońce już się w nim nie odbijało: zaszło i pozostawiło po sobie rozległe purpurowe pasmo, które zabarwiło okolicę na przyjemny różowawożółty kolor. U naszych stóp rozpościerała się hrabiowska posiadłość z jej dworem, cerkwią i ogrodem, zaś w oddali, po drugiej stronie jeziora szarzała wioska, w której z woli losu mieściła się moja rezydencja. Toń jeziora była nadal niewzruszona. Łódeczki starego Mienieja, oddalając się od siebie, śpieszyły ku brzegowi.

Obok mojej wioski ciemniała stacja kolejowa z dymkiem lokomotywy, a za nami, z drugiej strony Kamiennej Mogiły, rozpościerał się nowy widok. U stóp Mogiły biegła droga wysadzana starymi topolami. Droga ta wiodła ku hrabiowskiemu lasowi ciągnącemu się po sam horyzont.

Ja i hrabia wdrapaliśmy się na samą górę. Urbienin i Polak, jako ludzie otyli, woleli czekać na nas na dole przy drodze.

– Co to za typ? – zapytałem hrabiego kiwnąwszy w stronę Polaka. – Gdzieś go wytrzasnął?

– To bardzo miły człowiek, Sierioża, bardzo miły! – z niepokojem w głosie odrzekł hrabia. – Zaprzyjaźnisz się z nim wkrótce, zobaczysz.

– Bardzo wątpię. Dlaczego on tak ciągle milczy?

– Jest mrukliwy z natury! Ale za to co za rozum!

– Ale co to za człowiek?

– Poznałem go w Moskwie. Jest bardzo sympatyczny. Później dowiesz się o wszystkim, Sierioża, a teraz nie pytaj. Schodzimy?

Zeszliśmy z góry i udaliśmy się drogą do lasu. Zaczęło się wyraźnie ściemniać. Z lasu dobiegało kukanie kukulki i ciche trele zmęczonego widać młodego słowika.

– Hej! Hej! – usłyszeliśmy podchodząc do lasu dźwięczny głosik dziecięcy. – Gońcie mnie!

Z lasu wybiegła dziewczynka lat chyba pięciu, z jasną jak len główką i w niebieskiej sukience. Ujrawszy nas zaśmiała się radośnie, podskakując podbiegła do Urbienina i objęła go za kolano. Urbienin wziął ją na ręce i ucałował w oba policzki.

– Moja córeczka Sasza! – powiedział.

Za Saszą pędził z lasu piętnastoletni gimnazjalista, syn Urbienina. Zobaczywszy nas, zdjął niezdecydowanie czapkę, nałożył ją i znowu zdjął. Za nim posuwała się wolno czerwona plama. Plama ta przykuła naszą uwagę.

– Co za cudowne zjawisko! – zawołał hrabia chwytając mnie za rękę. – Spójrz! Co za śliczności! Cóż to za dziewczę? Nie wiedziałem, że w moich lasach żyją takie najady!

Spojrzałem na Urbienina, chcąc go zapytać, co to za dziewczę i, o dziwo, dopiero w tej chwili zauważyłem, że rządca jest strasznie pijany. Czerwony jak rak, zachwiał się i chwycił mnie za łokieć.

– Sergiuszu Pietrowiczu! – zaszeptał mi do ucha zionąc alkoholem – błagam pana, niech pan powstrzyma hrabiego od dalszych uwag o tej panience. Swoim zwyczajem może powiedzieć coś niestosownego, a jest to w najwyższym stopniu przyzwoita osoba!

„W najwyższym stopniu przyzwoita osoba” była dziewiętnastoletnim dziewczęciem o pięknej płowowłosej główce, dobrych niebieskich oczach i długich włosach. Miała na sobie jaskrawoczerwoną, na wpół dziecięcą sukienkę. Zgrabne niczym igły nóżki w czerwonych pończochach były obute w maleńkie, niemal dziecięce pantofelki. Okrągłe jej ramiona, gdy się jej z lubością przyglądał, kuliły się zalotnie jakby im było zimno i jakby spojrzenie moje kłuło je.

– Przy takiej młodej twarzyczce takie rozwinięte kształty! – szepnął do mnie hrabia, który we wczesnej młodości utracił zdolność szanowania kobiet i patrzył na nie tylko z punktu widzenia zdeprawowanego zwierzęcia.

Pamiętam, że załała mnie fala ciepłego uczucia. Byłem jeszcze poetą i w otoczeniu lasów, w atmosferze majowego wieczoru, przy blasku zaczynającej migotać wieczornej gwiazdy mogłem patrzeć na kobietę tylko jako poeta... Patrzyłem na dziewczynę w

czerwonej sukience z takim samym nabożeństwem, z jakim zwykłem patrzeć na lasy, góry, lazurowe niebo. Miałem podówczas w sobie jeszcze pewną dozę sentymentalizmu odziedziczoną po matce-Niemce.

– Któż to? – zapytał hrabia.

– To córka leśniczego Skworcowa, wasza ekscelencjo! – rzekł Urbienin.

– To ta Oleńka, o której mówił jednooki chłop?

– Tak, właśnie ona – odpowiedział rządcą patrząc na mnie błagalnymi, dużymi oczyma.

Wyminęliśmy dziewczynę w czerwieni, która nie zwracała widać na nas najmniejszej uwagi. Oczy jej skierowane były gdzieś w bok, ale ja, który znam się na kobietach, czułem jej ukradkowe spojrzenie.

– Który z nich jest hrabią? – dosłyszałem za sobą jej szept.

– Ten z długimi wąsami – odpowiedział gimnazjalista.

Rozległ się za nami jej srebrzysty śmiech... Był to śmiech rozczarowania... Myślała, że to ja jestem hrabia, właściciel tych rozległych lasów i wielkiego jeziora, nie zaś ten pigmej o zapitej twarzy i długich wąsach...

Usłyszałem głębokie westchnienie wydobywające się z krzepkiej piersi Urbienina. Ten żelazny człowiek ledwie powłóczył nogami.

– Każ mu odejść – szepnąłem do hrabiego. – Chory jest albo... pijany.

– Chyba się pan źle czuje, Piotrze Jegoryczu! – zwrócił się hrabia do Urbienina. – Nie jest mi pan potrzebny, toteż nie zatrzymuję pana.

– Proszę sobie nie robić subiekcji, wasza ekscelencjo. Wdzięczny jestem za troskę, ale nie czuję się źle.

Obejrzałem się... Czerwona plama stała nieruchomo i patrzyła za nami...

Biedna płowowłosa główka! Czyż mogłem przypuszczać w ten cichy spokojny wieczór majowy, że stanie się ona potem bohaterką mej tragicznej powieści?

Teraz, kiedy piszę te słowa, w me szyby dzwoni jesienny deszcz i gdzieś nade mną wyje wiatr. Patrzę na ciemne okno i na tle nocnych ciemności usiłuję mocą wyobraźni przywołać postać mojej miłej bohaterki... Widzę ją z jej niewinnie dziewczęcą, naiwną twarzyczką i kochającymi oczyma. Mam ochotę rzucić pióro i podrzeć, spalić to, co już zostało napisane. Po cóż niepokoić pamięć tej młodej, bezgrzesznej istoty?

Ale tuż obok mego kałamarza stoi jej fotografia. Z fotografii tej spoziera wyniośle pełna trosk twarz upadłej kobiety. Oczy, zmęczone, lecz dumne ze swego zepsucia, są nieruchome. To jest właśnie ta żmija, której jadu Urbienin nie uznałby za nieszkodliwy.

Igrała z burzą i burza złamała kwiatek u samej nasady. Wiele wzięła, ale też zbyt drogo zapłaciła. Czytelnik zechce wybaczyć jej grzechy...

Weszliśmy do lasu.

Sosny budzą smętek swą milkliwą monotonią. Wszystkie tej samej wysokości, podobne do siebie, zachowują o każdej porze roku jednakowy wygląd, nie wiedząc ani co to zimowa śmierć, ani wiosenne odrodzenie. Pociągają za to swą posępnością: nieruchome, bezszelestne, jakby snuły smętne myśli.

– A może byśmy wrócili? – zaproponował hrabia. Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Polakowi było stanowczo wszystko jedno, gdzie się znajduje, Urbienin nie poczytywał swego głosu za decydujący, mnie zaś nadto cieszył chłód, by zawracać. Poza tym trzeba było jakoś zabić, choćby prostym spacerem, czas pozostający do nocy. Myśli o nadchodzącej dzikiej nocy towarzyszyło słodkie zamieranie serca. Wstyd się przyznać, marzyłem o niej i w myślach czułem przedsmak rozkoszy. Sądząc po niecierpliwości, z jaką hrabia co chwila spoglądał na zegarek, widać było, że jego również dręczyło oczekiwanie. Czuliśmy, że się wzajemnie rozumiemy.

Przed domkiem leśniczego, stojącym między sosnami na kwadratowym placu, powitały nas dźwięcznym, śpiewnym szczekaniem dwa małe pieski koloru żółtoognistego, nieznaney mi rasy, gibkie jak węgorki i lśniące. Poznawszy Urbienina, wesoło zamerdały ogonami i podbiegły do niego, z czego można było wywnioskować, że rządca był w domu leśniczego częstym gościem. Tuż koło domku spotkaliśmy jakiegoś chłopca bosego i bez czapki, o dużych piegach na zdziwionej buzi. Przez chwilę przyglądał się nam w milczeniu, wybałuszywszy oczy, potem poznawszy widocznie hrabiego, zawołał „ach!” i pobiegł pędem do leśniczówki.

– Ja wiem, po co on pobiegł – roześmiał się hrabia. – Pamiętam go... To Mitka.

Hrabia się nie mylił. Po chwili Mitka wyszedł z domku niosąc na tacy kieliszek wódki i pół szklanki wody.

– Na zdrowie, wasza ekscelencjo! – powiedział częstując hrabiego i uśmiechając się całą swą głupią, zdziwioną twarzą.

Hrabia wypił wódkę, „zakąsił” wodą, ale tym razem nie skrzywił się. O jakieś sto kroków od domku stała żeliwna ławka, tak samo stara jak sosny. Usiedliśmy na niej i zajęliśmy się kontemplowaniem majowego wieczoru w całej jego cichej krasie... Nad naszymi głowami z krakaniem latały wystraszone wrony, z różnych stron dobiegały trele słowików; tylko to naruszało powszechną ciszę.

Hrabia nie potrafi milczeć nawet w cichy wiosenny wieczór, kiedy głos ludzki jest najmniej przyjemny.

– Nie wiem, czy będziesz zadowolony? – zwrócił się do mnie. – Zadysponowałem na kolację zupę z jazgarzy i dziczyznę. Do wódki będzie jesiotr na zimno i prosiak z chrzanem.

Jakby dotknięte tą prozaicznością poetyckie sosny nagle zaszumiały swymi wierzchołkami, a po lesie przebiegł cichy szmer. Świeży wiaterek przemknął przez przesiekę i potarł trawę.

– No, dość już tego! – krzyknął Urbienin na psy ognistego koloru, przeszkadzające mu swym łaszeniem się zapalić papierosa. – A mnie się wydaje, że będzie dzisiaj padać. Deszcz wisi w powietrzu. Dziś był tak straszny upał, że nie trzeba być uczonym profesorem, by przepowiedzieć deszcz. Dobrze to robi zbożom.

„Na cóż ci te zboża – pomyślałem – skoro i tak je hrabia przepije? Niepotrzebnie będzie się tylko deszcz trudził.”

Przez las przebiegł jeszcze raz wiaterek. Sosny i trawa zaszemrały głośniej.

– Chodźmy do domu.

Wstaliśmy i leniwie pobrnęliśmy do dworku.

– Lepiej już być tą płowowłosą Oleńką – zwróciłem się do Urbienina – i żyć sobie tu wśród zwierząt, niż być sędzią śledczym wśród ludzi... Spokojniej. Nieprawdaż, Piotrze Jegoryczu?

– Wszystko jedno kim się jest, byle mieć spokój w duszy, Sergiuszu Pietrowiczu.

– A czy ta ładniutka Oleńka żyje ze spokojem w duszy?

– Sam Bóg tylko raczy wiedzieć, co w duszy człowieka się kryje, ale wydaje mi się, że nie ma powodów do niepokoju. Zmartwień chyba żadnych, a grzechy – dziecinne... To bardzo dobra dziewczyna! No, nareszcie niebo deszcz zesłało.

Rozległ się łoskot ni to dalekiego pojazdu, ni kręgli... Gdzieś hen, za lasem zagrzmiało... Mitka, który cały czas się nam przyglądał, drgnął i przeżegnał się...

– Burza! – przeląkł się hrabia. – A to siurpryza! Zleje nas w drodze... A jak się ściemniło! Mówiłem: wracajmy! A ty nic, tylko dalej i dalej...

– Przeczekajmy burzę w leśniczówce – zaproponowałem.

– Po co w leśniczówce? – odezwał się Urbienin, jakoś dziwnie mrugając oczami. – A jak będzie padało całą noc, to całą noc czekać będziemy w leśniczówce? Ale niech się panowie nie obawiają... Proszę sobie iść, a Mitka pobiegnie i sprowadzi powóz na spotkanie.

– Co tam, chyba nie będzie lało całą noc... Chmury burzowe zazwyczaj szybko się rozchodzą... Zresztą nie znam jeszcze nowego leśniczego, a i z tą Oleńką chciałoby się pogwarzyć... dowiedzieć się, co z niej za ptaszek...

– Chętnie się zgadzam! – przytaknął hrabia.

– Ale jak tam panowie pójdą, skoro... skoro tam tego... nie posprzątano? – wybełkotał zaniepokojony Urbienin. – Po co siedzieć tam w zaduchu, wasza ekscelencjo, kiedy można być w domu... Nie rozumiem, co to za przyjemność!... A jakże tu zawierać znajomość z leśniczym, jeśli on jest chory...

Było oczywiste, że rządca strasznie nie ma ochoty, żebyśmy weszli do domu leśniczego. Rozpostarł nawet ręce, jakby pragnął zagrozić nam drogę... Wyczytałem z jego twarzy, że ma jakieś powody, by nas tam nie wpuścić. Szanuję cudze powody i tajemnice, ale tym razem korciła mnie ciekawość. Uparłem się i weszliśmy do leśniczówki.

– Proszę do salonu! – nie powiedział, lecz jakoś zaczął, nie posiadając się z radości, bosonogi Mitka...

Proszę sobie wyobrazić najmniejszy na świecie salonik z niemalowanymi drewnianymi ścianami. Na ścianach porozwieszane oleodruki „Niwy”, fotografie w ramkach z muszelek i dyplomy... Jeden z dyplomów zawierał wyrazy wdzięczności jakiegoś barona za wieloletnią służbę, pozostałe były to końskie rodowody... Tu i ówdzie na ścianach wije się bluszcz... W rogu przed małym obrazkiem cicho płonie słabo odbijając się w srebrnej ramie niebieski płomyk... Pod ścianami tłoczą się krzesła, niedawno widać kupione... Kupiono ich za dużo, ale ustawiono wszystkie: nie było gdzie ich podziąć... Włoczono tu jeszcze fotele i kanapę w śnieżnobiałych pokrowcach z falbankami i koronkami oraz okrągły lakierowany stół. Na kanapie drzemie oswojony zając... Przytulnie, czysto, ciepło... We wszystkim znać rękę kobiety. Nawet półeczka z książkami patrzy jakoś niewinnie, po kobiecemu, jakby i ona chciała powiedzieć, że nie ma na niej nic poza lichymi powieściami i banalnymi wierszami... Urok takich przytulnych, ciepłych pokoików czuje się nie tyle wiosną, co raczej jesienią, kiedy człowiek szuka schronienia przed chłodem, wilgocią...

Mitka sapiąc i dmuchając, z trzaskiem pocierając zapalki, zapalił dwie świece i ostrożnie, jakby to były relikwie, postawił je na stole. Usiedliśmy na fotelach wymieniając ze śmiechem spojrzenia...

– Mikołaj Jefimycz leży chory – wyjaśnił nam brak gospodarza Urbienin – a Olga Nikołajewna poszła chyba moje dzieciaki odprowadzić...

– Mitka, drzwi zamknięte? – dosłyszeliśmy słaby tenor z sąsiedniego pokoju.

– Zamknięte, Mikołaju Jefimyczu – zachrypiał Mitka i pobiegł pędem do sąsiedniego pokoju.

– No, no... Uważaj, żeby były wszystkie pozamykane... – powiedział ten sam słaby głos. – Na klucz, na wszystkie spusty... Jak będą się złodzieje dobierać, to mi powiedz... Ja ich, szubrawców, strzelbą... łajdaków jednych...

– Niezawodnie, Mikołaju Jefimyczu!

Roześmialiśmy się i spojrzeliśmy pytająco na Urbienina. Ten poczerwieniał i, by ukryć swe zmieszanie, jął poprawiać firankę na oknie... Co to wszystko miało znaczyć? Znowu wymieniliśmy spojrzenia.

Ale nie było kiedy się dziwić. Na dworze rozległy się pośpieszne kroki, potem hałas na ganku i trzaśnięcie drzwiami. Do „salonu” wbiegła dziewczyna w czerwieni.

– „Lubię w początkach maja burzę!” – zaśpiewała wysokim piskliwym sopranem, przerywając pisk śmiechem, lecz ujrawszy nas, raptownie stanęła i zamilkła.

Zawstydziała się i pokornie jak owieczka uciekła do pokoju, z którego dopiero co dobiegał głos jej ojca, Mikołaja Jefimycza.

– Nie spodziewała się! – uśmiechnął się Urbienin.

Po chwili wróciła, usiadła cicho na krześle tuż przy drzwiach i jęła się nam przyglądać. Patrzyła na nas śmiało, prosto w oczy, jakbyśmy nie byli nowymi dla niej ludźmi, lecz zwierzętami w ogrodzie zoologicznym. Przez jakiś czas i my patrzyliśmy na nią w milczeniu i bez ruchu...

Zgodziłbym się i rok cały przesiedzieć nieruchomo i patrzeć na nią – tak była ładna tego wieczoru. Świeży jak powietrze rumieniec, szybkim oddechem unoszące się piersi, kędziory opadające na czoło, na ramiona, prawa ręka poprawiająca kołnierzyk, duże błyszczące oczy...

Jednym spojrzeniem pochłaniałem drobną postać, dostrzegając więcej niż gdybym patrzył całe wieki na bezkresny horyzont... Ona spoglądała na mnie z powagą, pytająco; gdy jej oczy przeniosły się ze mnie na hrabiego lub Polaka, to czytałem w nich co innego: zmieszanie i śmiech.

Odezwałem się pierwszy.

– Pozwoli pani, że się przedstawimy – rzekłem wstając i podchodząc do niej – Zinowiew... A to mój przyjaciel, hrabia Karniejew... Prosimy wybaczyć, że bez zaproszenia wtargnęliśmy do pani ślicznego domku... Nie uczynilibyśmy tego oczywiście, gdyby nie zmusiła nas burza...

– Ależ nasz domek od tego się nie rozwali! – powiedziała śmiejąc się i podając mi rękę.

Ukazała swe cudowne zęby. Usiadłem przy niej na krześle i opowiedziałem jej o tym, jak niespodziewanie zaskoczyła nas po drodze burza. Zaczęła się rozmowa o pogodzie – jak to zawsze bywa. Kiedyśmy sobie tak gawędzili, Mitka zdążył już dwa razy poczęstować hrabiego wódką z nieodłączną od niej wodą... Korzystając z tego, że na niego nie patrzę, hrabia po dwóch kieliszkach słodko się skrzywił i pokręcił głową.

– A może by panowie coś przekąsili? – zapytała mnie Oleńka i nie czekając na odpowiedź wyszła z pokoju...

Pierwsze krople zadzwoniły o szyby... Podeszedłem do okna... Było już zupełnie ciemno i przez okno nic nie było widać oprócz pełzających kropli deszczu i odbicia własnego nosa. Błysnęło i światło błyskawicy oblało pobliskie sosny...

– Drzwi są aby zamknięte? – rozległ się znowu słaby tenor. – Mitka, pójdź no, diabelskie nasienie, zamknij drzwi! Skaranie boskie z tym Mitką!

Do pokoju weszła kobieta o podwójnym, przewiazanym brzuchu i głupiej, zatroskanej twarzy, nisko ukłoniła się hrabiemu i nakryła stół białym obrusem. Za nią ostrożnie kroczył Mitka niosąc zakąski. Po chwili na stole stała wódka, rum, ser i talerz z jakimś pieczonym ptakiem. Hrabia wypił kieliszek wódki, ale jedzenia nie tknął. Polak podejrzliwie powąchał ptaka i zabrał się do krojenia.

– Już pada! Niech pani popatrzy! – rzekłem do wchodzącej Oleńki.

Dziewczyna w czerwieni podeszła do mojego okna i w tej samej chwili oświetlił nas na mgnienie oślepiający błysk... Gdzieś wysoko rozległ się trzask i wydało mi się, że coś wielkiego, ciężkiego oderwało się od nieba i z łoskotem runęło na ziemię... Szyby i kieliszki stojące przed hrabią zadrżały wydając szklany dźwięk... Uderzenie było silne...

– Boi się pani burzy? – zapytałem Oleńkę. Przytuliła policzek do okrągłego ramienia i spojrzała na mnie z dziecięcą ufnością.

– Boję się – odrzekła szeptem po chwili zastanowienia. – Burza zabiła moją matkę... W gazetach nawet o tym pisali... Moja matka szła polem i płakała... Bardzo jej ciężko było na tym świecie... Bóg się nad nią ulitował i zabił ją swą niebieską elektrycznością.

– Skąd pani wie, że w piorunie jest elektryczność?

– Uczyłam się... Wie pan? Zabici przez piorun i na wojnie, i kobiety zmarłe przy ciężkich porodach idą do raju... O tym w książkach nie piszą, ale to prawda. Moja matka jest teraz w raju. Wydaje mi się, że mnie też kiedyś zabije piorun i że będę w raju... Pan jest człowiekiem wykształconym?

– Tak...

– A więc nie będzie się pan śmiał ze mnie... Umrzeć chciałabym w taki sposób: ubrałabym się w najdroższą, najmodniejszą suknię, taką, jaką widziałam niedawno na tutejszej bogaczce, dziedziczce Szefferowej, nałożyłabym bransolety na ręce... Potem stanęłabym na samym szczycie Kamiennej Mogiły i dałabym się zabić piorunowi tak, żeby wszyscy ludzie widzieli... Straszny huk, wie pan, i... po wszystkim.

– Co za dzika fantazja! – uśmiechnąłem się zaglądając jej w oczy pełne strachu na myśl o strasznej, lecz widowiskowej śmierci. – A w zwykłej sukience nie chciałaby pani umierać?

– Nie... – pokręciła głową Oleńka. – I tak, żeby wszyscy ludzie widzieli.

– Sukienka, którą ma dziś pani na sobie, jest ładniejsza od wszelkich modnych i drogich szat... Do twarzy w niej pani. Podobna jest pani w niej do czerwonego kwiatka na zielonej łące.

– Nie, to nieprawda! – naiwnie westchnęła Oleńka. – To tania sukienka, więc nie może być ładna.

Do naszego okna podszedł hrabia z wyraźnym zamiarem porozmawiania z uroczą Oleńką. Przyjaciół mój włada trzema europejskimi językami, ale nie umie rozmawiać z kobietami. Przystanął obok jakoś niezręcznie, uśmiechając się bezmyślnie, wybełkotał „te-ek” i wrócił do karafki z wódką.

– Kiedy pani wchodziła tu do pokoju – rzekłem do Oleńki – to śpiewała pani „Lubię w początkach maja burzę”. Czyżby te wiersze przełożono na muzykę?

– Nie, ja śpiewam po swojemu wszystkie znane mi wiersze.

Obejrzałem się jakoś za siebie. Przyglądał się nam Urbienin. W jego oczach wyczytałem nienawiść, złość, które wcale nie pasowały do jego dobrodusznego, łagodnego oblicza.

„Czyżby był zazdrosny?” – pomyślałem.

Biedaczysko, pochwywszy moje pytające spojrzenie, wstał z krzesła i poszedł nie wiedzieć po co do przedpokoju – Nawet jego chód zdradzał wzburzenie.

Uderzenia piorunu, jedno silniejsze od drugiego, powtarzały się coraz częściej... Błyskawice bez przerwy rozświetlały swym wspaniałym oślepiającym światłem niebo i sosny, i moką ziemię... Do końca burzy było jeszcze daleko.

Podszedłem do etażerki z książkami i zacząłem je przeglądać. „Powiedz, co czytasz, a powiem ci, kim jesteś” – lecz ze skarbów symetrycznie ułożonych na etażerze trudno byłoby cośkolwiek wywnioskować o poziomie umysłowym i wykształceniu Oleńki. Była to dziwna mieszanka. Trzy antologie, jedna książka Borny, zbiór zadań Jewtuszeńskiego, drugi tom dzieł Lermontowa, Szklarewski, czasopismo „Dieło”, książka kucharska, „Składka”... Mógłbym wyliczyć więcej książek, ale kiedy wziąłem z etażerki „Składkę.” i zacząłem ją kartkować, drzwi do drugiego pokoju otworzyły się i stanął w nich osobnik, który od razu odwrócił moją uwagę od poziomu umysłowego Oleńki.

Był to wysoki, żyłasty mężczyzna w perkalowym szlafroku i podartych kapciach, o dość oryginalnej twarzy, pokrytej siecią niebieskich żyłek, przyozdobionej feldfeblowskimi wąsami i faworytami i przypominającej jako żywo ptaka. Cała twarz była

wyciągnięta do przodu, jakby zbiegała się na koniuszku nosa... Takie twarze nazywa się bodajże „świńskimi ryjami”. Małeńka główka tego człowieka osadzona była na długiej, cienkiej szyjce o wydatnej grdyce i chybołała niczym domek dla szpaków na wietrze... Ów dziwny człowiek powiódł po nas mętnymi, zielonymi oczyma i wpatrzył się w hrabiego.

– Drzwi pozamykane? – zapytał błagalnym tonem.

Hrabia spojrział na mnie i wzruszył ramionami...

– Niech tato będzie spokojny! – powiedziała Oleńka. – Wszystko pozamykane... Proszę iść do swojego pokoju!

– A szopa zamknięta?

– On jest trochę tego... sfiksowany, czasami go napada – szepnął Urbienin wyłaniając się z przedpokoju. – Boi się złodziei i, jak panowie widzą, cały czas o drzwi się zamartwia...

– Mikołaju Jefimyczu – zwrócił się do dziwnego osobnika – idź do swojego pokoju i kładź się spać! Możesz być spokojny, wszystko pozamykane!

– A okna zamknięte?

Mikołaj Jefimycz szybko obszedł wszystkie okna, sprawdził, czy są zamknięte, i nie spojrzawszy na nas poszurał kapciami do swego pokoju.

– Biedaczysko, napada go czasami – jął po jego odejściu wyjaśniać Urbienin. – Dobry z niego, porządny człowiek, obarczony rodziną – i takie nieszczęście! Niemal każdego lata mąci mu się w głowie...

Spojrzałem na Oleńkę. Zażenowana, chowając przed nami twarz, doprowadzała do porządku swoje książki. Wstyd jej widać było za obłąkanego ojca.

– Powóz zajechał, wasza ekscelencjo! – oznajmił Urbienin. – Mogą panowie jechać, jeśli sobie życzą!

– Skąd się tu wziął ten powóz? – zapytałem.

– Posłałem po niego...

Po chwili pełen złości siedziałem obok hrabiego w powozie i wsłuchiwałem się w łoskot grzmotów...

– Wykurzył nas jednak z leśniczówki ten Piotr Jegorycz, niech go diabli! – gderałem złoścąc się nie na żarty – Nie zdążyłem się nawet przyjrzeć tej Oleńce! Nie zjadłbym mu jej przecież... Stary dureń! Pękał cały czas z zazdrości... Kocha się w tej dziewczynie...

– Tak, tak... Wyobraź sobie, ja także to zauważyłem! Z zazdrości nie chciał nas wpuścić do domu i po powóz posłał też z zazdrości... Ha-ha!

– W starym piecu diabeł pali... Zresztą, bracie, trudno się nie zakochać w tej dziewczynie w czerwieni, skoro się ją widuje codziennie taką, jakąśmy ją dzisiaj widzieli! Diabelnie ładna! Ale nie dla psa kielbasa... Powinien to zrozumieć i nie być tak egoistycznie zazdrosny... Kochaj siebie, ale nie przeszkadzaj innym, tym bardziej, jeśli wiesz, że nie dla ciebie jest przeznaczona... A to ci stary dureń!

– Pamiętasz, jak się zaperzył, kiedy Kuźma przy herbacie o niej wspomniał? – zachichotał hrabia. – Myślałem wtedy, że rzuci się na nas wszystkich... Z taką żarliwością nie broni honoru kobiety ktoś, komu jest ona obojętna...

– Broni, niekiedy broni, bracie... Ale nie o to chodzi... Ważne jest co innego... Jeśli on nami tak komenderował dzisiaj, to co on musi wyprawiać z maluczkimi, z tymi, którzy są od niego zależni! Tym wszystkim klucznikom, ekonomom, myśliwym i tym podobnym maluczkiem zbliżyć się do niej chyba nie pozwala! Miłość i zazdrość czynią z człowieka istotę niesprawiedliwą, bezdusznego mizantropa... Założę się, że zadręczył już z powodu tej Oleńki niejednego podwładnego. Mądrze byś postąpił, gdybyś dawał mniej wiary jego skargom na służbę i opiniom o konieczności wydalenia tego czy innego oficjalisty. W ogóle powinienś ograniczyć na czas jakiś jego władzę... Miłość przeminie – wtedy nie będzie powodu do obaw. Dobry z niego i porządny w gruncie rzeczy chłop...

– A jak ci się podoba jej ojczulek? – zaśmiał się hrabia.

– Wariat... Właściwie powinno się go zamknąć w domu wariatów. Muszę ci powiedzieć, że nie minąłbyś się z prawdą, gdybyś na bramie swego dworu wywiesił szyld: „Dom wariatów”... Toż dom twój to prawdziwy Bełdam! Ten leśniczy, Syczicha, Franz, zwariowany na punkcie kart, zakochany starzec, egzaltowana dziewczyna, zapijaczony hrabia... Czy nie wystarczy?

– Ależ ten leśniczy pobiera pensję! Jak on może pracować, jeśli jest niespełna rozumu?

– Urbienin trzyma go widocznie tylko z powodu córki... Mówi, że napada go niemal każdego lata... Należy w to jednak wątpić... Ten leśniczy choruje nie tylko latem, lecz stale... Na szczęście twój Piotr Jegorycz rzadko kłamie i jeśli już coś skłamie, to od razu widać...

– Zeszłego roku Urbienin zawiadomił mnie, że Achmietiew, dawny leśniczy, wstępuje do klasztoru na górze Athos i polecał mi „doświadczonego, uczciwego i zasłużonego” Skworcowa... Wyraziłem oczywiście zgodę, jak zawsze zresztą. List to nie twarz: nie widać, kiedy kłamie.

Powóz wjechał na dziedziniec i stanął przed gankiem. Wysiedliśmy. Deszcz przestał padać. Chmura burzowa, miotając błyskawicami i gniewnie szemrząc, śpieszyła na

północny wschód, coraz bardziej odsłaniając granatowe, rozgwieżdżone niebo. Zdawało się, że potężnie uzbrojona armia, po dokonaniu spustoszeń i pobraniu straszego haraczu, podążała ku nowym zwycięstwom... Reszta chmurków pędziła za nią, jakby się bała, że jej nie dogoni... Przyroda odzyskiwała na powrót swój spokój...

I spokój ten zwidywał się w cichym aromacie powietrza, pełnym błogości i słowicznych treli, w milczeniu śpiącego ogrodu, w tkliwym świetle wschodzącego księżycyca... Jezioro przebudziło się po dziennym śnie i lekkim pomrukiem dawało znać o swym istnieniu...

W taką pogodę przyjemnie jeździć polami, w wygodnym powozie lub wiosłować na jeziorze... Ale my weszliśmy do domu... Oczekiwała tam nas zgoła innego rodzaju „poezja”.

Samobójcą nazywa się człowieka, który pod wpływem cierpień fizycznych lub psychicznych pakuje sobie kulę w łeb; dla tych, którzy dają upust swym nikczemnym, pustoszącym duszę namiętnościami w święte dni wiosny i młodości, nie ma nazwy w języku ludzkim. Po kuli następuje spokój mogiły, po straconej młodości – lata smutku i dręczących wspomnień. Ten, kto sprofanował wiosnę swego życia, zrozumie mój dzisiejszy stan psychiczny. Nie jestem jeszcze stary ani siwy, ale nie ma już dla mnie życia. Psychiatrzy opowiadają o żołnierzu, który, zraniony pod Waterloo, zwariował, a potem zapewniał wszystkich, i sam w to wierzył, że zabity został w bitwie pod Waterloo, a to, co teraz wszyscy uważają za niego, jest tylko jego cieniem, odbiciem przeszłości. Coś podobnego do tej półśmierci przeżywam teraz i ja...

– Bardzom rad, żeś niczego nie jadł u leśniczego i nie zepsuł sobie apetytu – rzekł do mnie hrabia, gdy wchodziliśmy do domu. – Zjemy świetną kolację... jak dawniej... Podawać do stołu! – rozkazał Ilji, który zdejmował zeń surdut i podawał szlafrok.

Udaliśmy się do jadalni. Na zastawionym stole już „wrzało życie”. Butelki różnych kolorów i wszelkich możliwych rozmiarów stały rzędami jak na półkach teatralnego bufetu i odbijając w sobie światło lamp tęskniły za nami. Solone, marynowane i różne inne zakąski stały na drugim stole obok karafek z czystą wódką i angielską gorzką. Przed butelkami win spoczywały dwa półmiski: jeden z prosięciem, drugi z jesiotrem na zimno...

– No więc... zaczął hrabia napełniając trzy kieliszki i kuląc się jak z zimna. – Na zdrowie! Bierz swój kieliszek, Kajetanie Kazimirowiczu!

Wychyliłem swój kieliszek, Polak zaś przecząco pokręcił głową. Przysunął do siebie jesiotra, powąchał i zaczął jeść.

W tym miejscu muszę prosić czytelnika o pobłażliwość. Wypadnie mi bowiem mówić o sprawach bynajmniej nie „romantycznych”.

– No więc... teraz na drugą nogę – powiedział hrabia napełniając kieliszki. – Śmiało, Lecoq!

Wziąłem swój kieliszek, spojrzałem nań i odstawiłem...

– Do licha, dawno już nie piłem – rzekłem. – A może by tak przypomnieć sobie dawne czasy? – I niewiele myśląc napełniłem pięć kieliszków i jeden po drugim opróżniłem. Inaczej pić nie umiałem. Mali sztabacy uczą się palić papierosy od starszych – hrabia, patrząc na mnie, nalał sobie pięć kieliszków i zgięty w pałąk, krzywiąc się i kręcąc głową, wychylił je wszystkie. Zaimponowałem mu tymi pięcioma kieliszkami, ale piłem wcale nie po to, by się popisać umiejętnością picia, zapragnąłem odurzenia silnego i gwałtownego, jakiego dawno już nie doświadczyłem podczas pobytu na wsi. Wypiwszy, zasiadłem do stołu i zabrałem się do prosiaka.

Działanie wódki nie kazało na siebie długo czekać. Wnet poczułem lekki zawrót głowy. W piersiach zaigrał przyjemny chłodek – początek błogosławionego, beztroskiego stanu. Raptem, bez szczególnie zauważalnego przejścia, zrobiło mi się strasznie wesoło. Uczucie pustki, nudy ustąpiło miejsca nieokiełznanej wesołości, radości. Zacząłem się uśmiechać. Zachciało mi się nagle paplać, śmiać się, zatęskniłem za towarzystwem. Pałaszując prosiaka doznałem uczucia pełni szczęścia, niemal zadowolenia z życia, byłem prawie szczęśliwy.

– Dlaczego pan nic nie pije? – zwróciłem się do Polaka.

– On w ogóle nic nie pije – powiedział hrabia. – Nie zmuszaj go.

– Ale musi pan przecież wypić cokolwiek!

Polak włożył sobie do ust duży kawałek jesiotra i przecząco pokręcił głową. Jego milczenie rozjuszyło mnie.

– Słuchaj no pan, panie tego... Kajetanie... Dlaczego to pan wciąż milczy? – zapytałem go. – Nie miałem jeszcze przyjemności słyszeć pańskiego głosu.

Jego brwi, przypominające jaskółkę w locie, uniosły się i spojrzał na mnie.

– A pan życzyłby sobie, żebym mówił? – zapytał z silnym polskim akcentem.

– Nawet bardzo.

– A na cóż to panu?

– Na litość boską! Na statku przy obiedzie obcy, nieznani sobie ludzie nawiązują rozmowę, a my się z panem znamy od kilku już godzin, przyglądamy się sobie, a nie zamieniliśmy jeszcze ani jednego słowa! Do czegoż to podobne?

Polak milczał.

– Dlaczego pan milczy? – zapytałem po chwili. – Niech pan coś odpowie!

– Nie mam zamiaru panu odpowiadać. W pańskim głosie wyczuwam drwinę, a ja kpin nie lubię.

– On wcale nie kpi! – zaniepokoił się hrabia. – Co ci przyszło do głowy, Kajetanie? On tak po przyjacielsku...

– Do mnie hrabiowie i książęta nie przemawiali takim tonem! – powiedział Kajetan ponuro. – Nie znoszę takiego tonu.

– A więc nie zaszczyci mnie pan rozmową? – czepiałem się go dalej nalewając sobie wódki i śmiejąc się.

– Wiesz, po co tu właściwie przyjechałem? – przerwał hrabia pragnąc zmienić temat rozmowy. – Nie mówiłem ci o tym? Przychodzę w Petersburgu do pewnego znajomego doktora, u którego stale się lecę, i skarżę się na swoją chorobę. Wysłuchał, opukał, osłuchał, wiesz, całego, i mówi: „Nie jesteś pan tchórzem?” Choć nie jestem tchórzem, to wiesz, zbladłem: „Nie jestem tchórzem” – mówię...

– Skracaj się bracie... Nudne to.

– Przepowiedział mi rychłą śmierć, jeśli nie opuszczę Petersburga i nie wyjadę! Całą wątrobę mam zniszczoną od ciągłego picia... No i postanowiłem tu przyjechać. Zresztą głupio tam siedzieć... Mając taką wspaniałą, rozkoszną posiadłość... Sam klimat ile jest wart!... No i robotą można się zająć! Praca to najlepsze, najskuteczniejsze lekarstwo. Nieprawdaż Kajetanie? Zajmę się gospodarstwem i rzucę picie... Doktor nie pozwala ani kieliszka...

– No to nie pij.

– Toż nie piję... Dzisiaj po raz ostatni z okazji spotkania (hrabia pochylił się ku mnie i cmoknął mnie w policzek)... z moim miłym, dobrym przyjacielem, ale od jutra – ani kropli! Na wieki dziś żegnam się z Bachusem... Na pożegnanie, Sierioża, koniaczku... napijemy się?

Napiliśmy się koniaku.

– Wyleczę się, Sierioża, kochaneczku, zajmę się gospodarstwem... Racjonalnym gospodarstwem! Urbienin jest dobry, miły... na wszystkim się zna, ale co z niego za gospodarz? To rutyniarz! Trzeba gazety prenumerować, czytać, śledzić wszystko, brać udział w wystawach rolniczych, a on nie ma odpowiedniego wykształcenia! Oleńka... czyżby był w niej zakochany? Ha-ha! Sam się wszystkim zajmę, zrobię z niego swego pomocnika... Będę kandydować w wyborach, bawić towarzystwo... co? Wszak i tu można żyć szczęśliwie! Jak myślisz? No widzisz, już się śmiejesz! Już się śmiejesz! Słowo daję, z tobą nie można poważnie rozmawiać!

Było mi wesoło, bawiło mnie to wszystko. Bawił i hrabia, bawiły świece; butelki, gipsowe zające i kaczki zdobiące ściany jadalni... Nie bawiło mnie tylko trzeźwe oblicze pana Kajetana. Obecność tego osobnika drażniła mnie.

– Nie można by tego szlachcica posłać do wszystkich diabłów? – szepnąłem hrabiemu.

– Coś ty! Na litość boską... – wybełkotał hrabia chwytając mnie za obie ręce, jakbym już miał wygrzmocić tego Polaka. – Niech sobie siedzi!

– Ale ja nie mogę na niego patrzeć! Posłuchaj pan! – zwróciłem się do Przechockiego. – Nie chce pan ze mną rozmawiać, ale za przeproszeniem, nie straciłem nadziei, że będę jeszcze miał sposobność bliżej pana poznać...

– Daj spokój! – pociągnął mnie hrabia za rękaw. – Błagam!

– Będę pana zaczepiał dopóty, dopóki nie odezwie się pan do mnie – ciągnąłem. – Czego się pan chmurzy? Czyżby i teraz słyszał pan kpinę w moim głosie?

– Gdybym wypił tyle, co pan, to porozmawiałbym z panem, ale teraz stanowimy niedobraną parę – odburknął Polak.

– Niedobraną parę... trzeba było od razu tak mówić... Właśnie o to mi chodziło... Baran wilkowi nie towarzysz, czapka za kapelusz nie stanie. W bawialni obok są świetne, miękkie kanapy! Dobrze się na nich leży po jesiotrze z chrzanem. Tam mój głos nie dochodzi. Nie miałyby pan ochoty się tam przenieść?

Hrabia klasnął w dłonie i mrugając oczyma zaczął chodzić po jadalni.

Jest tchórzem i boi się „zasadniczych” rozmów... Ja zaś po pijanemu lubię straszyć i dręczyć...

– Nic nie rozumiem! Nic nie ro-zu-miem! – jęknął hrabia, nie wiedząc co powiedzieć i co przedsięwziąć.

Wiedział, że trudno mnie powstrzymać...

– Znam pana bardzo mało – ciągnąłem – być może jest pan wspaniałym człowiekiem, toteż nie chciałbym się z panem niepotrzebnie wadzić... Ja się pana nie czepiam... Chciałbym tylko, żeby pan zrozumiał, że dla trzeźwych nie ma miejsca wśród pijanych... Obecność trzeźwego działa irytująco na pijany organizm... Niechże to pan zrozumie!

– Niech pan sobie mówi, co się panu podoba – westchnął Przechocki. – Nie uda się panu mnie sprowokować, młody człowieku...

– Czyżby? A jeśli nazwę pana upartym wieprzem, to się pan też nie obrazi?

Polak poczerwieniał – i tyle. Hrabia zbladł, podszedł do mnie przybierając błagalny wyraz twarzy, i rozłożył ręce.

– Proszę cię! Poskrom swój język!

Wszedłem w swą pijacką rolę i chciałem ją ciągnąć dalej, ale na szczęście dla hrabiego i Polaka rozległy się kroki i do jadalni wszedł Urbienin.

– Smacznego! – powiedział. – Przyszedłem się dowiedzieć, wasza ekscelencjo, czy nie będzie jakichś rozkazów?

– Rozkazów tymczasem nie, ale będę miał prośbę – odparł hrabia. – Bardzom rad, że pan przyszedł, Piotrze Jegoryczu... Niech pan z nami siądzie do kolacji, porozmawiamy o gospodarce...

Urbienin usiadł. Hrabia łyknął koniaku i jął się rozwodzić nad swymi projektami tyczącymi się racjonalnej gospodarki. Mówił długo, nudno, ciągle się powtarzając i tracąc wątek. Urbienin słuchał go tak, jak poważni ludzie słuchają paplaniny dzieci i kobiet, leniwie i uważnie... Jadł zupę z jazgarzy i ze smutkiem patrzył w swój talerz.

– Przywiozłem wspaniałe plany techniczne! – powiedział między innymi hrabia. – Wspaniałe plany! Chcecie panowie, to wam pokażę?

Zerwał się i pobiegł do swego gabinetu po plany. Urbienin, korzystając z jego nieobecności, szybko nalał sobie pół szklanki wódki i wypił nie zakąszając.

– Paskudna wódka! – powiedział patrząc z nienawiścią na karafkę.

– Dlaczego nie pije pan w obecności hrabiego, Piotrze Jegoryczu? – zapytałem go. – Czego się pan boi?

– Lepiej, Sergiuszu Pietrowiczu, udawać i pić po kryjomu, niżli pić w obecności hrabiego. Wie pan, hrabia ma dziwny charakter... Gdybym ukradł mu jawnie dwadzieścia tysięcy, to nic by w swej niefrasobliwości nie powiedział, ale gdybym zapomniał złożyć mu rachunku z każdej wydanej kopiejki, albo gdybym napił się przy nim wódki, zacząłby płakać, że ma rządcę-rozbójnika. Pan go przecież dobrze zna.

Nalał sobie jeszcze pół szklanki i wypił.

– Zdaje się, że dawniej pan nie pił, Piotrze Jegoryczu – powiedziałem.

– Tak, a teraz piję... Strasznie piję! – wyszeptał. – Strasznie, w dzień i w nocy, bez chwili wytchnienia! Nawet hrabia tyle nie pił, ile ja teraz piję... Strasznie mi ciężko, Sergiuszu Pietrowiczu! Jednemu Bogu tylko wiadomo, jak ciężko mi na sercu! Nic, tylko robaka zalewam... Zawsze pana lubiłem i szanowałem, Sergiuszu Pietrowiczu, toteż powiem z całą szczerością, że rad bym się powiesić!

– A to dlaczego?

– Przez swoją głupotę... Nie tylko dzieci są głupie... Zdarzają się głupcy i po pięćdziesiątce. Niech pan nie pyta o przyczyny.

Wszedł hrabia i położył kres jego wynurzeniom.

– Przedni likier! – powiedział, stawiając na stole miast „świątecznych” planów pękata butelkę z lakową pieczęcią benedyktyńców. – Będąc przejazdem w Moskwie u Depre'go kupiłem. Napijesz się, Sierioża?

– Zdaje się, że poszedłeś po plany? – odrzekłem.

– Ja? Po plany? A rzeczywiście! Ale, bracie, sam diabeł się nie połapie, co gdzie jest w moich walizkach... Szukałem, szukałem i machnąłem ręką. Wyborny likier. Napijesz się?

Urbienin posiedział jeszcze chwilę, pożegnał się i wyszedł. Po jego odejściu sięgnęliśmy po czerwone wino. To już mnie całkiem rozebrało. Upiłem się tak, jak właśnie chciałem, kiedy jechałem do hrabiego. Zrobiło mi się nadzwyczaj lekko na duszy, stałem się ruchliwy, jak nigdy wesoły. Zapragnąłem dokonać czegoś niezwykłego, czegoś zabawnego, imponującego... W tej chwili wydawało mi się, że mogę przepłynąć całe jezioro, rozwikłać najbardziej zagmatwaną sprawę, zdobyć każdą kobietę... Świat ze wszystkimi jego mieszkańcami doprowadzał mnie do euforii, kochałem go, lecz zarazem ogarniało mnie uczucie agresji, pragnienie dokuczania jadowitymi dowcipami, drwinami... Śmiesznego czarnobrewego Polaka i hrabiego należało wykpić, zdruzgotać unicestwiający conceptem, zetrzeć na proszek.

– Dlaczego milczycie? – zacząłem. – Mówcie, słucham! Ha-ha! Pasjami lubię, kiedy ludzie z poważnymi, solidnymi gębami plotą trzy po trzy jak dzieci... To taka kpina, taka kpina z ludzkiego umysłu!... Twarze nie harmonizują z umysłami! Żeby nie kłamać, trzeba mieć idiotyczną gębę, a wy obaj macie twarze greckich mędrców!

Nie dokończyłem... Język stanął mi kołkiem na myśl, że przemawiam do miernot nie wartych nawet pół słowa! Potrzebne mi było audytorium pełne ludzi, pięknych kobiet, oświetlone tysiącami świateł... Wstałem, wziąłem swój kielich i jałem przemierzać pokoje. Podczas hulanki przestaje istnieć przestrzeń. Co tam jadalnia, cały dom... dwór cały do nas należy...

W „mozaikowym” salonie wybrałem sobie turecką sofę, padłem na nią i puściłem wodze fantazji budując zamki na lodzie. Marzenia pijackie, jedno od drugiego wspanialsze i bezgraniczne, owładnęły moim młodym mózgiem... Wyłonił się nowy świat, pełen uderzających uroków i nie dającego się opisać piękna.

Brakowało tylko, żebym zaczął mówić do rymu i mieć halucynacje.

Hrabia przyszedł do mnie i usiadł na brzegu sofy... Chciał mi coś powiedzieć. To pragnienie zakomunikowania mi czegoś szczególnego wyczytałem z jego oczu już wkrótce po opisanych wyżej pięciu kieliszkach. Wiedziałem, o czym chce mówić...

– Ależ wypięłem dzisiaj! – rzekł do mnie. – To dla mnie gorsze od trucizny... Ale to ostatni raz... Słowo honoru, ostatni raz... Mam silną wolę...

– Dobra, dobra...

– Ostatni... Sierioża, przyjacielu, może by tak po raz ostatni posłać telegram do miasta?

– Można i wysłać...

– Pohulamy sobie ostatni raz, jak się patrzy... No, wstawajże, napisz. – Hrabia nie umie pisać telegramów, wychodzą mu długie i niejasne. Wstałem i napisałem:

„S... Restauracja «Londyn». Właściciel chóru Karpow. Rzucić wszystko i przyjechać niezwłocznie pociągiem o drugiej. Hrabia.”

– Teraz mamy za piętnaście jedenastą – powiedział hrabia. – Posłaniec będzie na stacji za trzy kwadranse, maksimum za godzinę... Karpow otrzyma telegram po pierwszej... Więc na pociąg nie zdąży... Jeżeli na ten nie zdąży, to przyjedzie towarowym... Co?

Telegram posłano przez jednookiego Kuźmę... Ilji rozkazano, by za godzinę wysłano na stację powozy... Ja zaś, by czymś zabić czas, jąłem od razu zapalać lampy i świece we wszystkich pokojach, potem otworzyłem fortepian i zabrzdąkałem...

Potem, pamiętam, leżałem na tej samej sofie, o niczym nie myśląc i w milczeniu opędałem się od zanudzającego mnie rozmowami hrabiego... Znajdowałem się w stanie jakiegoś odrętwienia, półdrzemki, czując jedynie jaskrawe światło lamp i wesoły, pełen spokoju nastrój... Postać dziewczyny w czerwieni, z pochyloną na ramię główką, z oczyma pełnymi przerażenia na myśl o widowiskowej śmierci, stanęła przede mną i cicho pogroziła małym paluszkim... Postać innej dziewczyny w czarnej sukni, o bladej, dumnej twarzy, przemknęła koło mnie i spojrzała ni to błagalnie, ni to z wyrzutem.

Potem usłyszałem hałas, śmiech, bieganinę... Czarne, głębokie oczy przesłoniły mi światło. Widziałem ich blask, ich śmiech... Na soczystych, pełnych wargach igrał radosny uśmiech... To uśmiechała się moja Cyganka, Tina...

– To ty? – zapytał jej głos. – Śpisz? Wstawaj, miły... Dawno cię nie widziałam...

W milczeniu uścisnąłem jej rękę i przyciągnąłem ją do siebie...

– Chodźmy tam... Nasi przyjechali...

– Zostań... Dobrze mi tu, Tino...

– Ale... za dużo tu światła... Zwariowałeś... Ktoś może wejść.

– Jak ktoś wejdzie, to mu skręcę kark... Dobrze mi, Tino... Już dwa lata cię nie widziałem...

W salonie ktoś grał na fortepianie.

Ach, Moskwo, Moskwo,

Moskwo... białokamienna...

– ryknęło kilka głosów...

– Widzisz, oni tam śpiewają... Nikt nie wejdzie...

– Tak, tak.

Dzięki Tinie otrząsnąłem się z odrętwienia... Dziesięć minut później wprowadziła mnie do salonu, gdzie półkolem stał chór... Hrabia siedział okrakiem na krześle i wybijał takt rękoma... Przechocki stał za nim i zdziwionymi oczyma wodził po śpiewakach. Wyrwałem z rąk Karpowa jego bałałajkę, machnąłem ręką i zaintonowałem:

W dół po maatuszce... po Wołdze...

– Po Wołdze – podchwycił chór.

Ach, pał, mów... mów...

Machnąłem ręką i momentalnie, z szybkością błyskawicy nastąpiło nowe przejście:

Noce szalone, noce wesołe...

Nic tak irytująco i podniecająco nie działa na moje nerwy, jak podobne ostre przejścia. Zadrzałem z zachwytu i objąwszy Tinę jedną ręką, a drugą machając w powietrzu bałałajką, dośpiewałem do końca *Noce szalone...* Bałałajka z trzaskiem uderzyła o podłogę i rozbiła się na drobne kawałki...

– Wina!

Dalej moje wspomnienia są bardzo chaotyczne... Wszystko się pomieszało, poplątało, wszystko jest mętne, niejasne... Pamiętam szare niebo poranka... Płyniemy łódkami... Jezioro z lekka faluje i jakby gorszy się patrząc na nasze bezpieczeństwo... Stoję pośrodku łódki i chwieję się... Tina ostrzega mnie, że mogę wpaść do wody, i prosi, bym usiadł... Ja zaś głośno wyrażam żal, że na jeziorze nie ma fal tak wysokich jak Kamienna Mogiła, i płoszę swym głosem białe mewy – migocące białe plamy na niebieskiej powierzchni jeziora.

Potem w mojej pamięci następuje długi upalny dzień z jego nie kończącymi się śniadaniem, dziesięcioletnimi nalewkami, ponczami, rozpustą... Z tego dnia pamiętam tylko kilka chwil... Pamiętam siebie, huśtającego się w ogrodzie z Tiną na huśtawce. Ja stoję na jednym końcu deski, ona na drugim. Pracuję zawzięcie całym ciałem, ile tylko mam siły, i sam nie wiem, czego właściwie chcę: czy żeby Tina zleciała z huśtawki i potłukła się, czy też żeby wzbijała się pod same chmury? Tina stoi blada jak śmierć, ale dumna i ambitna, zaciska zęby, żeby żadnym dźwiękiem nie zdradzić swego strachu. Wzbijamy się coraz wyżej i wyżej i... nie pamiętam, czym się to skończyło. Potem następuje spacer z Tiną długą zacienioną aleją z zielonym sklepieniem. Poetycki półmrok,

czarne warkocze, soczyste wargi, szept... Potem obok mnie kroczy mały kontralt, blondynka o ostrym nosku, dziecinnych oczach i bardzo cienkiej talii. Spacerujemy dopóty, dopóki Tina, wyśledziwszy nas, nie robi mi awantury... Cyganka jest blada i wściekła... Nazywa mnie „przeklętym” i, obrażona, chce wyjechać do miasta. Hrabia, blady, z drżącymi rękoma, biega wokół nas i, jak zwykle, nie znajduje słów, by nakłonić Tinę do pozostania... Ta w końcu policzkuje mnie... Dziwna rzecz: najdrobniejsza obraza wypowiedziana przez mężczyznę może wprawić mnie w szal, a zupełnie obojętny jestem na policzki, które otrzymuję od kobiet... Znowu długa sjesta poobiednia, znowu żmija na schodach, znowu śpiący Franz z muchami koło ust, znowu furtka... Dziewczyna w czerwieni stoi na Kamiennej Mogile, ale ujrzawszy nas znika jak jaszczurka.

Pod wieczór jesteśmy z Tiną znowu przyjaciółmi. Po wieczorze następuje ta sama nieokiełznana noc z muzyką, zapamiętałym śpiewem, z drażniącymi nerwy pasażami... i ani chwili snu!

– To samounicestwienie! – szepnął do mnie Urbienin, który wstąpił na chwilę posłuchać śpiewu...

Ma oczywiście rację. Dalej, pamiętam, stoimy z hrabią w ogrodzie naprzeciwko siebie i spieramy się. Koło nas przechodzi czarnobrewy Kajetan, który nie brał żadnego udziału w naszej zabawie, niemniej jednak nie kładł się spać i nie odstępował nas ani na chwilę niby cień... Niebo jest już białe i wierzchołki drzew zaczynają się złocić od promieni wschodzącego słońca. Dokoła rwetes wróbli, śpiew szpaków, szelest, trzepotanie ociążałych po nocy skrzydeł... Słysząc porykiwanie stada i pokrzykiwania pastuchów. Obok nas stolik z marmurowym blatem. Na stoliku świeca Szandora z bladym płomieniem. Niedopałki, papierki od cukierków, rozbite kieliszki, skórki pomarańczowe...

– Musisz to wziąć! – mówię podając hrabiemu paczkę banknotów. – Zmuszę cię do tego!

– Ależ to ja ich zapraszałem, a nie ty! – broni się hrabia usiłując złapać mnie za guzik. – Ja tu jestem gospodarzem, a ty moim gościem – z jakiej racji miałbyś płacić? Zrozum, że mnie obrażasz!

– Ja też ich najmowałem, dlatego płacę połowę. Nie weźmiesz? Nie rozumiem tych twoich uprzejmości! Myślisz, że skoroś tak diabelnie bogaty, to masz już prawo tak mnie zobowiązywać? Do licha, ja najmowałem Karpowa i ja mu zapłacę!

– Nie chcę twojej połowy!

– Ja pisałem telegram!

– W restauracji, Sierioża, możesz płacić, ile ci się podoba, ale mój dom to nie restauracja... Poza tym stanowczo nie rozumiem, o co ci chodzi, dlaczego się tak gorączkujesz. Masz mało pieniędzy, a dla mnie to tyle, co splunąć... Słuszność jest po mojej stronie!

– A więc nie weźmiesz? Nie? No to nie...

Podsuwam banknoty do bladego płomienia Szandora, zapalam i rzucam na ziemię. Z piersi Kajetana wydobywa się jęk. Wytrzeszcza oczy, blednie i pada całym swym ciężkim cielskiem na ziemię, usiłując zgasić rękoma ogień na pieniądzach... Udaje mu się to.

– Nie rozumiem! – mówi wkładając do kieszeni nadpalone banknoty. – Palić pieniądze?! Jakby to były zeszlóroczne liście albo listy miłosne... Już lepiej jakiemuś biedakowi dać niż oddawać na pastwę płomieni.

Wchodzę do domu... Wszędzie – na kanapach i dywanach leżą pokotem wyczerpani, umęczeni śpiewacy... Moja Tina śpi na sofie w „mozaikowym” salonie...

Rozrzuciła szeroko ramiona i ciężko oddycha... Zęby ma zaciśnięte, twarz bladą... Widocznie śni jej się huśtawka... Po wszystkich pokojach snuje się Syczicha i gniewnie spogląda swoimi świdrującymi oczkami na ludzi, którzy tak raptownie zakłócili martwą ciszę zapomnianego dworu... Nie bez kozery chodzi i wysila swoje stare kości...

Ot i wszystko, co pozostało w mej pamięci po dwóch dzikich nocach, reszta zaś nie utrzymała się w pijanym mózgu, a może niezręcznie o tym pisać... Ale dość tego!...

Nigdy jeszcze Zorka nie niosła mnie z taką gorliwością, jak owego ranka po spaleniu banknotów... Ona też chciała do domu... Jezioro cicho toczyło swe spienione fale i, odbijając w sobie wschodzące słońce, sposobilo się do dziennego snu... Lasy i przybrzeżne wierzby stały bez ruchu jakby na porannej modlitwie... Trudno opisać ówczesny stan mej duszy... Niewiele się rozwodząc powiem tylko, że niezmiernie się ucieszyłem i zarazem omal nie spłonąłem ze wstydu, gdy na zakręcie przed dworkiem hrabiowskim zobaczyłem na brzegu starą, znużoną uczciwą pracą i chorobami, świętą twarz starego Michieja... Wyglądem swym przypomina on biblijnych rybaków... Siwy jak gołąb, z długą brodą, patrzy marzycielsko na niebo... Kiedy tak stoi nieruchomo na brzegu i śledzi spojrzeniem biegnące obłoki, można by pomyśleć, że widzi anioły w niebie... Lubię takie twarze...

Ujrzawszy go osadziłem swoją Zorkę i podałem mu rękę, jakby pragnąc oczyścić się dotknięciem jego uczciwej, zrogowaciałej dłoni... Podniósł na mnie swoje maleńkie, przenikliwe oczy i uśmiechnął się.

– Dzień dobry, łaskawy panie! – powiedział, niezgrabnie podając mi rękę. – Znowu pan cwałuje? Czyżby ten nierób przyjechał?

– Przyjechał.

– Właśnie... widzę to po twarzy... A ja tu sobie stoję i patrzę... Świat to jest świat. Marność nad marnościami... No bo proszę patrzeć! Niemcowi pora umierać, a on marnościami się kłopotuje... Widzisz?

Staruszek wskazał laską hrabiowski domek kąpielowy. Od domku szybko płynęła łódka. Siedział w niej jakiś człowiek w czapce dżokejskiej i niebieskiej kurtce. Okazało się, że to ogrodnik Franz.

– Codziennie rano wozi pieniądze na wyspę i gdzieś chowa... Nie przyjdzie durniowi do głowy, że dla niego piasek czy pieniądze – to jedno i to samo... Umrze – ze sobą nie zabierze. Daj, panie, papieroska!

Podałem mu papierośnicę. Wziął trzy papierosy i wsunął za pazuchę.

– To dla siostrzeńca... Niech se popali.

Niecierpliwa Zorka zaczęła się wiercić i popędziła. Pokłoniłem się staruszkowi, wdzięczny, że pozwolił, by oczy moje odpoczęły na jego twarzy. Długo patrzył za mną.

W domu powitał mnie Polikarp... Pogardliwym, unicestwiającym spojrzeniem otaksował moje pańskie cielsko, jakby pragnąc dowiedzieć się, czy tym razem kąpałem się w ubraniu, czy też nie?

– Moje gratulacje! – burknął. – Ma pan, czego chciał!

– Milcz durniu! – odrzekłem.

Złościła mnie jego głupia gęba. Szybko się rozebrałem, naciągnąłem kołdrę i zamknąłem oczy.

Kręciło mi się w głowie i świat spowił się mgłą. We mgle przemknęły znajome obrazy... Hrabia, żmija, Franz, psy ognistego koloru, dziewczyna w czerwieni, nienormalny Mikołaj Jefimycz.

– Mąż zabił swoją żonę! Ach, jaki z pana głupiec! Dziewczyna w czerwieni pogroziła mi palcem, Tina przesłoniła mi światło swoimi czarnymi oczyma i... zasnąłem...

– Jak słodko i spokojnie śpi! Patrząc na tę bladą, zmęczoną twarz, na ten niewinny, dziecięcy uśmiech i przysłuchując się temu równemu oddechowi, można by pomyśleć, że leży tu na łóżku nie sędzia śledczy, ale uosobienie czystego sumienia! Można by pomyśleć, że hrabia Karniejew jeszcze nie przyjechał, że nie było ani pijatyki, ani Cyganek, ani awantur na jeziorze... Proszę wstawać, przewrotny młody człowieku! Nie zasługuje pan na to, żeby korzystać z takiego dobrodziejstwa jak spokojny sen! Proszę wstawać!

Otworzyłem oczy i przeciągnąłem się rozkosznie... Od okna do mojego łóżka biegł szeroki promień słoneczny, w którym, goniąc się i figlując, latały małe pyłki, toteż sam promień wydawał się zasnuty matową bielą... Promień to znikał mi z oczu, to znów pojawiał się, w zależności od tego, czy zasłaniał go, czy też odsłaniał przechadzający się

po mojej sypialni nasz najmilszy lekarz powiatowy Paweł Iwanowicz Wozniesieński. W długim, zapiętym na wszystkie guziki surducie, który wisiał na nim jak na wieszaku, z rękami w kieszeniach swoich niesamowicie długich spodni, doktor chodził z kąta w kąt, od krzesła do krzesła, od portretu do portretu i mrużył swe oczy krótkowidza, przyglądając się wszystkiemu, co znalazło się w polu jego widzenia. Wierny swemu zwyczajowi wtykania nosa i zapuszczania żurawia wszędzie, gdzie to możliwe – pochylając się, to znów rozprostowując, zaglądał do umywalki, między fałdy opuszczonych stor, w szpary w drzwiach, czy wszystko jest w porządku... Wpatrując się z uwagą przez okulary w jakąś szparę albo plamę na tapecie, zasepiał się, przybierał zatroskany wyraz twarzy, pociągał swym długim nosem, skrętnie skrobał paznokciem... Wszystko to robił machinalnie, nieświadomie, z przyzwyczajenia, niemniej jednak, szybko przeskakując wzrokiem z jednego przedmiotu na drugi, wyglądał jak biegły przeprowadzający wizję lokalną.

– Proszę wstawać, słyszy pan! – budził mnie swym śpiewnym tenorem, zaglądając do mydelniczki i zdejmując paznokciem jakiś włoszek z mydła.

– A... a... a... dzień dobry, panie szparka! – ziewnąłem i zobaczyłem, jak się pochyła nad zlewem. – Kopę lat, doktorze, kopę lat!

W powiecie nazywano doktora „szparką” z powodu jego wiecznie przymrużonych oczu, ja też go tak przezywałem. Widząc, że się obudziłem, podszedł do mnie, usiadł na brzegu łóżka i zaraz zbliżył do swych przymrużonych oczu pudełko zapalek...

– Tak śpią tylko wałkonie i ludzie o czystym sumieniu – rzekł – a ponieważ nie jest pan ani jednym ani drugim, to powinien pan, przyjacielu, wstawać cokolwiek wcześniej...

– A która teraz może być godzina?

– Zbliża się jedenasta.

– Niech pana diabli porwą, szpareczko! Kto pana prosił, żeby mnie tak wcześnie budzić? Czy pan wie, że zasnąłem dzisiaj dopiero o szóstej, i gdyby nie pan, spałbym do wieczora.

– Aha! – dobiegł z sąsiedniego pokoju głos Polikarpa. – Mało mu jeszcze spania! Już drugą dobę śpi i jeszcze mu mało! Czy pan wie, jaki mamy dziś dzień? – zapytał Polikarp wchodząc do sypialni i patrząc na mnie tak, jak ludzie mądrzy patrzą na głupców.

– Środa – odparłem.

– A jużci, niezawodnie. Specjalnie dla pana tak zrobili, żeby w tygodniu były dwie środy...

– Dziś mamy czwartek! – powiedział doktor. – Tak więc, kochaneczku, raczył pan całą środę przespać? A to ładnie, bardzo ładnie! Ileż to się wypilo, może zechce mi łaskawy pan powiedzieć?

– Dwie doby nie spałem, a wypilem... nie pamiętam, ile wypilem...

Odesławszy Polikarpa zacząłem się ubierać i opisywać doktorowi przeżyte przeze mnie tak niedawno „noce szalone, noce bezładne”, które tak piękne i wzruszające są w romansach i tak szkaradne w rzeczywistości. W opisach swych starałem się nie stracić lekkiego tonu, trzymać się faktów i nie moralizować, choć wszystko to przeczy naturze człowieka, namiętnie lubiącego podsumowywać i wyciągać wnioski... Mówiłem i udawałem, że mówię o błahostkach, które mnie wcale nie poruszają. Znajac powściągliwość Pawła Iwanowicza, jego wstręt do hrabiego, wiele szczegółów przemilczałem, wielu dotknąłem jedynie z lekka, niemniej jednak mimo żartobliwości mego tonu i karykaturalnego stylu opowieści, doktor cały czas patrzył mi z powagą w twarz, co chwila kiwając głową i niecierpliwie wzruszając ramionami. Ani razu się nie uśmiechnął... Widać mój żartobliwy ton wywarł na nim smutne wrażenie.

– Dlaczego pan się nie śmieje, szparko? – zapytałem skończywszy swą relację...

– Gdyby pan mi tego wszystkiego sam nie opowiedział i gdyby nie pewien wypadek, nie dałbym temu wszystkiemu wiary. Ale to po prostu obrzydliwe, przyjacielu!

– O jakim wypadku pan mówi?

– Wczoraj wieczorem był u mnie chłop, którego pan niezbyt delikatnie poczęstował wiośłem... Iwan Osipow...

– Iwan Osipow... – wzruszyłem ramionami. – Pierwszy raz słyszę!

– Taki wysoki, rudy... piegowaty... Niech pan sobie przypomni! Uderzył go pan wiośłem po głowie.

– Nic nie rozumiem! Nie znam żadnego Osipowa, nikogo wiośłem nie częstowałem... Przyśniło się to panu, wujaszku!

– Dałby Bóg, żeby to był sen... Przyszedł do mnie z zaświadczeniem urzędu gminnego i poprosił o świadectwo lekarskie... W zaświadczeniu stwierdzono, a i chłop nie kłamał, że ranę pan mu zadał... Nie przypomina sobie pan teraz? Rana tłuczona górnej części czoła tuż przy włosach. Do samej kości się pan dobrał, mój kochany!

– Nie pamiętam! – wyszeptałem. – Kto to jest? Co robi?

– Zwyczajny chłop Karniejewa, wiózł was łódką podczas waszej zabawy.

– Hm... możliwe! Nie pamiętam... Byłem widocznie pijany i jakoś niechcący...

– Ładnie niechcący... On mówi, że pan się na niego za coś tam rozgniewał, długo mu wymyślał, a potem rozwścieczony podskoczył do niego i przy świadkach zadał mu cios... Mało tego, krzyknął pan: „Ja cię zabiję, ty łotrze jeden!”...

Poczerwieniałem i przeszedłem się z kąta do kąta.

– Niech mnie kule biją, nie pamiętam! – odrzekłem natężając ze wszystkich sił pamięć. – Nie pamiętam! Mówi pan: „rozwścieczony”... Po pijanemu jestem rzeczywiście niewybaczalnie porywczy!

– Ładne rzeczy!

– Chłop chce widocznie wywołać skandal, ale to nieważne... Ważny jest sam fakt, pobicie... Czyżbym był do tego zdolny? I za co uderzyłem tego nieboraka?

– Tak... świadectwa nie mogłem oczywiście mu nie wydać, ale nie omieszkałem poradzić mu, by się zwrócił do pana... Załatwi to pan z nim jakoś... Obrażenia są powierzchowne, ale mówiąc nieoficjalnie, rana głowy do samej kości to rzecz poważna... Nierzadkie są przypadki, kiedy najłżejsza rana głowy, zakwalifikowana jako lekka, kończyła się martwicą tkanki kostnej czyli podróżą *ad patres*.

„Szparka” wstał podniecony, jał chodzić wzdłuż ścian i wymachując rękami zaczął wyklądać mi swoje wiadomości z zakresu patologii chirurgicznej... Martwica tkanki kostnej, zapalenie mózgu, śmierć i inne potworności sypały mu się z ust z niekończącymi się objaśnieniami makroskopijnych i mikroskopijnych procesów towarzyszących tej mętnej i nieciekawej dla mnie *terrae incognitae*.

– Dość tego głędzenia! – powstrzymałem jego medyczną gadaninę. – Czy doprawdy nie czuje pan, jakie to wszystko nudne?

– Co z tego, że nudne... Niech pan słucha i bije się w piersi... Może następnym razem będzie pan ostrożniejszy i nie będzie robił głupstw... Z powodu tego drania Osipowa, jeśli pan nie dojdzie z nim do porozumienia, może pan stracić posiadłość. Kapłan Temidy sądzony za pobicie... Toż to skandal!

Paweł Iwanowicz to jedyny człowiek, którego sentencji wysłuchuję z lekkim sercem, nie krzywiąc się, któremu pozwalam pytająco zaglądać w oczy i zanurzać badawczą rękę w zakamarkach mej duszy... Jesteśmy przyjaciółmi w najlepszym tego słowa znaczeniu i szanujemy się nawzajem, choć mamy ze sobą porachunki niemiłej i drażliwej natury... Między nim a mną, niczym czarny kot, przebiegła kobieta. Ów odwieczny *casus belli* zrodził między nami porachunki, lecz nie poróżnił nas, toteż żyjemy w zgodzie. „Szparka” – to bardzo porządny człowiek... Lubię jego prostą, bynajmniej nie malarską twarz o dużym nosie, przymrużonych oczach i rzadkiej rudej bródce. Lubię jego wysoką, szczupłą, wąską w ramionach sylwetkę, na której surduty i palta wiszą jak na wieszaku.

Jego szkaradnie skrojone spodnie ohydnie się marszczą na kolanach i bezlitośnie przydeptywane są butami, węzeł jego białego krawata nigdy nie tkwi na właściwym miejscu... Ale proszę nie myśleć, że to niechluj... wystarczy spojrzeć na jego dobrą, skupioną twarz, by zrozumieć, że nie ma kiedy troszczyć się o swój wygląd, zresztą nie potrafi tego robić... Jest młody, uczciwy, opanowany, lubi swoją medycynę, wiecznie jest

w rozjazdach – to chyba wystarczy, by wytłumaczyć na jego korzyść wszelkie uchybienie jego niewyszukanej toalety. Niczym artysta nie ceni pieniądza i niewzruszenie rezygnuje z komfortu i dóbr tego świata na rzecz jakichś swoich małych namiętności, toteż sprawia wrażenie człowieka niemajątnego, ledwie wiążącego koniec z końcem... Nie pije, nie pali, nie wydaje na kobiety, niemniej jednak te dwa tysiące, które przynosi mu jego posada i praktyka, ulatniają się równie szybko jak moje pieniądze podczas hulanki. Rujną go dwie namiętności: namiętność do pożyczania i namiętność do ofert gazetowych... Pożycza każdemu, kto go o to prosi, bez słowa, i nawet nie wspomina o zwrocie... W żaden sposób nie można złamać jego wiary w ludzką rzetelność, i wiara ta jeszcze plastyczniej przejawia się w zamówieniach rzeczy zachwalanych w ofertach gazetowych... Zamawia wszystko, co mu potrzebne i niepotrzebne. Zamawia książki, lunety, czasopisma humorystyczne, serwisy stołowe „składające się ze stu naczyń”, chronometry... I nie dziwota, że chorzy przychodzący do Pawła Iwanowicza poczytują jego pokój za arsenał lub muzeum... Nabierano go i nabierają dalej, ale jego wiara w ludzi jest w dalszym ciągu silna i niewzruszona... Porządny z niego chłop i nieraz jeszcze spotkamy się z nim na stronicach tej opowieści...

– Ależ się zasiedziałem – spostrzegł się spojrzawszy na swój tani, jednokopertowy zegarek, zamówiony w Moskwie „z pięcioletnią gwarancją”, niemniej jednak dwa razy już reperowany. – Czas na mnie, przyjacielu! Żegnaj pana i proszę na siebie uważać! Te hrabiowskie hulanki do niczego dobrego nie doprowadzą! Nie mówię już o zdrowiu... Ach, byłbym zapomniał! Będzie pan jutro w Tieniewie?

– A co ma tam być?

– Przecież święto urzędowe! Wszyscy tam będą, niech pan też przyjedzie! Koniecznie! Przyrzekłem, że pana namówię...

Komu przyrzekł – nie trzeba było o to pytać. Zrozumieliśmy się. Pożegnawszy się ze mną, doktor włożył swoje podniszczone paletko i odjechał...

Zostałem sam... By zagłuszyć nieprzyjemne myśli, które zaczynały kłębić się w mej głowie, podszedłem do swego biurka i usiłując nie myśleć, niczego sobie nie uświadamiać, zająłem się korespondencją... Dziwna koperta, jaka wpadła mi w oczy, zawierała następujący list:

„Kochaneczku mój, Sierioża! Wybacz, że Cię niepokoję, ale jestem taka zdziwiona, że nie wiem, do kogo się zwrócić... Do czego to podobne? Oczywiście, to się już nie odstanie i nawet mi nie żal, ale zastanów się sam, że jeżeli złodziejowi się będzie pobażać, to porządna kobieta nigdzie nie będzie miała spokoju.

Potem, jak odjechałeś, obudziłam się na kanapie i nie znalazłam na sobie wielu rzeczy. Zabrali mi bransoletkę, złotą spinkę, dziesięć pereł z naszyjnika i wyjęli z portmonetki sto rubli. Chciałam się poskarżyć hrabiemu, ale on spał, więc wyjechałam z

niczym. To nieładnie. Hrabiowski dom, a kradną jak w knajpie. Powiedz hrabiemu. Całuję Cię i kłaniam się. Twoja kochająca Tina.”

Że w domu hrabiego roіło się od złodziei – nie było to dla mnie żadną nowiną, toteż dołączyłem list Tiny do informacji, w które już obfitowała moja pamięć. Wcześniej czy później będę musiał nadać im bieg. Znałem wszak złodzieja.

List czarnookiej Tiny, jej grube, soczyste pismo przypomniły mi mozaikowy salon i wzbudziły we mnie pragnienie podpicia sobie nieco, ale przemogłem się i siłą woli zmusiłem się do pracy. Z początku niewymownie nudziło mnie odczytywanie kulfonów naczelników policji, ale potem moją uwagę zaprzętnął fakt kradzieży z włamaniem, i zacząłem pracować z rozkoszą. Cały dzień siedziałem przy biurku, a Polikarp co chwila przechodził koło mnie i niedowierzająco spoglądał na moją pracę. Nie wierzył w moją stateczność i cały czas spodziewał się, że wstanę zza biurka i każę mu osiodłać Zorkę, ale pod wieczór, widząc mój upór, uwierzył i wyraz posępnosci na jego twarzy ustąpił zadowoleniu... Zaczął chodzić na palcach, mówił szeptem... Kiedy koło moich okien przechodziło kilku wyrostków z harmonią, wyszedł na ulicę i krzyknął:

– Czegóście się, diabły, tak rozszalały? Wynoście mi się stąd! Nie wiecie, chamy jedne, że mój pan pracuje?

Wieczorem stawiając w jadalni samowar, cicho otworzył drzwi i z czułością poprosił mnie na herbatę.

– Herbata jest gotowa! – powiedział wzdychając tkliwie i uśmiechając się z uszanowaniem.

Kiedy zaś piłem herbatę, cicho podszedł z tyłu i pocałował mnie w ramię...

– Tak jest lepiej, Sergiuszu Pietrowiczu – wymamrotał. – Niech, pan plunie na tego płowowłosego diabła, niech go... Alboż to godzi się przy pańskim rozumie i pana wykształceniu z takimi ladaco się zadawać? Jest pan nie byle kim... Wszyscy powinni pana szanować, bać się pana, a jeżeli będzie pan z tym diabłem ludziom głowy rozwalać i w jeziorze w ubraniu się kąpać, to każdy powie: „Żadnego pomysłu! Pstro w głowie!” No i będzie pan miał reputację! Hulanki to dobre dla kupca, a nie dla osoby szlachetnie urodzonej... Osoba szlachetnie urodzona nauką się para, służbą...

– No, dość już, dość...

– Niech się pan nie zadaje z hrabią, Sergiuszu Pietrowiczu! A skoro już chce się pan z kimś przyjaźnić, to dlaczego nie z takim człowiekiem jak doktor Paweł Iwanycz? Tyle tylko, że chodzi jak oberwaniec, ale za to ile rozumu ma!

Szczeróć Polikarpa wzruszyła mnie... Chciałem powiedzieć mu coś serdecznego...

– Jaką to powieść czytasz teraz? – zapytałem go.

– *Hrabiego Monte Christa*. To jest dopiero hrabia! Prawdziwy hrabia! Niepodobny do tego pańskiego zgniłka!

Po herbacie znowu zabrałem się do roboty i pracowałem dopóty, dopóki powieki nie zaczęły mi się kleić... Kładąc się spać poleciłem Polikarpowi, aby obudził mnie o piątej.

Nazajutrz, o szóstej rano, wesoło pogwizdując i strącając laseczką główki kwiatów, szedłem piechotą do Tieniewa, gdzie tego dnia było święto urzędowe i dokąd zapraszał mnie mój przyjaciel „szparka”, Paweł Iwanowicz.

Poranek był czarowny. Samo szczęście, zdawało się, szybowało nad ziemią i, odbijając się w brylantowych kropelkach rosy, wabiło ku sobie duszę przechodnia... Las, spowity porannym światłem, cichy i nieruchomy, jakby przysłuchiwał się moim krokom i ćwierkaniu ptasiego bractwa, witającego mnie wyrazami nieufności i przestachu... Powietrze przesiąknięte było oparami wiosennej zieleni i delikatnie pieściło moje zdrowe płuca. Wdychałem je i obejmując zachwyconymi oczyma przestrzeń, czułem wiosnę, młodość, i zdawało mi się, że młode brzoźki, przydrożna trawka i brzęczące bez ustanku chrabąszcze podzielały ze mną to uczucie.

„I dlaczegóż to – myślałem sobie – na tym świecie, w którym nie brak przestrzeni do życia i rozmyślań, człowiek gnieździ się w swych ciasnych norach i hołduje ciasnym poglądom? Dlaczego nie przeniesie się tutaj?”

I moja napoetyzowana wyobraźnia odpychała od siebie myśli o zimie i chlebie – tych dwóch elementach zapędzających poetów do zimnego, prozaicznego Petersburga i niechlujnej Moskwy, gdzie płaci się honorarium za wiersze, ale nie daje natchnienia.

Mijały mnie chłopskie furmanki i ziemiańskie bryczki śpieszące na mszę poranną i jarmark. Co chwila musiałem zdejmować czapkę i odpowiadać na uprzejme powitania chłopów i znajomych mi ziemian. Każdy chciał mnie „podwieźć”, ale iść było przyjemniej niż jechać, i za każdym razem odmawiałem. Wyminął mnie między innymi na dwukółce hrabiowski ogrodnik Franz w niebieskiej kurtce i kaszkiecie... Leniwie spojrzał na mnie sennymi, wyblakłymi oczyma i jeszcze leniwiej zasalutował. Z tyłu umocowana była pięciowiadrowa beczka o żelaznych obręczach, najprawdopodobniej na wódkę... Wstrętą gęba Franza i jego beczka nieco zakłóciły mój poetycki nastrój, lecz wkrótce poezja znowu zatriumfowała, kiedy usłyszałem za sobą turkot powozu i, obejrzawszy się, ujrzałem ciężki szaraban zaprzężony w parę gniadych koni, a w szarabanie na skórzanym siedzeniu w kształcie skrzyni – moją nową znajomą, „dziewczynę w czerwieni”, z którą dwa dni temu rozmawialiśmy o „elektryczności”, co zabiła jej matkę... Miła, świeżo umyta i trochę zaspana twarzyczka Oleńki rozpromieniła się i zarumieniła, gdy mnie zobaczyła, krocącego skrajem miedzy dzielącej las od drogi. Kiwnęła mi wesoło i uśmiechnęła się przyjaźnie, jakbyśmy byli starymi znajomymi.

– Dzień dobry! – krzyknąłem do niej.

Pomachała mi rączką i wraz ze swym ciężkim szarabanem zniknęła mi z oczu, nim zdołałem nasycić wzrok jej ładniutką, świeżą twarzyczką. Tym razem nie była ubrana na czerwono. Miała na sobie jakąś ciemnozieloną turniurę z dużymi guzikami i słomkowy kapelusz o szerokim rondzie, wszelako spodobała mi się nie mniej niż poprzednim razem. Z przyjemnością porozmawiałbym z nią i posłuchał jej głosu. Miałem ochotę zajrzeć w jej głębokie oczy w blasku słońca, jak zaglądałem w nie podówczas wieczorem w świetle błyskawic. Miałem ochotę wysadzić ją z brzydkiego szarabanu i zaproponować, by odbyła resztę drogi u mego boku, co też uczyniłbym, gdyby nie krępujące „konwenanse”. Wydawało mi się nie wiedzieć czemu, że chętnie przystałaby na tę propozycję... Nie bez kozery dwa razy obejrzała się na mnie, gdy szaraban skręcał za wysokimi olchami!...

Od miejsca mego zamieszkania do Tieniewa było sześć wiorst – dla człowieka młodego w tak piękną pogodę odległość niemal niezauważalna. Tuż po siódmej precisnąłem się między wozami i budami jarmarcznymi do tieniewskiej cerkwi. Zgiełk targowy, mimo wczesnej pory oraz tego, że msza poranna jeszcze się nie skończyła, unosił się już w powietrzu. Skrzypienie wozów, rzenie koni, ryczenie krów, dźwięk dziecinnych trąbek, wszystko to mieszało się z zawołaniami cygańskich handlarzy i śpiewem chłopów, którzy zdążyli się już „nażłopać”. Ileż wesołych, odświętnych twarzy, ileż typów! Ileż uroku i życia w tej masie mieniącej się jaskrawymi kolorami odzienia, zalanej światłem porannego słońca! Wszystko to, wielotysięczne, mrowiło się, poruszało, hałasowało, by w kilka godzin załatwić swe interesy i pod wieczór rozjechać się do domów, zostawiwszy po sobie na placu, niczym wspomnienie, resztki siana, tu i ówdzie rozsypany owies i skorupy orzechów... Ludziska gęstą ciżbą cisnęli się do cerkwi...

Krzyż cerkiewny wysyłał złote promienie, tak jaskrawe jak samo słońce. Skrzył się jak gdyby płonął złotym ogniem. Pod nim płonęła tym samym ogniem czasza cerkwi i połyskiwała na słońcu świeżo malowana zielona kopuła, a za lśniącym krzyżem szeroko rozpościerał się przezroczyty daleki błękit nieba.

Wszedłem za ogrodzenie i przez gęstą ciżbę dostałem się do cerkwi. Msza się dopiero rozpoczęła i kiedy wchodziłem czytano jeszcze *Dzieje Apostolskie*. W cerkwi panowała cisza, którą zakłócało tylko czytanie i kroki okadzającego popa. Ludzie stali w milczeniu, bez ruchu i nabożnie wpatrywali się w otwarte carskie wrota i przysłuchiwali się przeciągłym śpiewom. Obyczaj wiejski, a raczej wiejska przyzwoitość potępia wszelkie próby naruszania w cerkwi nabożnej ciszy. Zawsze czułem się nieswojo, gdy w cerkwi coś zmuszało mnie do uśmiechu lub do rozmowy. Na nieszczęście nader często spotykałem w cerkwi moich znajomych, których miałem, niestety, bardzo wielu; zazwyczaj, skoro tylko znalazłem się w cerkwi, od razu podchodził do mnie któryś ze znajomych „inteligentów” i po długich wstępach o pogodzie zaczynał rozmowę o swych bzdurnych sprawach. Odpowiadałem „tak” lub „nie”, ale takt nie pozwalał mi całkowicie lekceważyć swego rozmówcy. I ten mój takt kosztował mnie niemało: rozmawiałem i z zażenowaniem zerkałem na modlących się sąsiadów w obawie, by nie dotknąć ich swą pustą gadaniną.

Tym razem również nie obeszło się bez znajomych. Wchodząc do cerkwi, przy samym wejściu zobaczyłem tę właśnie „dziewczynę w czerwieni”, którą spotkałem idąc do Tieniewa.

Biedactwo, czerwone jak rak i zlane potem, stało w tłumie i wodziło dokoła błagalnym spojrzeniem, szukając wybawcy. Utknęła w ciżbie i nie mogąc się ruszyć ani do przodu, ani do tyłu, podobna była do ptaszka, którego mocno ściśnięto w garści. Ujrzawszy mnie uśmiechnęła się z goryczą i pokiwała mi swym milutkim podbródkiem.

– Niech mi pan pomoże przedostać się do przodu! – wyrzekła chwytając mnie za rękaw. – Tu jest strasznie duszno i... ciasno... Błagam pana!

– Ależ tam też jest ciasno! – odparłem.

– Ale tam ludzie są czysto ubrani, przyzwoici... A tu prostacy, nasze miejsce jest z przodu... Pan też tam powinien być...

A więc czerwona jest nie dlatego, że w cerkwi duszno i ciasno. Jej małą główkę dręczył problem właściwego miejsca! Uległem prośbie próżnej dziewczynki i torując jej ostrożnie drogę w tłumie doprowadziłem do ambony, gdzie zgromadziła się już cała śmietanka naszego powiatowego *beau-monde'u*. Zostawiwszy Oleńkę na odpowiadającym jej arystokratycznym ciągotom miejscu, stanąłem z tyłu za *beau-mondem* i jąłem obserwować.

Panowie i panie, jak zwykle, szeptali między sobą i chichotali. Sędzia pokoju Kalinin, gestykułując palcami i potrząsając głową, opowiadał półgłosem ziemianinowi Dieriajewowi o swych chorobach. Dieriajew niemal na głos wymyślał lekarzom i radził sędziemu pokoju leczyć się u jakiegoś Eustachego Iwanycza.

Panie, ujrzawszy Oleńkę, uchwyciły się jej jako atrakcyjnego tematu i zaczęły plotkować. Tylko jedna dziewczyna chyba się modliła... klęczała i utkwivszy przed siebie czarne oczy poruszała wargami. Nie zauważyła, jak spod kapelusza wysunął się jej loczek i zawisł w nieładzie na bladej skroni... Nie zauważyła, jak stanąłem koło niej z Oleńką.

Była to córka sędziego pokoju Kalinina, Nadieżda Nikołajewna. Kiedy mówiłem przedtem o kobiecie, która niczym czarna kot przebiegła między mną a doktorem, ją miałem na myśli... Doktor kochał ją tak, jak potrafią kochać tylko takie szlachetne istoty, jak mój miły „szparka” Paweł Iwanowicz... Teraz sterczał koło niej niby drąg, na baczność, z wyciągniętą szyją... Od czasu do czasu rzucał zakochane spojrzenie na jej skupioną twarz, jakby strzegł jej modlitwy, i w jego oczach błyszczało namiętne, tęskne pragnienie, by stać się obiektem jej modłów. Ale, na własne nieszczęście, wiedział, za kogo się ona modli... Nie za niego...

Skinąłem mu głową, kiedy się obejrzał i wyszliśmy obaj z cerkwi.

– Przejdźmy się po jarmarku – zaproponowałem.

Zapaliliśmy papierosy i jęliśmy się wałęsać między straganami.

– Jak się miewa Nadieżda Nikołajewna? – zapytałem doktora, wchodząc do jarmarcznej budy z zabawkami.

– Tak sobie... Chyba jest zdrowa... – odrzekł doktor przyglądając się zmrużonymi oczami żołnierzykowi o fioletowej twarzy i w jaskrawoczerwonym mundurze. – Pytała o pana...

– A co pytała?

– Tak... W ogóle... gniewa się, że pan od dawna się u nich nie pokazuje... Chciałaby się widzieć z panem i zapytać o powody tak nagłego odsunięcia się od ich domu... Bywał pan u nich niemal codziennie, a potem – jakby nożem uciął... Nawet się pan nie kłania.

– To łgarstwo, szparko... Rzeczywiście, z braku czasu przestałem odwiedzać Kalininów... Co prawda, to prawda. Odnoszę się do nich w dalszym ciągu z całą atencją... Zawsze się kłaniam, kiedy kogoś z nich spotykam.

– A jednak, spotkał się pan w zeszły czwartek z jej ojcem i nie wiedzieć czemu nie uznał pan za stosowne odpowiedzieć na jego ukłon.

– Nie lubię tego durnia, sędziogo pokoju – odrzekłem – i nie mogę spokojnie patrzeć na jego gębę, ale mimo to starcza mi sił, by mu się ukłonić i uścisnąć jego wyciągniętą rękę. Musiałem go nie zauważyć we czwartek albo go nie poznać. Jest pan dzisiaj w złym humorze, szparko, i czepia się pan...

– Lubię pana, kochaneczku – westchnął Paweł Iwanowicz – ale nie wierzę panu... „Nie zauważył, nie poznał”... Nie potrzebuję pańskich usprawiedliwień i wykrętów... Na cóż mi one, jeśli w nich tak mało prawdy? Porządny z pana, dobry człowiek, ale w pańskim chorym mózgu tkwi niczym gwóźdź jakieś małe coś, co, z przeproszeniem, zdolne jest do każdego świństwa...

– Dziękuję pokornie.

– Niech się pan nie gniewa, kochaneczku... Daj Boże, żebym się mylił, ale wydaje mi się, że ma pan w sobie coś z psychopaty. Pan czasami wbrew woli i popędowi szlachetnej swej natury miewa takie zachcianki i wybuchy, że wszyscy, którzy znają pana jako porządnego człowieka, zbici bywają z pantałyku... Nie można się nadziwić, jak te wszystkie pańskie wzniosłe zasady, które mam zaszczyt znać, mogą sąsiadować z tymi pańskimi nagłymi wyskokami, kończącymi się w sposób niezmiennie odrażający! A to co za zwierzę? – zwrócił się nagle Paweł Iwanowicz do handlarza zmieniając ton i podnosząc do oczu drewnianego zwierzaka z ludzkim nosem, z grzywą i szarymi pręgami na grzbiecie.

– Lew – ziewnął handlarz. – A może jaka inna bestia. Licho wie.

Od bud jarmarcznych z zabawkami skierowaliśmy się do „czerwonych” straganów, gdzie handel szedł już w najlepsze.

– Zabawki te tylko mącą dzieciakom w głowie – powiedział doktor. – Dają im najbardziej fałszywe wyobrażenie o florze i faunie. Choćby ten lew... Pręgowany, purpurowy i piszczący... Albo to lwy piszczą?

– Niech pan posłucha, szparko – odrzekłem. – Mam wrażenie, że chce mi pan coś powiedzieć, a nie może się pan na to zdobyć. Proszę mówić... Z przyjemnością pana słucham, nawet wtedy, kiedy mówi mi pan przykre rzeczy...

– Z przyjemnością, przyjacielu, czy nie, ale niech pan posłucha... O wielu sprawach chciałbym z panem porozmawiać...

– Proszę... Zamieniam się cały w słuch.

– Wyraziłem już przypuszczenie, że jest pan psychopata. Czy nie zechciałby pan teraz wysłuchać dowodów? Będę szczery, być może, niekiedy zbyt szorstki... poczuje się pan dotknięty, ale niech się pan nie gniewa, przyjacielu... Wie pan, jakie żywię do pana uczucie: z całego powiatu pana najbardziej lubię i szanuję... Nie chodzi mi o to, żeby panu czynić wyrzuty czy pana potępiać, ani też panu dokuczyć. Bądźmy obaj obiektywni, przyjacielu... Rozpatrzmy pana psyche okiem bezstronnym, jak wątrobę lub żołądek...

– Dobrze, bądźmy obiektywni – zgodziłem się.

– Doskonale... Zacznijmy od pańskiego stosunku do Kalininów... Jeśli się pan zwróci do swej pamięci, to powie ona panu, że zaczął pan ich odwiedzać natychmiast po przyjeździe do naszego przez Boga zapomnianego powiatu. O znajomość z panem nie zabiegali... Od pierwszego spojrzenia sędziemu pokoju nie spodobała się pańska wyniosłość, ironiczny ton i przyjaźń z hrabią-birbantem, i nie bywałby pan u sędziego, gdyby pan sam nie złożył mu pierwszy wizyty. Pamięta pan? Poznał pan Nadieżdę Nikolajewnę i zaczął jeździć do nich nieomal codziennie... Bywało tak, że spotykało się tam pana o każdej porze... Przyjmowano pana z całą serdecznością. Hołubiono pana, jak umiano... I ojciec, i matka, i małe siostrzyczki... Przywiązali się do pana jak do kogoś bliskiego... Zachwycali się panem, niemal nosili na rękach, śmiali się z najbłahszego pana konceptu... Był pan dla nich uosobieniem inteligencji, szlachetności, dżentelmenerii. Pan niby z tego wszystkiego zdawał sobie sprawę i za przywiązanie płacił przywiązaniem. Jeździł pan codziennie, nawet w dni przedświątecznych porządków i krzątany. Wreszcie, nie jest dla pana tajemnicą ta nieszczęsna miłość, którą wzbudził pan do siebie w Nadience... Wszak to nie tajemnica? Wiedząc, że jest zakochana w panu po uszy, wciąż pan tam jeździł, jeździł... I cóż, przyjacielu? Rok temu ni stąd, ni zowąd zaprzestał pan nagle swych odwiedzin. Czekali na pana tydzień... miesiąc... czekają po dziś dzień, a pan się wciąż nie pokazuje... Piszą do pana, a pan nie odpowiada... W końcu przestaje się pan kłaniać... Panu, który tak sobie ceni dobre maniere, takie zachowanie winno się wydawać szczytem nieprzyzwoitości! Dłaczegóż to pan w sposób tak nagły i niespodziewany odsunął się od

Kalininów? Obrazili pana? Nie... Sprzykrzyło się panu? Jeśli tak, to mógł pan odsunąć się od nich stopniowo, bez tej ubliżającej, niczym nie umotywowanej raptowności...

– Przystałem ich odwiedzać – uśmiechnąłem się – i zrobiono ze mnie psychopatę. Ależ jest pan naiwny, serdeńko! Czy to nie wszystko jedno – nagle czy stopniowo przestać kogoś odwiedzać? Nagle jest nawet uczciwiej – mniej w tym hipokryzji. Cóż to jednak za bzdury!

– Założmy, że to wszystko bzdury, albo że pana zmusiły do tej raptowności powody ukryte, od których wara osobom postronnym. Ale jak wytłumaczyć dalsze pana postęпки?

– Na przykład?

– Na przykład zjawił się pan pewnego razu w naszym urzędzie ziemskim – nie wiem, jaką pan tam miał sprawę – i na pytanie prezesa, dlaczego pan nie bywa u Kalininów, odpowiedział pan... Niech pan sobie przypomni, co pan powiedział! – „Boję się, że chcą mnie ożenić!” Oto co się panu wyrwało z ust! I powiedział to pan podczas posiedzenia, głośno, dobitnie – tak, żeby mogło pana usłyszeć te sto osób, które były na sali posiedzeń! Czy to ładnie? W odpowiedzi na pańskie słowa rozległy się śmiechy i nieprzyzwoite dowcipy o polowaniu na mężów. Pańskie słowa podchwycił jakiś szubrawiec, udał się do Kalininów i poczęstował nimi Nadię podczas obiadu... Jak można tak ludzi obrażać, Sergiuszu Pietrowiczu?

Paweł Iwanowicz zagroził mi drogę, stanął przede mną patrząc mi błagalnie w twarz załamionymi oczami:

– Więc za co ten afront? Za co? Za to, że ta dobra dziewczyna kocha pana? Przypuśćmy, że ojciec, jak to każdy ojciec, miał jakieś widoki na pańską osobę... Jak to ojciec, wszystkich ma na widoku: i pana, i mnie, i Markuzina... Wszyscy rodzice są tacy sami... Nie ulega wątpliwości, że ona również, zakochana w panu po uszy, być może żywiła nadzieję, że zostanie pańską żoną... I czy za to należało wymierzyć jej taki policzek? Drogi panie! Czyż pan sam swoim postępowaniem nie dawał im takiej nadziei? Przyjeżdżał pan codziennie, zwykli goście tak często nie bywają. W dzień łowił pan z nią ryby, wieczorem spacerował po ogrodzie, zazdrośnie strzegąc swojego *tête-à-tête*... Zorientował się pan, że ona pana kocha i ani na jotę nie zmienił pan swego postępowania... Czyż można po tym wszystkim posądzać pana o dobre intencje? Byłem przekonany, że pan się z nią ożeni! A pan... zadrwił sobie z biednej dziewczyny! Za co? Co ona panu zrobiła?

– Niech pan nie krzyczy, szparko, ludzie patrzą – rzekłem wymijając Pawła Iwanowicza. – Skończmy tę rozmowę. Dość tego babskiego gadania... Jeszcze tylko trzy słówka i basta. Jeździłem do Kalininów, bo się nudziłem i Nadia interesowała mnie... To bardzo interesująca panna. Bardzo możliwe, że ożeniłbym się z nią, ale kiedy dowiedziałem się, że pan wcześniej pretendował do jej serca, że nie jest panu obojętna,

postanowiłem się usunąć... Okrucieństwem byłoby z mojej strony stawać na przeszkodzie takiemu porządnemu człowiekowi jak pan...

– Merci za uprzejmość! Nie prosiłem pana o takie miłosierdzie i, o ile mogę wnosić z wyrazu pańskiej twarzy, mówi pan teraz nieprawdę, mówi pan byle co, nie zastanawiając się nad swymi słowami... A poza tym ta okoliczność, że ze mnie porządny człowiek, nie przeszkodziła panu podczas jednej z pierwszych pańskich wizyt uczynić Nadi pewną propozycję w altance, która to propozycja wyszłaby bokiem porządnemu człowiekowi, gdyby został jej mężem!

– He-he!... Skąd panu wiadomo o mojej propozycji, szparko? A więc pańskie akcje stoją nieźle, skoro zaczęto już się panu zwierzać!... No, ale pobladł pan ze złości i bodaj że gotów jest mnie stłuc... A przecież zastrzegał się pan, że będzie obiektywny! Ależ śmieszny z pana człowiek, szparko! No, dajmy spokój z tym galimatiasem... Chodźmy na pocztę...

Skierowaliśmy się ku urzędowi pocztowemu, który wesoło spoglądał swymi trzema okienkami na plac targowy. Przez szare sztachety mienił się kwiatami ogródek naszego pocztmistrza Maksyma Fiodorowicza, znanego w całym powiecie ze swych umiejętności w zakładaniu klombów, rabat, gazonów i tak dalej.

Maksyma Fiodorowicza zastaliśmy przy nader przyjemnym zajęciu... Czerwony z zadowolenia i uśmiechnięty, siedział przy swym zielonym biurku i, niczym książkę, kartkował gruby plik sturublowych banknotów. Widocznie na stan jego ducha mógł wpłynąć nawet widok cudzych pieniędzy?

– Dzień dobry, Maksymie Fiodorowiczu! – powitałem go. – Skąd do pana taka kupa pieniędzy?

– Do Sankt-Petersburga się wysyła! – uśmiechnął się słodziutko poczmistrz i wskazał brodą ką, gdzie na jedynym w urzędzie pocztowym krześle siedziała ciemna postać ludzka...

Ujrzawszy mnie postać ta wstała i podeszła do mnie. Rozpoznałem w niej mojego nowego znajomego, mojego świeżo upieczonego wroga, którego tak obraziłem, kiedy się upiłem u hrabiego...

– Moje uszanowanie – rzekł.

– Witam, Kajetanie Kazimirowiczu – odpowiedziałem udając, że nie widzę wyciągniętej ręki. – Hrabia zdrowy?

– Chwała Bogu... Nudzi się tylko troszeczkę... Spodziewa się pana w każdej chwili...

Na twarzy Przechockiego wyczytałem pragnienie porozmawiania ze mną. Skąd mogło się pojawić takie pragnienie po tym, jak mu owego wieczoru nawymyślałem od „świń” i skąd ta zmiana w zachowaniu?

– Ależ ma pan dużo pieniędzy! – powiedziałem patrząc na przygotowywane do wysyłki paczki sturublówek. I nagle – jakby ktoś uderzył mnie obuchem po głowie! Na jednej ze sturublówek rozpoznałem nadpalony brzeżek i całkiem spalony róg... Była to ta właśnie sturublówka, którą zamierzałem spalić w płomieniu świecy, kiedy Hrabia nie chciał przyjąć jej ode mnie na opłacenie Cyganów, i którą podniósł Przechocki, gdy rzucił ją na ziemię.

„Lepiej już jakiemu biedakowi oddać – powiedział wtedy – niż rzucać w ogień.”

Jakimże biednym posyłał ją teraz?

– Siedem tysięcy pięćset rubli – przeciągłym głosem oznajmił Maksym Fiodorowicz. – Zgadza się co do joty!

Nie wypada wtrącać się do cudzych spraw, ale strasznie chciałem się dowiedzieć, komu i czyje to pieniądze posyłał do Petersburga czarnobrewy Polak? Pieniądze te w każdym razie nie należały do niego, hrabia zaś nie miał komu ich posyłać.

„Okradł pijanego hrabiego – pomyślałem. Skoro hrabiego potrafi obdzierać głucha i głupia Syczicha, to co szkodzi temu gagatkowi wsunąć łapę do cudzej kieszeni?”

– Ach... à propos, ja też muszę przesłać pieniądze – spostrzegł się Paweł Iwanowicz. – Wiecie, panowie? To nie do wiary. Za piętnaście rubli pięć rzeczy z dostawą do domu! Lorneta, chronometr, kalendarz i coś tam jeszcze... Maksymie Fiodorowiczu, poproszę o arkusik papieru i kopertę!

Szparka wysłał swoje piętnaście rubli, ja zaś odebrałem gazetę i listy, i wyszliśmy z urzędu pocztowego...

Udaliśmy się do cerkwi. Szparka kroczył za mną, blady i smętny jak jesienny dzień. Wbrew oczekiwaniom wielce wzburzyła go rozmowa, w której pragnął być „obiektywny”. W cerkwi biły wszystkie dzwony. Z kruchty powoli wychodził gęsty tłum, któremu, zdawało się, końca nie było. Ponad tłumem wznosiły się stare chorągwie i ciemny krzyż, otwierające procesję. Słońce wesoło igrało na ornatach duchownych, obraz Matki Boskiej rozsiewał oślepiające promienie...

– A oto nasi! – powiedział doktor wskazując nasz powiatowy *beau-monde*, który odseparował się od tłumu i stał na uboczu.

– Pańscy, a nie nasi – odrzekłem.

– Wszystko jedno... Chodźmy do nich...

Podszedłem do znajomych i jałem się kłaniać na prawo i lewo. Sędzia pokoju Kalinin, wysoki, barczysty mężczyzna z siwą brodą i wyłupiastymi jak u raka oczami, stał na samym przodzie i coś szeptał do ucha swej córce. Udając, że mnie nie zauważa, żadnym gestem nie odpowiedział na mój zdawkowy ukłon zwrócony w jego stronę.

– Żegnaj więc, aniołeczku – wyrzekł płaczącym głosem, całując blade czoło córki.
– Jedź do domu sama, wrócę pod wieczór... Wizyty moje nie potrważą zbyt długo.

Ucałowawszy raz jeszcze córkę i słodziutko uśmiechnąwszy się do *beau-monde*, surowo zmarszczył brwi i raptownie zawrócił na pięcie w stronę stojącego za nim chłopca z blachą sołtysią na piersi.

– Kiedyż to nareszcie podadzą mi konie? – zachrypiał.

Sołtys drgnął i zamachał rękami.

– Z dro-gi!

Kroczący za procesją tłum rozstąpił się i konie sędziego pokoju dzwoniąc wytwornie dzwoneczkami podjechały do Kalinina. Ten usiadł, ukłonił się majestatycznie i, budząc popłoch w tłumie swym „z dro-gi”, zniknął z oczu nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem.

– Co za majestatyczna świnia! – szepnąłem doktorowi do ucha. – Chodźmy stąd!

– Czy nie zechciałby pan porozmawiać z Nadeżdą Nikołajewną? – zapytał Paweł Iwanycz.

– Na mnie już czas. Muszę jechać do domu.

Doktor obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem, westchnął i odszedł. Ukłoniłem się całemu towarzystwu i skierowałem ku straganom. Przeciskając się przez ciżbę obejrzałem się i spojrzałem na córkę sędziego pokoju. Patrzyła w ślad za mną jakby chcąc sprawdzić, czy wytrzymam jej czyste, przeszywające spojrzenie pełne gorzkiego żalu i wyrzutu.

– Za co? – mówiły jej oczy.

Coś drgnęło w mej piersi i poczułem ból i wstyd za swe nedorzeczne zachowanie. Zapragnąłem nagle wrócić i wszystkimi siłami mej łagodnej, nie całkiem jeszcze zepsutej duszy przygarnąć i przyhołubić tę kochającą, skrzywdzoną przeze mnie dziewczynę i powiedzieć jej, że winien jestem nie ja, lecz moja przekłeta duma przeszkadzająca mi żyć, oddychać, zrobić krok. Duma głupia, fircykowata, pełna próżności. Czyż mogłem ja, człowiek pusty, wyciągnąć rękę na zgodę, skoro wiedziałem i widziałem, że każdy mój krok śledziły oczy powiatowych kumoszek i „staruch złowieszczych”? Niech więc lepiej obsypią ją ironicznymi spojrzeniami i uśmieszkami, niżby miały powątpiewać w „niezłomność” mego charakteru i dumy, tak cenionej przez głupie kobiety.

Mówiąc przedtem z Pawłem Iwanyczem o powodach, jakie zmusiły mnie do nagłego zaprzestania odwiedzin u Kalininów, nie byłem szczery i mijałem się z prawdą... Zataiłem właściwy powód, zataiłem dlatego, że wstydziłem się jego błahości... Powód był miąłki jak proch... Oto na czym polegał: kiedy podczas ostatniej mej wizyty oddałem stangretowi Zorkę i wchodziłem do domu Kalininów, do uszu mych doleciały następujące słowa:

– Nadienko, gdzie jesteś? Twój narzeczony przyjechał!

Mówił to ojciec, sędzia pokoju, nie podejrzewając zapewne, że mogę go usłyszeć. Ale ja usłyszałem i dotknęło to do żywego moją ambicję.

„Ja – narzeczony? – pomyślałem. – Kto ci pozwolił nazywać mnie narzeczonym? Z jakiej racji?”

I jakby coś pękło w mej piersi... Duma rozszalała się we mnie, zapomniałem o wszystkim, o czym pamiętałem, jadąc do Kalininów... Zapomniałem, że rozkochałem w sobie dziewczynę i sam zacząłem ją kochać do tego stopnia, że żadnego wieczoru nie byłem w stanie bez niej spędzić... Zapomniałem o jej łagodnych oczach, które dzień i noc były ze mną, o jej pełnym dobroci uśmiechu, melodyjnym głosie... Zapomniałem o cichych, letnich wieczorach, które już nigdy się nie powtórzą ani dla mnie, ani dla niej... Wszystko runęło pod naporem szatańskiej dumy, którą wznieciły słowa ojca-prostaka... Rozwścieczony zawróciłem, wsiałem na Zorkę i pomknąłem przysięgając sobie, że „utrę nosa” Kalininowi, który ośmielił się bez mego pozwolenia nazwać mnie narzeczonym swej córki...

„Nawiasem mówiąc, Wozniesieński kocha ją... – usprawiedliwiałem w drodze do domu swój nagły odjazd. – Przede mną zaczął się kręcić koło niej i uchodził za narzeczonego, kiedym ją poznał. Nie będę mu przeszkadzać!”

I od tego czasu nie pojawiłem się ani razu u Kalininów, choć zdarzały się chwile, kiedy tęskniłem za Nadią, i dusza moja wyrывała się do niej, kiedym pragnął przywrócić dawne chwile... Ale cały powiat wiedział o zerwaniu, wiedział, że „czmychnąłem przed ożenkiem”... Duma nie pozwalała mi pójść na kompromis!

Kto wie? Gdyby Kalinin nie wyrzekł tych słów i gdybym nie był tak nedorzecznie próżny i drażliwy, być może nie musiałbym się oglądać, a ona patrzeć na mnie takimi oczami... Ale wolę już takie oczy, wolę już to poczucie krzywdy i wyrzut niż to, co ujrziałem w tych oczach w kilka miesięcy po spotkaniu w tieniewskiej cerkwi! Smutek bijący teraz z głębi tych czarnych oczu stanowił tylko początek strasznego nieszczęścia, które niczym najeżdżający pociąg zmiotło z powierzchni ziemi tę dziewczynę... Co tam kwiatuszki wobec jagódek, które już dojrzewały po to, by napić straszną trucizną jej kruche ciało i tęskniącą duszę!

Opuściwszy Tieniewo, poszedłem tą samą drogą, którą kroczyłem rano. Słońce wskazywało już południe... Chłopskie wozy i ziemiańskie bryczki, jak i rano, cieszyły mój słuch skrzypieniem i metalicznym dźwiękiem dzwoneczków. Znowu minął mnie ogrodnik Franz z beczułką wódki, tym razem chyba pełną... Znowu spojrzał na mnie swymi wyblakłymi oczkami i zasalutował. Źle mi się zrobiło na widok jego paskudnej gęby, ale i tym razem niemiłe wrażenie, które wywołało we mnie to spotkanie, jak ręką odjął, kiedy dogoniła mnie córka leśniczego Oleńka na swym ciężkim szarabanie...

– Niech mnie pani podwiezie! – zawołałem do niej.

Kiwnęła mi wesoło głową i kazała zatrzymać pojazd. Usiadłem koło niej i szaraban z hukiem pomknął po drodze, ciągnącej się jasnym pasmem przez trzywiorstową przesiekę tieniewskiego lasu. Przez krótką chwilę milczeliśmy przyglądając się sobie nawzajem.

„Jakaż ona, do diaska, śliczna! – myślałem patrząc na jej szyję i pulchniutki podbródek. – Gdyby mi dano do wyboru jedną z dwóch – Nadienkę albo ją, to wybrałbym tę... Jest wdzięczniejsza, świeższa, natura bardziej bezpośrednia, szczerza... Gdyby trafiła w dobre ręce – wiele by można z niej wydobyć! A tamta jest posępna, marzycielska... za mądra.”

U stóp Oleńki leżały dwie sztuki płótna i kilka paczuszek.

– Ależ nakupiła pani różności! – odezwałem się. – Na co pani tyle płótna?

– To jeszcze nic, więcej mi potrzeba!... – odpowiedziała Oleńka.

– Tak to kupiłam, przy okazji... Nie wyobraża pan sobie, ile mam kłopotów! Ot, choćby dzisiaj, godzinę całą chodziłam po jarmarku, a jutro trzeba będzie do miasta jechać po sprawunki... A potem szyć to wszystko... Proszę pana, czy nie zna pan jakichś kobiet, które chciałyby zarobić szyciem?

– Chyba nie... Ale na co tyle szycia? Toż rodzinę ma pani, na Boga, nie tak liczną... Raz, dwa... i po krzyku...

– Jacy dziwni ci mężczyźni! Nic a nic nie rozumieją! Jak się pan ożeni, to sam się pan będzie złościł, kiedy żona po ślubie będzie chodzić w byle ładach. Ja wiem, że Piotr Jegorycz nie z biednych, a jednak nie przystoi jakoś od razu okazać się złą gospodynią...

– A co tu ma do rzeczy Piotr Jegorycz?

– Hm... Pyta pan, jakby nic nie wiedział! – powiedziała Oleńka, z lekka się rumieniąc.

– Moja panienko, mówi pani zagadkami...

– Czyżby pan nie słyszał? Wychodzę przecież za mąż za Piotra Jegorycza!

– Za mąż? – zdziwiłem się robiąc wielkie oczy. – Za jakiego Piotra Jegorycza?

– Och, mój Boże! Przecież za Urbienina!

Spojrzałem na jej zarumienioną i roześmianą twarz...

– Pani... za mąż? Za Urbienina? A to dobry żart!

– To nie żaden żart... Dlaczego to miałyby być żart?...

– Pani za mąż... za Urbienina... – wyrzekłem blednąc, sam nie wiem czemu. – Jeśli to nie żart, to nic nie pojmuję...

– Jakież tam znowu żart!... Nie rozumiem nawet, co w tym takiego dziwnego... – odparła Oleńka nadymając usteczka.

Przez chwileczkę milczeliśmy... Patrzyłem na tę śliczną dziewczynę, na jej młodą, niemal dziecięcą twarzyczkę i dziwiłem się, jak może tak strasznie żartować? Od razu wyobraziłem sobie obok niej starego, grubego, czerwonego na twarzy Urbienina o odstających uszach i szorstkich rękach, których dotknięcie mogłoby tylko sprofanować młode, dopiero co budzące się do życia ciało kobiece... Czyż podobna wizja może nie przerazić tej ładniutkiej nimfy, umiejącej wodzić poetycznym spojrzeniem po niebie, kiedy mkną po nim błyskawice i gniewnie trzaskają pioruny? Nawet ja się przeraziłem!

– To prawda, nie jest młody – westchnęła Oleńka – ale za to mnie kocha... Jego miłość jest niezawodna!

– Co tam niezawodna miłość, chodzi o szczęście...

– Z nim będę szczęśliwa... Zamożny jest, chwala Bogu, to nie golec jakiś ani żebrak, lecz szlachcic. Nie jestem w nim oczywiście zakochana, ale czy tylko ci są szczęśliwi, którzy pobierają się z miłości? Znam ja te małżeństwa z miłości!

– Dziecko moje – wyrzekłem, z przerażeniem patrząc w jej jasne oczy – kiedyż to zdążyła pani nafaszerować swoją biedną głowinę tą straszną życiową mądrością? Załóżmy, że pani żartuje, ale gdzież pani nauczyła się tych strasznych żartów? Gdzie? Kiedy?

Oleńka spojrzała na mnie ze zdziwieniem i wzruszyła ramionami...

– Nie rozumiem tego, co pan mówi... – powiedziała. – Nieprzyjemnie panu, że młoda dziewczyna wychodzi za mąż za starca? Czy tak?

Nagle się zaczerwieniła i wysuwając nerwowo bródkę wyrzekła szybko nie czekając na moją odpowiedź:

– Nie podoba się to panu? No to niech pan sam zaszyje się w lesie... w tej przeraźliwej nudzie, gdzie nikogo nie ma prócz ptaszysk i ojca-szaleńca... i niech pan czeka, aż się zjawi młody narzeczony! Panu się tam wtedy wieczorem podobało, ale niech by pan zajrzał tu zimą, kiedy człowiek rad bywa, że już – już śmierć nadchodzi...

– Ach, jakie to wszystko nedorzeczne, Oleńko, nienormalne, bez sensu! Jeśli pani nie żartuje, to... sam już nie wiem, co powiedzieć! Niech pani lepiej zamilknie, bo to

brzmi jak profanacja największych świętości. Na pani miejscu powiesiłbym się na suchej gałęzi, a pani płótno kupuje... uśmiecha się! Aa-ach!

– Przynajmniej ojca leczyć będzie za swoje pieniądze... – wyszeptwała.

– Ile pani potrzeba na kurację ojca? – zawołałem. – Ja pani dam pieniądze! Ile? Sto?... dwieście?... tysiąc? Kłamie pani, Oleńko! Pani nie chodzi o leczenie ojca!

Wiadomość, jaką zakomunikowała mi Oleńka, tak mnie wzburzyła, że nie zauważyłem, kiedy szaraban minął moją wieś, kiedy wjechał na podwórze hrabiego i zatrzymał się przed oficyną rządcy... Ujrzawszy wybiegające dzieci i uśmiechniętą twarz Urbienina, który przybiegł, by dopomóc Oleńce wysiąść, wyskoczyłem z szarabanu i bez pożegnania popędziłem do dworu hrabiego. Oczekiwała mnie tu kolejna nowina.

– Jak to dobrze! Jak to dobrze! – powitał mnie hrabia drapiąc mój policzek swymi długimi, kłującymi wąsami. – W samą porę przyjechałeś. Właśnie zasiedliśmy do śniadania... Panowie się chyba znają... Nieraz zapewne zetknęliście się na niwie sędziowskiej... Ha-ha!

Hrabia obiema rękami wskazał mi dwóch mężczyzn rozpartych w miękkich fotelach i jedzących ozór na zimno. W jednym miałem nieprzyjemność rozpoznać sędziego pokoju Kalinina. Drugi zaś, malutki, siwiutki staruszek z dużą, przypominającą księżyc w pełni, łysiną, był to mój dobry znajomy – bogaty obywatel ziemski Babajew, który był członkiem naszego zgromadzenia powiatowego. Kłaniając się spojrzałem ze zdziwieniem na Kalinina... Wiedziałem, jak nienawidzi hrabiego i jakie plotki rozpущa po całym powiecie o tym, u którego teraz pałaszował z takim apetytem ozór z groszkiem popijając dziesięcioletnią nalewką. Czym mógł porządny człowiek wytłumaczyć tę jego wizytę? Sędzia pokoju pochwycił moje spojrzenie i chyba je zrozumiał.

– Dzisiejszy dzień poświęciłem na wizyty – rzekł do mnie. – Objeżdżam cały powiat... I do pana hrabiego wstąpiłem, jak pan widzi...

Ilja podał czwarte nakrycie. Usiadłem, nalałem sobie kieliszek wódki i zabrałem się do śniadania...

– Nieładnie, panie hrabio... Nieładnie! – ciągnął Kalinin rozmowę przerwana moim przybyciem. – Dla nas, szaraków, to nie grzech, ale z pana człowiek znamienity, bogaty, wybitny... Panu grzech się uchylać.

– To prawda, że grzech... – przytaknął Babajew.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Świetną myśl podsunął mi Mikołaj Ignatycz! – kiwnął głową hrabia w stronę sędziego pokoju. Przychodzi do mnie... siada do śniadania, a ja mu się skarżę na nudę...

– I skarży mi się na nudę... – przerwał hrabiemu Kalinin. – Nudno, smutno... i to, i tamto... Słowem, jest rozczarowany... Oniegin w pewnym sensie... Sam, mówię, jest pan

sobie winien, panie hrabio... Jak to? A bardzo prosto... Żeby się nie nudzić, mówię, niech się pan zajmie służbą, gospodarstwem... Wspaniały majątek, cudowny... Mówi, że zamierza się zająć gospodarstwem, a mimo to nudno mu... Brak, by tak rzec, rozweselającego, podniecającego elementu. Brak... jak by się tak wyrazić... ee... tego... silnych wrażeń...

– Ale jakąż to myśl pan podsunął?

– Właściwie mówiąc, nie podsuwałem żadnej myśli, ale odważyłem się uczynić hrabiemu wyrzut. Jak to, mówię, pan, panie hrabio, taki młody... wykształcony... inteligentny... może żyć w takim odosobnieniu? Czy to, mówię, nie grzech? Nigdzie pan nie bywa, sam nikogo nie przyjmuje, nigdzie pana nie widać... niczym starzec jakiś albo pustelnik... Co by panu szkodziło, mówię, urządzić u siebie przyjęcia... żurfiksy, by tak rzec?

– A na co mu te żurfiksy? – zapytałem.

– Jak to na co? Po pierwsze, pan hrabia, urządzając u siebie przyjęcie, pozna okoliczne towarzystwo... wybada, by tak rzec... Po drugie, samo towarzystwo będzie miało zaszczyt poznać bliżej jednego z najbogatszych naszych ziemian... Wzajemna, by tak rzec, wymiana myśli, konwersacje, zabawy... A ileż mamy, jeśli się dobrze zastanowić, wykształconych panienek, kawalerów!... Jakże można by urządzić wieczory muzyczne, tańce, pikniki – proszę się tylko zastanowić! Salony ogromne, w ogrodzie altanki i... temu podobne... Takie przedstawienia amatorskie i koncerty można by urządzić, że nikomu się nawet w guberni nie śniło... Bóg mi świadkiem! Proszę się zastanowić!... Teraz to wszystko niszczy po próżnicy, w ziemi jest zakopane, a wtedy... trzeba tylko chcieć to zrozumieć! Gdybym miał takie możliwości jak pan hrabia, pokazałbym, jak żyć należy! A on mówi: nudno! Doprawdy, Bóg mi świadkiem... słuchać hadko... wstyd nawet...

– Zupełnie słusznie – powiedział hrabia wstając i pakując ręce do kieszeni. – Istotnie, można by urządzić wspaniałe wieczory... Koncerty, przedstawienia amatorskie... wszystko to rzeczywiście można cudownie zorganizować. W dodatku wieczory takie nie tylko bawiłyby towarzystwo, ale miałyby znaczenie wychowawcze!... Nieprawdaż?

– No tak – przytaknąłem. – Jak nasze panienki popatrzą na twoją wąsatą fizjonomię, to od razu przeniknie je duch cywilizacji...

– Tobie tylko żarty w głowie – obraził się hrabia – ty nigdy niczego nie doradzisz mi po przyjacielsku! Wszystko cię śmieszy. Czas, mój przyjacielu, wyzbyć się tych sztubackich manier!

Hrabia przechadzał się z kąta w kąt i snując przydługie i nudne wywody, jął mi opisywać pożytki, jakie mogą przynieść ludzkości jego wieczory towarzyskie. Muzyka,

literatura, teatr, jazda konna, polowanie. Samo tylko polowanie mogłoby zespolic wszystkie siły powiatu!...

– Porozmawiamy jeszcze o tym! – powiedział hrabia do Kalinina żegnając się z nim po śniadaniu.

– A więc, panie hrabio, pozwoli pan powiatowi żywić nadzieję? – zapytał sędzia pokoju.

– Naturalnie, naturalnie... Rozwinę tę ideę, postaram się... Rad jestem... nawet bardzo... Tak też proszę wszystkim powiedzieć...

Trzeba było widzieć błogość, jaka malowała się na twarzy sędziego pokoju, kiedy wsiadał do swego powozu i wołał: „Wio!” Tak się cieszył, że zapomniał nawet o naszych zwadach, na pożegnanie powiedział do mnie „kochaneczku” i mocno uściskał mi rękę.

Po odjeździe gości zasiedliśmy z hrabią do stołu i zabraliśmy się znów do jedzenia. Śniadaliśmy tak do siódmej wieczorem, kiedy ze stołu zdjęto nakrycia i podano nam obiad. Młodzi pijacy wiedzą, jak wypełniać czas długich antraktów. Przez cały czas piliśmy i jedliśmy bardzo mało i powoli, jedynie dla podtrzymania apetytu, który znika, kiedy się pije nie zakąszając.

– Czy wysyłałeś komuś dzisiaj pieniądze? – zapytałem hrabiego, przypomniawszy sobie paczkę sturublówek, które widziałem rano w tieniewskim urzędzie pocztowym.

– Nikomu.

– Powiedz no, z łaski swojej, a ten twój... jak mu tam?... nowy przyjaciel, Kazimierz Kajetanowicz, czy też Kajetan Kazimirowicz, to człowiek zamożny?

– Nie, Sierioża. To biedak!... Ale za to co za dusza, co za serce! Niesłusznie tak pogardliwie się o nim wyrażasz i... dokuczasz mu... Trzeba umieć rozróżniać ludzi. Wypijemy jeszcze po kieliszku?

W porze obiadowej zjawił się Przechocki. Ujrawszy mnie siedzącego przy stole i pijącego, skrzywił się i pokręciwszy się koło stołu, uznał za stosowne pójść do swego pokoju. Za obiad podziękował wymawiając się bólem głowy, ale nie wyraził sprzeciwu, kiedy hrabia zaproponował mu, by zjadł obiad w swoim pokoju, w łóżku.

Przy drugim daniu wszedł Urbienin. Nie poznałem go. Jego szeroka, czerwona twarz promieniała z zadowolenia. Radosny uśmiech, jak mi się zdawało, igrał nawet na odstających uszach i grubych palcach, którymi co chwila poprawiał swój nowy, modny krawat.

– Krowa nam zachorowała, panie hrabio – zameldował. – Posłałem po naszego weterynarza, ale okazuje się, że wyjechał. Może by tak posłać po miastowego weterynarza, panie hrabio? Jeśli ja pošlę, to nie posłucha, nie przyjedzie, a jak pan do niego napisze, to zupełnie co innego. Może to nic poważnego, a może i tak.

– Dobrze, napiszę... – wymamrotał hrabia.

– Moje gratulacje, Piotrze Jegoryczu – powiedziałem wstając i wyciągając rękę do rządcy.

– A z jakiej to okazji? – wyszeptał.

– Przecież pan się żeni!

– Ach tak, tak, proszę sobie wyobrazić, że się żeni! – powiedział hrabia mrugając okiem do zarumienionego Urbienina. – Jak ci się to podoba? Ha-ha-ha! Milczał, milczał, aż tu nagle – masz ci los! I wiesz, z kim się żeni? Zgadliśmy to obaj tamtego wieczoru! Myśmy, Piotrze Jegoryczu, sami wtedy zmiarkowali, że w pańskim serduszku dzieją się dziwne rzeczy. Jak tylko spojrział na pana i Oleńkę – „no, mówi, wpadł nieborak!” Niech pan siada z nami do obiadu, Piotrze Jegoryczu!

Urbienin ostrożnie i z uszanowaniem usiadł, przywołał spojrzeniem Ilję i kazał sobie podać zupy. Nalałem mu kieliszek wódki.

– Nie piję – powiedział.

– Daj pan spokój, pije pan i to więcej od nas.

– Piłem, a teraz już nie piję – uśmiechnął się rządcą. – Nie wolno mi teraz pić. Nie mam po co... Wszystko, chwała Bogu, minęło szczęśliwie, wszystko się ułożyło, i tak, jak pragnęło moje serce, nawet lepiej, niż mógłbym się spodziewać.

– No to niech pan chociażby wypije z radości – powiedziałem nalewając mu xeresu.

– Chyba że tak. A piłem rzeczywiście dużo. Teraz mogę się przyznać panu hrabiemu, bywało, że od rana do nocy... Wstanie człowiek rano, przypomni mu się to i owo... no i, naturalnie, zaraz do kredensiku. Teraz, chwała Bogu, nie ma powodów do zalewania robaka.

Urbienin wychylił szklanekę xeresu. Nalałem mu drugą. Wychylił i tę i niepostrzeżenie się upił...

– Trudno nawet uwierzyć... – powiedział wybuchając nagle dziecięcym śmiechem.

– Patrząc na ten pierścionek, przypominam sobie słowa, jakimi wyraziła zgodę, i nie chce mi się wierzyć... To nawet... zabawne... No, czy mogłem się spodziewać, w moim wieku, z taką powierzchownością, że cudowna dziewczyna zgodzi się zostać moją... zostać matką moich sierot? Toż to piękność, jak panowie raczyli widzieć, prawdziwy anioł. Po prostu cudo! Pan mi jeszcze nalał?... Niech tam, ostatni raz... Piłem ze zgryzoty, wypiję i z radości. A jak ja się męczyłem, panowie, jak ja się nacierpiałem! Zobaczyłem ją rok temu, i – czy dacie, panowie, wiarę? – od tego czasu nie było nocy, żebym spał spokojnie, nie było dnia, żebym nie uśmierzał wódką tej... idiotycznej słabości, nie przeklinał swojej głupoty... Bywało, patrzę na nią przez okno, lubuję się jej widokiem i... włosy sobie z głowy wyrywam... Nic, tylko się powiesić... Ale, chwała Bogu...

zaryzykowałem, oświadczyłem się, i, wiecie panowie, jakbym dostał obuchem po głowie! Ha-ha! Słyszę i uszom swoim nie wierzę... „Zgadzam się”, mówi, a mnie się majaczy: „Wynoś mi się, ty stary pierniku, do diabła”... Potem, kiedy mnie pocałowała, nie miałem już wątpliwości...

Pięćdziesięcioletni Urbienin na wspomnienie pocałunku poetycznej Oleńki zamknął oczy i spąsował jak chłopiec... Wydało mi się to odrażające...

– Panowie – powiedział patrząc na nas szczęśliwymi, tkliwymi oczami. – Dlaczego się nie żenicie? Dlaczego marnujecie niepotrzebnie, wyrzucacie za okno swoje życie? Dlaczego uciekacie od tego, co stanowi największe dobro każdego stworzenia na ziemi? Wszak rozpusta nie daje nawet setnej części tej rozkoszy, jaką zapewnia ciche, spokojne życie rodzinne! Młodzi ludzie... pan, hrabio, i pan, Sergiuszu Pietrowiczu... szczęśliwy jestem teraz... i... Bóg mi świadkiem, lubię panów! Proszę mi wybaczyć moje głupie rady, ale... życzę panom szczęścia! Dlaczego się panowie nie żenicie? Życie rodzinne to szczęście... To obowiązek każdego z nas!

Szczęśliwy i rozrzewniony starzec, żeniący się z młodziutką dziewczyną, i doradzający nam, byśmy zamienili nasze rozpustne życie na ciche, rodzinne szczęście, zaczął mnie drażnić.

– Tak – powiedziałem – życie rodzinne to obowiązek. Zgadzam się z panem. A więc obowiązek ten spełnia już pan po raz wtóry.

– Tak, po raz wtóry. Ja w ogóle lubię życie rodzinne. Być kawalerem czy wdowcem to dla mnie życie niepełnowartościowe. Cokolwiek byście, panowie, powiedzieli, małżeństwo to wielka rzecz.

– Oczywiście... Nawet wtedy, kiedy mąż jest niemal trzy razy starszy od swej małżonki?

Urbienin poczerwieniał. Ręka, podnosząca do ust łyżkę z zupą, zadrżała i zupa wylała się z powrotem do talerza.

– Rozumiem, co pan ma na myśli, Sergiuszu Pietrowiczu – wymamrotał. – Dziękuję panu za szczerłość. Ja sam zadaję sobie pytanie: czy to godziwe? Dręczy mnie to! Ale jak tu zadawać sobie takie pytania, rozwiązywać różne problemy, kiedy w każdej chwili ma się poczucie szczęścia, zapomina się o swojej starości, brzydocie – o wszystkim! *Homo sum*, Sergiuszu Pietrowiczu! A kiedy na sekundę ogarnia mnie wątpliwość co do różnicy wieku, bez trudu znajduję argument i uspakajam siebie, jak umiem, wydaje mi się, że dałem Oleńce szczęście. Jej dałem ojca, a sierotom moim matkę. Zresztą, wszystko to zakrawa na romans, i... kręci mi się w głowie. Niepotrzebnie mnie pan xeresem napoił.

Urbienin wstał, otarł usta serwetką i znowu usiadł. Po chwili wypił duszkiem szklanekę, popatrzył na mnie przeciągłym, błagalnym spojrzeniem, jakby prosząc o litość, potem jego ramiona nagle zadrżały i niespodziewanie rozplakał się jak dziecko.

– To nic... To nic – wybełkotał tłumiąc szloch. – Proszę się nie niepokoić. Serce moje od pańskich słów ścisnęło jakieś przeczucie. Ale to nic.

Przezucie Urbienina sprawdziło się i to tak szybko, że nie muszę nawet wymieniać piór i rozpoczynać od nowej strony. Od następnego rozdziału zniknie wyraz spokoju na twarzy mej nieboszczki muzy ustępując wyrazowi gniewu i smutku. Wstęp skończony, zaczyna się dramat.

Zbrodnicza wola człowieka domaga się swoich praw.

Przypominam sobie pogodny niedzielny poranek. Przez okna hrabiowskiej cerkwi widać przezroczyście, błękitne niebo, a całą cerkiew od pokrytej malowidłami kopuły do posadzki przeszywa matowy promień, w którym wesoło swawolą kłęby dymu kadzidła... Przez otwarte okna i drzwi dolatuje świergot jaskółek i szpaków... Jeden wróbel, widać nie lada śmiałek, wleciał przez drzwi i ćwierkając krążył nad naszymi głowami, zanurzył się kilka razy w matowym promieniu i wyleciał oknem... W cerkwi również śpiewają... Śpiewają zgodnym chórem, z uczuciem i z tym uniesieniem, do jakiego zdolni są nasi Małorusini, kiedy czują się bohaterami chwili, i kiedy wiedzą, że ktoś na nich co chwila spogląda... Motywy coraz weselsze, filuterne, jak jasne, słoneczne „zajaczki” igrające na ścianach i ubraniach słuchaczy... W niewyszkolonym, lecz miłym i świeżym tenorze ucho moje spoza wesołego weselnego motywu wyławia trudną, smętną nutę, jakby tenorowi smutno było, że obok ślicznej, poetycznej Oleńki stoi ciężki, niedźwiedziowaty i mający życie za sobą Urbienin. Zresztą nie tylko tenorowi przykro jest patrzeć na tę niedobraną parę... Na wielu twarzach, pozostających w polu mego widzenia, chociaż usiłują być wesołe i bez troskie, nawet idiota mógłby wyczytać współczucie.

Odziany w nowiutki frak stoję za Oleńką i trzymam nad nią koronę. Jestem błądy i niezbyt dobrze się czuję... Głowa mi pęka po wczorajszej pijatyce i przejażdżce po jeziorze, i co chwila sprawdzam, czy nie drży mi ręka trzymająca koronę... W sercu ponuro i smutno jak w lesie podczas pory deszczowej. Jestem rozdrażniony, czuję obrzydzenie, żal... Gryzie mnie jakiś robak, to chyba wyrzuty sumienia... Tam w głębi, na samym dnie mej duszy siedzi diabełek i uparcie, natarczywie szepce mi, że jeśli związek małżeński Oleńki jest grzechem, to ja mam swój udział w tym grzechu... Skąd się biorą podobne myśli? Jak mogłem uratować to głupiutkie dziewczątko przed niepojętym ryzykiem i fatalną pomyłką?

– A kto wie? – szepce diabełek. – Ty powinieneś wiedzieć o tym najlepiej!

Wiele widziałem w moim życiu niedobrych małżeństw, nieraz stałem przed obrazem Pukiriowa*, wiele czytałem powieści na temat niedobrania w małżeństwie, wiedziałem wreszcie, że prawa fizjologii w sposób nieodwołalny niweczą niedobre małżeństwa, ale ani razu jeszcze w życiu nie odczuwałem takiego ciężaru na sercu, z którego nie sposób się wyzwolić, jak wówczas – kiedy tak stałem za plecami Oleńki pełniąc obowiązki druzby... Jeżeli dręczy mnie tylko współczucie, to dlaczego nie doznałem nigdy tego uczucia na innych ślubach?. – To nie współczucie – szepce diabełek. – To zazdrość...

Ale można być zazdrosnym tylko o kogoś, kogo się kocha, a czy ja Kocham tę „dziewczynę w czerwieni”? Gdybym tak zakochiwał się w każdej napotkanej dziewczynie, to serca by nie starczyło...

Mój przyjaciel, hrabia Karniejew, stoi z tyłu, przy drzwiach cerkwi, za ladą starosty cerkiewnego, i sprzedaje świece. Jest ulizany, napomadowany i wydziela narkotyczny duszący zapach perfum. Jest dziś tak przymilny, że witając się z nim rano nie mogłem się powstrzymać, żeby mu nie powiedzieć:

– Wyglądasz dzisiaj, Aleksy, jak idealny partner do kadryła!

Każdego wchodzącego i wychodzącego odprowadza ckliwym uśmiechem, i słyszę, jak ciężkimi komplementami częstuje każdą damulkę kupującą u niego świecę. Nasz wybraniec losu nigdy nie miał do czynienia z miedziakami, toteż nie umiał się z nimi obchodzić i co chwila upuszczał na posadzkę piątaki i trzykopieskówki. Obok niego oparty o ladę stoi majestatyczny Kalinin z Orderem świętego Stanisława na szyi. Cały promienieje i lśni. Rad jest, że jego idea „żurfiksów” trafiła na podatny grunt i już zaczyna kiełkować. W głębi duszy obsypuje Urbienina tysiącem dziękczynień: jego ślub jest niedorzeczny, ale będzie to świetny pretekst do urządzenia pierwszego żurfiksu.

Próżność Oleńki winna być zaspokojona... Od ślubnego pulpitu do samych carskich wrót ciągną się dwa szeregi przedstawicieli naszego powiatowego *beau-monde*... Goście wystrojeni są tak, jakby się ubrali na ślub samego hrabiego: trudno o wspanialsze stroje... Są tu przeważnie osoby z „wyższych sfer”... Ani jednej popadii, ani jednej kupcowej... Są nawet takie, którym przedtem Oleńka nie śmiałyby się nawet ukłonić... Pan młody – to tylko rządca, uprzywilejowany oficjalista, ale jej ambicja nie może być z tego powodu urażona... Jest szlachcicem i w sąsiednim powiecie ma majątek, co prawda zastawiony. Jego ojciec był powiatowym marszałkiem szlachty, zaś sam Urbienin od dziesięciu lat piastuje funkcję sędziego pokoju w swym rodzinnym powiecie... Czegóż więcej trzeba żadnej zaszczytów córce drobnego szlachcica? Nawet druzba, znany w całej guberni *bon vivant* i Don Juan, może połaskotać jej ambicję... Przykuwa wzrok wszystkich pań... Jest

* Mowa o głośnym w Rosji obrazie W.N. Pukiriowa (1832–1890) *Nierawny brak* (1863) – *Niedobre małżeństwo* (przyp. tłum.).

efektowny jak czterdzieści tysięcy družbów razem wziętych i, co niemniej ważne, zgodził się zostać družbą prostej dziewczyny, podczas gdy wiadomo, że nawet arystokratkom odmawiał, gdy się do niego o to zwracały...

Ale próżna Oleńka nie cieszy się... Jest blada jak płótno, które niedawno wiozła z jarmarku w Tieniewie. Jej trzymająca świecę ręka lekko drży, podbródek czasami dygoce. Oczy ma jakieś otępiałe, jakby nagle czymś się zdziwiła, czymś przestraszyła... Nie ma nawet śladu wesołości, którą tryskała nie dalej jak wczoraj, kiedy biegała po ogrodzie i z przejściem opowiadała, jakie firanki będą w jej salonie, w jakie dni przyjmować będzie gości, i tak dalej. Jej twarz jest teraz zbyt poważna, bardziej niżli tego wymaga uroczysta chwila...

Urbienin ma na sobie nowy frak. Ubrany jest przyzwoicie, ale uczesany tak, jak czesali się prawosławni w roku dwunastym. Jest jak zwykle czerwony i poważny. Ma rozmodlone oczy i znaki krzyża, które robi po każdym „Hospodi, pomiluj!”, nie mają w sobie nic machinalnego.

Za mną stoją dzieci Urbienina z pierwszego małżeństwa – gimnazjalista Grisza i płowowłosa Sasza. Patrzą na czerwony kark i odstające uszy ojca, i na ich twarzach maluje się pytanie. Nie rozumieją, na co ich ojcu potrzebna jest ciocia Ola i po co bierze ją do siebie do domu. Dziwi się właściwie tylko Sasza, czternastoletni zaś Grisza jest naburmuszony i patrzy spode łba. Z pewnością odpowiedziałby odmową, gdyby ojciec zapytał go o zgodę na ożenek...

Ceremonia ślubu odbywa się niezwykle uroczyście. Mszę celebrują trzej księża i dwaj diakoni. Trwa to długo, tak długo, że ręka męczy mi się trzymaniem korony, a damy, które w ogóle lubią przyglądać się zaślubinom, przestają patrzeć na nowożeńców. Proboszcz odmawia modlitwy, z pauzami, nie opuszczając ani jednej; chór śpiewa coś długiego z nut; diaczek korzystając ze sposobności popisania się swoją oktawą, czyta *Dzieje Apostolskie* przeciągłym głosem... Lecz oto nareszcie proboszcz bierze z moich rąk koronę... młodzi wymieniają pocałunki. Tłum gości faluje, szpaler pęka, nie ma końca gratulacjom, pocałunkom, zachwytom. Urbienin, rozpromieniony i uśmiechnięty, ujmuje pannę młodą pod rękę i wychodzimy na dwór...

Jeśli ktoś, kto był ze mną w cerkwi, będzie uważał ten opis za niepełny i nie całkiem dokładny, to niechaj uchybienia te przypisze mojemu bólowi głowy i wspomnianemu stanowi ducha, który przeszkadzał mi obserwować i rejestrować spostrzeżenia... Rzecz jasna, gdybym wtedy wiedział, że wypadnie mi pisać powieść, nie spoglądałbym pod nogi, jak w opisywany poranek, i nie zwracałbym uwagi na ból głowy!

Los pozwala sobie niekiedy na zjadliwe, okrutne żarty! Ledwie młodzi zdążyli wyjść z cerkwi, a już oczekiwała ich niemiła i niepożądana niespodzianka... Gdy orszak ślubny, mieniąc się w słońcu setkami kolorów i odcieni, zmierzał od cerkwi ku

hrabiowskiemu domowi, Oleńka cofnęła się nagle o kilka kroków i tak pociągnęła swego męża za rękaw, że ten zachwiał się na nogach...

– Wypuścili go! – powiedziała głośno, spojrzawszy na mnie z przerażeniem.

Biedactwo! Na spotkanie orszaku biegł aleją jej niespełna rozumu ojciec, leśniczy Skworców. Wymachując rękami, potykając się i obłądnie wodząc oczami, wyglądał niezbyt pociągająco. Wszystko byłoby jeszcze do zniesienia, gdyby nie to, że miał na sobie swój perkalowy szlafrok i kapcie, zupełnie nie harmonizujące z wytwornością ślubnego stroju córki. Twarz miał zaspaną, włosy rozwichrzone, nocną koszulę rozpiętą.

– Oleńko! – zaszczebiotał zrównawszy się z orszakiem. – Dlaczego odeszłaś?

Oleńka zarumieniła się i z ukosa spojrzała na uśmiechające się damy. Biedactwo płonęło ze wstydu...

– Mitka nie zamknął drzwi – ciągnął leśniczy zwracając się do nas. – Złodzieje mogą się zakraść!... Z kuchni samowar wynieśli zeszłego roku, a ona chce, żeby i teraz nas okradli!

– Nie wiem, kto go wypuścił! – szepnął mi Urbienin. – Kazałem go zamknąć... Mój drogi Sergiuszu Pietrowiczu, niech pan będzie tak dobry i wybawi nas jakoś z tej niezręcznej sytuacji. Bardzo pana proszę!

– Ja wiem, kto ukradł panu samowar – zwróciłem, się do leśniczego. – Chodźmy, pokażę panu.

I, ująwszy Skworcowa pod ramię poprowadziłem go w stronę cerkwi... Stanąwszy przy ogrodzeniu, zająłem go rozmową, i kiedy, według mych obliczeń, orszak weselny dotarł już do domu, zostawiłem go nie wskazawszy miejsca, gdzie się znajduje ukradziony samowar.

Jakkolwiek nieoczekiwane i niesamowite było spotkanie z obłąkanym, szybko jednakże o tym zapomniano... Nowa niespodzianka, zgotowana młodym przez los, była jeszcze bardziej osobliwa...

W godzinkę później siedzieliśmy wszyscy przy długich stołach i spożywaliśmy obiad.

Tego, kto przywykł do pajęczyn, pleśni i cygańskich głosów w hrabiowskich apartamentach, o zdziwienie przyprawiał ten pospolity, prozaiczny tłum, naruszający swą paplaniną ciszę starych, zapuszczonych pokojów. Ten barwny, hałaśliwy tłum przypominał stado szpaków, które na chwilę przyleciało odpocząć na zaniedbanym cmentarzu, lub – zechcą szlachetne ptaki wybaczyć mi to porównanie! – stado bocianów, które wylądowało pewnego pięknego dnia o zmierzchu na ruinach starego zamku.

Siedziałem pełen nienawiści do tego tłumu, który z zabawną ciekawością oglądał rozpadające się bogactwo hrabiów Karniejewów. Mozaikowe ściany, sztukaterie na

sufitach, wspaniałe perskie dywany i rokokowe meble budziły zachwyt i podziw. Wąsata fizjonomia hrabiego promieniała zarozumiałym uśmiechem... Pełne egzaltacji pochlebstwa swoich gości przyjmował jako coś zasłużonego, choć w rzeczywistości on sam ani trochę nie przyczynił się do bogactwa i wspaniałości porzuconego przez siebie gniazda, lecz przeciwnie, zasługiwał na jak najbardziej gorzkie wyrzuty, a nawet pogardę za swą barbarzyńską i tępą obojętność dla dóbr nagromadzonych przez jego przodków w ciągu dziesiątków lat! Tylko ubogi duchem i ślepy na każdej poszarzałej płycie marmurowej, w każdym obrazie, w każdym ciemnym zakątku hrabiowskiego ogrodu mógł nie dostrzec potu, łez i trudu ludzi, których dzieci gnieździły się teraz w chatach hrabiowskiej wioski... I wśród tej wielkiej liczby ludzi siedzących przy stole weselnym, ludzi bogatych, niezależnych, którzy mogli sobie pozwolić na wygarnięcie choćby najbrutalniejszej prawdy, nie znalazł się nikt kto powiedziałby hrabiemu, że jego zarozumiały uśmiech jest niedorzeczny i nie na miejscu... Każdy uznawał za stosowne uśmiechać się przypochlebnie i kadzić mu w niewyszukany sposób! Jeśli to była zwykła uprzejmość (u nas lubią wiele zwać na uprzejmość i dobre maniery), to wolałbym mieć do czynienia nie z tymi frantami, lecz już raczej z prostakami, którzy jedzą rękami, sięgają po chleb do cudzego talerza i wycierają nos palcami...

Urbienin uśmiechał się, ale miał ku temu powody. Uśmiechał się i przypochlebnie, i z respektem, i po dziecięcemu szczęśliwie. Jego uśmiech od ucha do ucha był namiastką psiego szczęścia. Przygarnięto i uszczęśliwiono wiernego i kochającego psa, który teraz z wdzięczności wesoło i szczerze merda ogonem...

Jak Risler senior w powieści Alfonsa Daudet, promieniejąc i zacierając z zadowolenia ręce, patrzył na swoją młodą żonę i z nadmiaru uczuć zadawał pytanie za pytaniem:

„Kto mógł pomyśleć, że taka młoda i piękna dziewczyna pokocha takiego starucha jak ja? Przecież mogła sobie znaleźć jakiegoś młodszego i bardziej wytwornego? Niezbadane są serca niewieście!”

Ośmielił się nawet zwrócić do mnie ze swą paplaniną:

– Ależ czasy nastały, jak się tak zastanowić! He-he! Staruch zdmuchnął młodzieży sprzed nosa taką czarodziejkę! Gdzie miał pan oczy?... He-he!... Nie, nie ma już dzisiaj prawdziwej młodzieży!

Nie wiedząc, co począć z nadmiarem uczuć wdzięczności rozpierających jego szeroką pierś, co chwila wstawał, wyciągał swój kielich do hrabiego i mówił drżącym ze wzruszenia głosem:

– Wie pan, panie hrabio, jakie żywię dla pana uczucia... W dniu dzisiejszym tak wiele pan hrabia dla mnie uczynił. Nie wiem doprawdy, czym zasłużyłem sobie na tyle łaskawości pana hrabiego, że zechciał pan hrabia podzielić ze mną radość? Tak tylko hrabiowie i bankierzy sprawiają wesela! Te wspaniałości, to zgromadzenie znakomitych

gości... Ach, co tu dużo mówić!... Proszę mi wierzyć, panie hrabio, że na zawsze zachowam pana hrabiego w swej pamięci, podobnie jak ten najpiękniejszy i najszczęśliwszy dzień w moim, życiu...

I tak dalej... Oleńce były widać nie w smak te zawile wyrazy mężowskiego szacunku... Wyraźnie krępowały ją przemówienia męża, wywołujące uśmieški na twarzach biesiadników, a nawet chyba się ich wstydziła... Mimo, że wypła kielich szampana, była tak samo smutna i posępna jak przedtem... Ta sama bladeść co w cerkwi, ta sama trwoga w oczach... Milczała, leniwie odpowiadała na wszystkie pytania, wymuszonym uśmiechem kwitowała dowcipy hrabiego i ledwie dotykała wykwintnych potraw... O ile coraz bardziej pijany Urbienin uważał się za najszczęśliwszego ze śmiertelników, o tyle nieszczęśliwie wyglądała jej śliczna twarzyczka. Żal mi ściszał serce, kiedy na nią patrzyłem, i, żeby nie widzieć tej twarzyczki, starałem się patrzeć w swój talerz.

Czym można było wytłumaczyć ten jej smutek? Czyż biedne dziewczę nie zaczynało żałować swego kroku? A może jej próżność spodziewała się jeszcze większej pompy?

Kiedy podczas drugiego dania podniosłem na nią oczy, serce mi się aż ścisnęło z bólu! Biedne dziewczę, odpowiadając na błahe pytanie hrabiego, z trudem przełykało ślinę: zbierało się jej na płacz. Nie odejmowała chusteczki od ust i spoglądała na nas nieśmiało, jak wystraszone zwierzątko: czy nie widzimy, że chce się jej płakać?

– Czemu pani dzisiaj taka kwaśna? – zapytał hrabia. – Ehe! Piotrze Jegoryczu, to pańska wina! Niech no pan rozrusza żonę! Panowie, żądam pocałunku! Ha-ha!... Nie dla siebie, rzecz jasna, ale tego... niech się pocałują! Gorzko!

– Gorzko! – podchwycił Kalinin.

Urbienin, uśmiechając się całą swoją czerwoną twarzą, wstał i zamrugał oczami. Oleńka, zachęcona okrzykami, uniosła się z lekka i nadstawiła swe nieruchome, martwe usta... Urbienin pocałował ją... Oleńka zacisnęła wargi jakby w obawie, żeby nie pocałował jej powtórnie, i spojrzała na mnie... Miałem widocznie złe spojrzenie. Pochwyciwszy je nagle zarumieniła się, sięgnęła po chusteczkę i jęła wycierać nos, pragnąc jakoś ukryć swoje straszne zmieszanie. Przyszło mi do głowy, że wstydzi się mnie, wstydzi się tego pocałunku, tego małżeństwa...

„Co ty mnie właściwie obchodzisz?” – pomyślałem, lecz jednocześnie nie spuszczałem z niej oczu, usiłując odgadnąć powód jej zmieszania...

Biedactwo, nie zniosło mego spojrzenia. Co prawda rumieniec wstydu szybko zniknął, za to z oczu trysnęły łzy, prawdziwe łzy, jakich nigdy przedtem nie widziałem na jej twarzy... Przycisnąwszy chusteczkę do oczu wstała i wybiegła z jadalni...

– Olgę Nikolajewnę boli głowa – pospieszyłem wytłumaczyć jej odejście. – Już rano skarżyła mi się...

– Daj spokój, bracie – zażartował hrabia. – Co tu ma do rzeczy ból głowy... To pocałunek tak podziałał, zawstydzila się. Proszę państwa, jestem zmuszony udzielić panu młodemu surowej nagany! Nie przyzwyczaił swej narzeczonej do pocałunków! Ha-ha!

Goście zachwyceni dowcipem hrabiego roześmiali się... Ale śmiech był nie na miejscu...

Minęło pięć, dziesięć minut, a panna młoda nie wracała... Zaległo milczenie... Nawet hrabia przestał dowcipkować. Nieobecność Oleńki była tym bardziej zauważalna, że odeszła nagle, bez słowa... Pomijając etykietę, która została wyraźnie naruszona, Oleńka odeszła od stołu natychmiast po pocałunku, jakby zagniewana, że zmuszono ją do całowania się z mężem... Trudno było przypuszczać, aby odeszła dlatego, że się zawstydzila... Zawstydzic się można na chwilę, ale nie na całą wieczność, jaką wydawało się nam pierwsze dziesięć minut jej nieobecności... Ileż niedobrych myśli przemknęło przez podchmielone głowy mężczyzn i ileż plotek miały już w pogotowiu ich miłe połowice! Panna młoda wstała od stołu i wyszła – co za efektowny i sceniczny epizod „wielkoświatowego” powiatowego romansu!

Urbienin zaczął się niespokojnie rozglądać na wszystkie strony.

– Nerwy... – mamrotał. – A może coś tam w toalecie się rozwiązało... Nigdy nic nie wiadomo z tymi kobietami! Zaraz przyjdzie... zaraz...

Ale kiedy minęło jeszcze dziesięć minut, a ona się wciąż nie pojawiała, spojrzał na mnie tak nieszczęśliwym, błagalnym wzrokiem, że zrobiło mi się go żal...

„A gdyby tak pójść jej poszukać?” – mówiły jego oczy. – Może by mi pan pomógł wybrnąć z tej strasznej sytuacji? Jest pan przecież tutaj najmądrzejszy, najśmielszy i najbardziej pomysłowy, niech mi pan pomoże!”

Usłuchałem błagania jego nieszczęśliwych oczu i postanowiłem mu pomóc. Czy i jak mu pomogłem, czytelnik przekona się niebawem... Powiem tylko, że niedźwiedź Kryłowa, który oddał przysługę pustelnikowi, w moich oczach traci cały swój zwierzęcy majestat, blednie i przemienia się w niewinnego wymoczka, gdy wspominam swoją rolę „usłużnego durnia”. Podobnie jak ów niedźwiedź pośpieszyłem z pomocą szczerze, nie przewidując fatalnych konsekwencji swej przysługi, ale pomiędzy nami była kolosalna różnica... Kamień, którym trafiłem Urbienina, był wielekroć cięższy...

– Gdzie Olga Nikolajewna? – zapytałem lokaja podającego nam sałatę.

– W ogrodzie – odpowiedział.

– Do czego to podobne, mesdames! – rzekłem żartobliwym tonem zwracając się do pań. – Panna młoda poszła sobie, a moje wino skisło!... Muszę ją pójść odszukać i

sprowadzić tutaj, choćby bolały ją wszystkie zęby! Drużba – to osoba urzędowa, idę skorzystać ze swej władzy!

Wstałem i głośno oklaskiwany przez mego przyjaciela hrabiego udałem się do ogrodu. Moja rozgorączkowana winem głowa poczuła ciepło prostych, palących promieni południowego słońca. W twarz buchnął skwar i spiekota. Poszedłem na chybił trafił jedną z bocznych alei i, pogwizdując jakiś motyw, dałem upust swym talentom detektywa, występując w roli psa policyjnego. Obejrzałem wszystkie krzaki, altanki, grotty i kiedy zaczęły mnie już dręczyć wątpliwości, skręciłem na prawo, a nie na lewo. Usłyszałem raptem dziwne odgłosy – ktoś śmiał się czy też płakał. Odgłosy dochodziły z jednej z grot, którą zamierzałem obejrzeć na końcu. Szybko wszedłem w głąb i, przeniknięty wilgocią, zapachem pleśni, grzybów i wapna, ujrzałem tą, której szukałem.

Stała oparta o drewnianą kolumnę pokrytą czarnym mchem, unosząc ku mnie oczy pełne przerażenia i rozpacz. Wyrywała sobie włosy. Z jej oczu płynęły łzy niczym z gąbki, którą się wyżyma.

– Co ja narobiłam? Co ja narobiłam! – mamrotała.

– Tak, tak, Olu, co pani narobiła! – powiedziałem stając przed nią ze skrzyżowanymi rękami.

– Po co ja wyszłam za niego za męża? Gdzie ja miałam oczy? Gdzie ja miałam rozum?

– Tak, Olu... Trudno ten krok zrozumieć... Wytłumaczyć brakiem doświadczenia – byłoby zbytnim pobłażaniem, wytłumaczyć, zepsuciem – również niepodobna...

– Dopiero dzisiaj zrozumiałam... dopiero dzisiaj! Dlaczego nie pojęłam tego przedtem, tamtego wieczoru? Teraz wszystko stracone, bezpowrotnie! Wszystko! Wszystko! Mogłam wyjść za człowieka, którego kocham, który mnie kocha!

– Za kogóż to, Olu? – zapytałem.

– Za pana! – odrzekła patrząc mi prosto w oczy... – Ale ja się pośpieszyłam! Jaka ja byłam głupia! Pan jest mądry, szlachetny, młody... Pan jest bogaty... Wydawał mi się pan niedostępny!

– No, dość już, Olu – powiedziałem biorąc ją za rękę. – Otrzymy łezki i pójdziemy... Czekają na nas... No, dość się napłakaliśmy, no, już dość... – Pocałowałem ją w rękę. – Dość już, dziewczynko! Zrobiłaś głupstwo, trzeba je teraz odpokutować... Samaś sobie winna... No, już dość, uspokój się...

– Przecież ty mnie kochasz? Prawda? Ty jesteś taki duży, piękny! Przecież kochasz?

– Czas na nas, dziecinko moja... – powiedziałem uświadamiając sobie, ku swemu wielkiemu przerażeniu, że całuję ją w czoło, obejmuję jej kibić, że ona parzy mnie swym gorącym oddechem i wisi na mej szyi...

– No, już dość! – mamroczę. – Dość!...

Kiedy jakieś pięć minut później wyniosłem ją z groty na rękach i, umęczoną nowymi wrażeniami postawiłem na ziemi, niemal przed samym wejściem ujrzałem Przechockiego... Stał, zjadliwie patrzył na mnie i cicho mnie oklaskiwał... Zmierzyłem go wzrokiem i, wzięwszy Olgę pod rękę, skierowałem się do domu.

– Żeby dziś jeszcze pana nie było w tym domu! – powiedziałem, oglądając się do Przechockiego. – Pańskie szpiclowanie nie ujdzie panu płazem!

Pocałunki moje widocznie były gorące, bowiem twarz Olgi płonęła jak ogień. Nie było na niej śladu dopiero co przelanych łez...

– A co mi teraz! Teraz nic mi niestraszne! – mamrotała idąc ze mną do domu i kurczowo ściskając mój łokieć. – Rano nie wiedziałam, gdzie się podziać ze strachu, a teraz... teraz, mój dobry wielkoludzie, nie wiem, gdzie się podziać ze szczęścia! Tam siedzi i czeka na mnie mąż... Ha-ha! Ale co mi tam! Gdyby nawet był krokodylem, straszną zmiją... niczego się nie boję! Kocham cię i nie chcę o niczym wiedzieć.

Spojrzałem na jej płonąca szczęściem twarz, na oczy pełne szczęśliwej, zaspokojonej miłości, i trwoga ścisnęła mi serce na myśl o tym, co czeka to miłe, szczęśliwe stworzenie: miłość, jaką do mnie żywiła, była tylko jeszcze jednym krokiem w przepaść... Jaki będzie koniec tej roześmianej, nie myślącej o przyszłości kobiety?... Serce przeszło mi uczucie, którego nie można nazwać ani litością, ani współczuciem, było bowiem silniejsze od nich. Przystanąłem i objąłem Olgę ramieniem... Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś piękniejszego, wdzięczniejszego i zarazem żałośniejszego... Nie było czasu na rozważania, porachunki, rozmyślania, toteż pod wpływem afektu powiedziałem:

– Jedźmy do mnie, Olgo, zaraz! W tej chwili!

– Jak? Coś ty powiedział? – zapytała zbита z tropu moim nieco uroczystym tonem...

– Jedźmy natychmiast do mnie!

Uśmiechnęła się i wskazała na dom...

– No więc jak? – spytałem. – Dzisiaj czy jutro będziesz moją, czy to nie wszystko jedno? Im wcześniej, tym lepiej... Chodźmy!

– Ale... to jakoś tak dziwnie...

– Skandalu się boisz, dziewczeczko?... Tak, to dopiero będzie skandal, potężny skandal, ale lepsze to, niż zostawać tutaj! Nie zostawię cię tu! Nie mogę cię tu zostawić! Rozumiesz, Olgo? Nie bądź małoduszna, daj spokój swej kobiecej logice i posłuchaj mnie! Posłuchaj, jeśli nie pragniesz swej zguby!

Oczy Olgi mówiły, że mnie nie rozumie... A czas upływał i stać tak długo w alei było nie sposób. Czekano na nas tam... Trzeba było coś postanowić... Tuliłem do siebie „dziewczynę w czerwieni”, która była teraz właściwie moją żoną, i w owej chwili wydawało mi się, że naprawdę ją kocham, kocham miłością mężowską, że jest moją i jej los obciąża moje sumienie... Zdałem sobie sprawę, że związany jestem z tą istotą na wieki, bezpowrotnie.

– Posłuchaj, moja kochana, skarbie mój! – powiedziałem. – To śmiały krok... Skłóci nas z ludźmi nam bliskimi, posypią się na nasze głowy słowa potępienia, łzawe skargi i zaważy to być może na mojej karierze, będę miał mnóstwo wszelakich kłopotów, ale miła moja, postanowione! Zostaniesz moją żoną... Lepszej żony mi nie trzeba, zresztą Bóg z nimi, z tymi kobietami! Uczynię cię szczęśliwą, będę cię strzec jak źrenicy oka, do samej śmierci, wychowam cię, zrobię z ciebie kobietę! Obiecuję ci to, daję słowo uczciwego człowieka!

Mówiłem ze szczerym uniesieniem, z żarem, jak „*jeune premier*”, wygłaszający najbardziej patetyczny fragment swej roli... Mówiłem pięknie, nie bez kozery załopotana nade mną skrzydłami przelatująca nad naszymi głowami orlica. A Ola ujęła moją wyciągniętą rękę i czule pocałowała. Ale nie był to znak zgody... Na głupiutkiej twarzy niedoświadczonej kobiety, która nigdy dotąd nie słyszała podobnej przemowy, malowało się zdumienie... w dalszym ciągu nie rozumiała tego, co do niej mówię.

– Mówisz, żebym poszła do ciebie... – wyrzekła, zastanawiając się... – Czegoś tu nie rozumiem... czy wiesz, co on na to powie?

– Co ci do tego, co on powie?

– Jak to co? Nie, Sierioża, lepiej nie mów... Daj spokój, proszę cię... Kochasz mnie, i więcej mi nic nie trzeba. Z twoją miłością mogę żyć nawet w piekle...

– Ale co będzie z tobą, głuptasku?

– Ja będę mieszkać tu, a ty... będziesz codziennie do mnie przyjeżdżać... Będę ci wychodzić na spotkanie.

– Ależ ja nie mogę bez drżenia pomyśleć o twoim życiu!... W nocy on, w dzień – ja... Nie, to niemożliwe! Olu, kocham cię w tej chwili tak, że... oszaleję chyba z zazdrości... Nie podejrzewałem nawet, że jestem zdolny do podobnego uczucia...

Ale cóż za nieostrożność! Obejmowałem jej kibić, a ona z czułością głaskała moją rękę, a przecież w każdej chwili mógł się ktoś zjawić w alei i nas zobaczyć.

– Chodźmy – powiedziałem cofając ręce. – Spakuj się i idziemy!

– Ale jak można tak nagle... – jęknęła płaczliwym głosem. – Spieszysz się, jakby się paliło... I Bóg wie, co też wymyślił! Uciekać od razu po ślubie! Co ludzie na to powiedzą!

I Oleńka wzruszyła ramionami. Na jej twarzy malowało się tyle zdziwienia, zaskoczenia i niezrozumienia, że machnąłem ręką i odłożyłem decyzję o jej „problemie życiowym” do następnego razu. Zresztą nie było już czasu na kontynuowanie naszej rozmowy: idąc po kamiennych schodach tarasu usłyszeliśmy gwar. Przed drzwiami jadalni Ola poprawiła fryzurę, zlustrowała swój strój i weszła. Na jej twarzy nie widać było zmieszania. Weszła wbrew moim oczekiwaniom bardzo śmiało.

– Zwracam państwu zbiega – powiedziałem wchodząc i siadając na swoim miejscu.
– Z trudem odnalazłem... Zmęczyłem się nawet... Wchodzę do ogrodu, patrzę, a ona raczy spacerować po alei... „Co pani tu robi?” – pytam. – „Nic, duszno jakoś!...”

Spojrzała na mnie, na gości, na męża... i wybuchnęła śmiechem. Ogarnęła ją nagle wesołość. Wyczytałem z jej twarzy pragnienie podzielenia się z biesiadnikami szczęściem, jakie ją spotkało, i nie mogąc przekazać tego słowami, uczyniła to swym śmiechem.

– Jaka ja jestem śmieszna! – powiedziała. – Śmieję się i sama nie wiem z czego...
Hrabio, niech się pan śmieje!

– Gorzko! – zawołał Kalinin.

Urbienin zakasłał i spojrzał pytająco na Olę.

– No? – zapytała na mgnienie oka chmurząc brwi.

– Krzyczą „gorzko!” – uśmiechnął się Urbienin wstając i wycierając usta serwetką.

Olga wstała i dała mu się pocałować w znieruchomiłe usta... Pocałunek ten był zimny, lecz jeszcze bardziej rozniecił żar tłący w mej piersi i gotowy w każdej chwili wybuchnąć płomieniem. Odwróciłem się i, zaciskając zęby, czekałem na koniec obiadu... Nastąpiło to na szczęście niebawem, inaczej bym nie wytrzymał.

– Chodź no tu! – rzekłem niegrzecznie podchodząc do hrabiego po obiedzie.

Hrabia spojrzał na mnie ze zdziwieniem i podążył za mną do pustego pokoju, dokąd go zaprowadziłem...

– Czego sobie życzysz, przyjacielu? – zapytał rozpinając kamizelkę i czkając.

– Musisz wybrać jednego z dwóch... – powiedziałem ledwie trzymając się na nogach od ogarniającego mnie gniewu. – Albo ja, albo Przechocki! Jeśli mi nie dasz słowa, że za godzinę ten łajdak opuści twoją posiadłość, moja noga nigdy więcej u ciebie nie postanie!... Daję ci pół minuty na odpowiedź!

Hrabia wyjął papierosa z ust i złożył ręce...

– Co się z tobą dzieje, Sierioża? – zapytał robiąc wielkie oczy. – Zmieniłeś się nie do poznania!

– Tylko bez zbędnych słów, proszę! Nie cierpię tego szpicla, tego szubrawca, tego twojego Przechockiego i w imię naszej przyjaźni żądam, żeby natychmiast zniknął mi z oczu!

– Ale co on ci takiego zrobił? – zaniepokoił się hrabia. – Czego od niego chcesz?

– Pytam cię: ja czy on?

– Ależ, kochaneczku, stawiasz mnie w kłopotliwej sytuacji... Chwileczkę, masz piórko na fraku... Żądasz ode mnie rzeczy niemożliwych!

– Żegnaj! – powiedziałem. – Nie chcę cię więcej znać.

I odwróciwszy się gwałtownie udałem się do przedpokoju, ubrałem i szybko wyszedłem. Przechodząc przez ogród do czeladnej, gdzie poleciłem zaprząć konia, napotkałem Nadię Kalinię, która szła z małą filiżanką kawy. Ona również była na ślubie Urbienina, ale jakiś nieokreślony strach nakazał mi unikać z nią rozmowy, i przez cały dzień ani razu nie podeszedłem do niej i nie odezwałem się do niej ani słowem...

– Sergiuszu Pietrowiczu! – rzekła nienaturalnie niskim głosem, gdy mijalem ją uchylwszy kapelusza. – Pan pozwoli na chwileczkę!

– Co pani rozkaże? – zapytałem zbliżając się do niej.

– Nie mam co rozkazywać... zresztą nie jest pan lokajem – powiedziała patrząc mi prosto w oczy i strasznie blednąc. – Pan dokądś idzie, ale jeśli się panu zbyt nie spieszy, może mogłabym pana zatrzymać na minutkę?

– Oczywiście... Nie rozumiem właściwie, dlaczego pani pyta?

– W takim razie usiądźmy... Pan, Sergiuszu Pietrowiczu – ciągnęła dalej, gdyśmy już usiedli – starał się cały dzień nie zauważać mnie, unikał mnie, jakby się pan bał spotkania ze mną, a ja właśnie dzisiaj postanowiłam się z panem rozmówić... Jestem dumna i ambitna... nie umiem się narzucać, ale raz w życiu można zapomnieć o dumie.

– Co pani ma na myśli?

– Postanowiłam dzisiaj zapytać pana... Pytanie jest poniżające, nie przychodzi mi łatwo... nie wiem, jak to przeżyję... Niech pan odpowiada nie patrząc na mnie... Czyżby panu nie było mnie żal, Sergiuszu Pietrowiczu?

Spojrzała na mnie i z lekka pokiwała głową. Twarz jej jeszcze bardziej pobladła, górna warga zadrżała i wykrzywiła się...

– Sergiuszu Pietrowiczu! Wciąż mi się wydaje, że pana... odsunęło ode mnie jakieś nieporozumienie, jakiś kaprys... Wydaje mi się, że gdybyśmy się rozmówili – wszystko byłoby jak dawniej... Gdybym tego tak bardzo nie pragnęła, to nie odważyłabym się zadać panu pytania, które zaraz pan usłyszysz... Nieszczęśliwa jestem, Sergiuszu Pietrowiczu... Musiał pan to zauważyć... Życie moje to żadne życie... Usycham... A

najgorsza jest ta niepewność: człowiek nie wie, czy może mieć nadzieję, czy nie... Pańskie zachowanie względem mnie jest tak niepojęte, że niepodobna wyciągnąć jakiegokolwiek określonego wniosku... Proszę mi powiedzieć, a ja będę wiedziała, co robić... Wtedy moje życie będzie miało jakiś sens... Poweźmę wtedy jakieś postanowienie...

– Chciała mnie pani o coś zapytać, Nadieżdo Nikołajewno – powiedziałem sposobiąc się w myślach do odpowiedzi na pytanie, którego się domyślałem.

– Tak, chciałam pana zapytać... Pytanie jest upokarzające... Jeśli ktoś podsłuchuje, to pomyśli, że narzucam się jak... Puszkina Tatiana... Ale to pytanie dręczące...

Rzeczywiście, pytanie było dręczące. Gdy Nadia zwróciła ku mnie twarz, by zadać to pytanie, przestraszyłem się: drżała na całym ciele, konwulsyjnie zaciskając palce i z bolesną powolnością wydusiła z siebie fatalne słowa. Jej bladość była straszna.

– Czy mogę mieć nadzieję? – wyszeptała wreszcie. – Niech pan mi to powie bez osłonek... Jakakolwiek będzie odpowiedź, lepsza będzie od niepewności. Więc jak? Czy mogę mieć nadzieję?

Czekała na to, co powiem, a tymczasem stan mego ducha był taki, że nie mogłem się zdobyć na sensowną odpowiedź. Pijany, wzburzony tym, co zaszło w grocie, rozwścieczony szpiclowaniem Przechockiego i niezdecydowaniem Olgi, zmartwiony idiotyczną rozmową z hrabią, ledwie słuchałem Nadi.

– Czy mogę mieć nadzieję? – powtórzyła. – Niech mi pan odpowie wreszcie!

– Ach, nie mam głowy do odpowiedzi, Nadieżdo Nikołajewno! – machnąłem ręką wstając. – Nie potrafię w tej chwili dać pani jakiegokolwiek odpowiedzi. Proszę mi wybaczyć, ale nie słyszałem i nie zrozumiałem tego, co pani mówiła. Skołowany jestem i wściekły... Niepotrzebnie się pani zamartwia, słowo daję.

Machnąłem jeszcze raz ręką i odszedłem od Nadi. Dopiero później, oprzytomniawszy, uświadomiłem sobie, jak głupi i okrutny byłem, nie odpowiedziawszy dziewczynie na jej proste, szczere pytanie... Dlaczego jej nie odpowiedziałem?

Teraz, gdy mogę już spokojnie wspominać przeszłość, nie tłumaczę swego okrucieństwa stanem ducha... Wydaje mi się, że nie odpowiedziałem jej przez kokieterię, że się krygowałem. Trudno zgłębić duszę ludzką, a własną jeszcze trudniej. Gdybym rzeczywiście się krygował, Bóg mi to raczy wybaczyć! Chociaż, nawiasem mówiąc, wyszydzanie cudzych cierpień nie powinno być wybaczone.

Przez trzy dni chodziłem z kąta w kąt, jak wilk po klatce, całą siłą niepospolitej woli usiłowałem zatrzymać sam siebie w domu. Nie dotknąłem stosu papierów leżących na stole i cierpliwie czekających, aż raczę zwrócić na nie uwagę, nikogo nie przyjmowałem, wymyślałem Polikarpowi, byłem rozdrażniony... Nie pozwoliłem sobie jechać do hrabiego i upór ten kosztował mnie wiele nerwów. Tysiąc razy chwytałem kapelusz i tyleż

razy rzucałem go... To postanawiałem machnąć ręką na wszystko i pojechać do Olgi, cokolwiek miałyby się stać, to znów opancerzałem się zimnym postanowieniem nieopuszczania domu...

Rozsądek sprzeciwiał się wyjazdowi do hrabiowskiego dworu. Skoro przysięgałem hrabiemu, że noga moja u niego więcej nie postanie, czyż mogłem sprzeniewierzyć się swej ambicji, swej dumie? Co by sobie pomyślał ten wąsaty fircyk, gdybym po tej naszej idiotycznej rozmowie udał się do niego jak gdyby nigdy nic? Czyż nie oznaczałoby to, że przyznaję mu rację?...

Ponadto, jako człowiek uczciwy, powinienem był zerwać wszelkie stosunki z Olgą. Nasz związek nie mógłby jej przynieść nic prócz zguby. Wychodząc za mąż za Urbienina popełniła błąd, związując się ze mną popełniła następny. Żyjąc ze starym mężem i mając zarazem kochankę upodobniłaby się do rozpustnej lalki. Nie mówiąc już o tym, jak odrażające jest w zasadzie takie życie, należało również myśleć o konsekwencjach.

Co ze mnie za tchórz! Bałem się i konsekwencji, i terażniejszości, i przeszłości... Normalny człowiek uśmiełby się z tego. Nie chodziłby z kąta w kąt, nie chwyciłby się za głowę i nie snułby różnych projektów, lecz zdałby się na czas, który potrafi zemleć na pył nawet żarna. Życie przetrawiłoby wszystko, nie prosząc ani o pomoc, ani o pozwolenie... Ale ja byłem nieufny aż do tchórzostwa... Chodziłem z kąta w kąt, udęczony uczuciem litości dla Olgi i jednocześnie przerażony myślą, że ona potraktuje serio propozycję, jaką jej zrobiłem w chwili uniesienia, i zjawi się w moim domu, jak jej to obiecywałem, na zawsze! Co by było, gdyby mnie posłuchała i podążyła za mną? Jak długo potrwałoby to „na zawsze” i co miałyby biedna Olga za życie ze mną? Nie dałbym jej rodziny, a więc nie dałbym i szczęścia. Nie, nie mogłem jechać do Olgi!

A tymczasem ciągnęła mnie do niej jakaś przemożna siła... Tęskniłem jak zakochany po raz pierwszy młodzieniaszek, któremu nie pozwalają iść na *rendez-vous*. Po tym, co się zdarzyło w grocie, namiętnie pragnąłem nowego spotkania, miałem cały czas przed oczami wizerunek Olgi, która, wiedziałem to na pewno, również czekała na mnie i umierała z tęsknoty...

Hrabia zasypywał mnie listami, coraz bardziej płaczliwymi i poniżającymi... Błagał, bym „zapomniał o wszystkim” i przyjechał, przeproszał za Przechockiego, prosił, bym wybaczył temu „dobremu, prostemu, lecz nieco ograniczonemu człowiekowi”, dziwił się, że z jakichś błahych powodów zamierzam zerwać nasze długoletnie przyjacielskie stosunki. W jednym z ostatnich listów zapowiadał, że sam przyjedzie i, jeśli sobie tego życzę, przywiezie z sobą Przechockiego, który mnie przeprosi, „choć nie czuje się wcale winny”. Czytałem listy i w odpowiedzi prosiłem każdego z posłańców, by mi dali święty spokój. Umiałem się krygować, nie ma co!

I w punkcie kulminacyjnym mych rozterek, gdy, stojąc przy oknie, postanowiłem już jechać dokądkolwiek, omijając dwór hrabiowski, dręczony rozważaniami, wyrzutami i

wizjami scen miłosnych, jakie czekały mnie u Olgi, drzwi do mego pokoju cicho się otworzyły, usłyszałem za sobą lekkie kroki, i zaraz potem szyję moją oplótły dwie małe, milutkie rączki...

– To ty, Olgo? – zapytałem odwracając się.

Poznałem ją po gorącym oddechu, po sposobie, jakim zawisła na mojej szyi, a nawet po zapachu. Przytuliła główkę do mojego policzka i wydawała mi się niezwykle szczęśliwa... Przycisnąłem ją do piersi i – prysnęły wszystkie smutki i pytania gnębiące mnie od trzech dni! Z radości roześmiałem się i podskoczyłem jak sztubak.

Olga miała na sobie niebieską jedwabną sukienkę, która harmonizowała z jej bladą cerą i wspaniałymi płowymi włosami. Suknia była modna i strasznie droga. Kosztowała chyba Urbienina jedną czwartą jego rocznej pensji...

– Jak ty ładnie dzisiaj wyglądasz!... – powiedziałem unosząc ją na rękach i całując w szyję. – No, co tam? Jak? Zdrowa?

– Jak tu u ciebie jednak nieładnie! – wyrzekła obejmując spojrzeniem mój gabinet. – Zamożny z ciebie człowiek, pensję masz dużą, a tak... zwyczajnie mieszkasz!

– Nie wszyscy mogą żyć w takim luksusie jak hrabia – powiedziałem. – Ale dajmy spokój mojej zamożności. Jakiż to dobry duch przywiódł cię do mojej nory?

– Ostrożnie, Sierioża, bo pognieciesz mi suknię... Postaw mnie na ziemi... Wpadłam do ciebie tylko na chwilę, skarbie! Powiedziałam w domu, że jadę do Akatjichy, do praczki hrabiego, co tu mieszka w sąsiedztwie, trzy domy dalej od ciebie... Puść mnie, kochaneczku, bo nie wypada. Dlaczego cię tak długo nie było?

Coś tam odpowiedziałem, usadziwszy ją naprzeciwko siebie i jąłem lubować się jej urodą... Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu...

– Śliczna jesteś, Olu, prześliczna – westchnąłem. – Aż żal i przykro się robi, żeś taka ładna!

– Dlaczego przykro?

– Dostał cię licho wie kto.

– Czego ty jeszcze chcesz? Jestem przecież twoja! Przyszłam do ciebie... Posłuchaj, Sierioża... Powiesz mi prawdę, jak cię zapytam?

– Oczywiście, że tak.

– Ożeniłbyś się ze mną, gdybym nie wyszła za Piotra Jegorycza?

„Chyba nie” – cisnęło mi się na usta, ale jak można było rozdrapywać i tak już bolesną ranę w krwawiącym sercu biednej Oli?

– Oczywiście – powiedziałem tonem człowieka mówiącego prawdę.

Westchnęła i opuściła głowę...

– Jak ja się pomyliłam, jak ja się pomyliłam! I, co najgorsze, nie można tego naprawić! Nie mogłabym się z nim rozwieść?

– Nie...

– Dlaczego ja się tak pośpieszyłam, zachodzę w głowę! Dziewczeta są głupie i mają pstro w głowie... Nie ma komu złoić nam skóry! Ale co się stało, to się nie odstanie, nie ma o czym mówić... Ani gadanie, ani łzy nie pomogą. Wiesz, Sierioża, ja dzisiaj całą noc płakałam! On tu... leży koło mnie, a ja o tobie myślę... spać nie mogę... Chciałam nawet pobiec w nocy, choćby do lasu, do ojca... Lepiej żyć u obłąkanego ojca niż z tym... jak mu tam...

– Żadna gadanina, Olu, nie pomoże... Trzeba było myśleć, kiedy wracałaś ze mną z Tieniewa i cieszyłaś się, że wychodzisz za zamożnego człowieka... Teraz już za późno zabawiać się w elokwencję...

– Za późno... więc tak już być musi! – powiedziała Olga machnąwszy zdecydowanie ręką. – Byle gorzej nie było, tak to jeszcze można jakoś żyć... Żegnaj! Czas na mnie...

Przyciągnąłem Olę do siebie i jąłem obsypywać jej twarz pocałunkami jakby usiłując wynagrodzić sobie stracone trzy dni. Tuliła się do mnie jak zmarznięte jagniątko, ogrzewała mi twarz swoim gorącym oddechem... Zaległa cisza...

– Mąż zabił swoją żonę! – wrzasnęła moja papuga...

Olga drgnęła, wyzwoliła się z moich objęć i spojrzała na mnie pytająco.

– To papuga, skarbie – powiedziałem. – Uspokój się...

– Mąż zabił swoją żonę! – powtórzył Iwan Diemianycz.

Ola wstała, w milczeniu włożyła kapelusz i podała mi rękę... Na jej twarzy malował się przestach...

– A co będzie, jak on się dowie? – zapytała patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami. – On mnie chyba zabije!

– Daj spokój... – roześmiałem się. – Jak ja bym wyglądał, gdybym do tego dopuścił? Wątpliwe, czy potrafiłby się zdobyć na tak niezwykły wyczyn jak zabójstwo... Odchodzisz? No to żegnaj, dziecko moje... Będę czekał... Jutro będę w lesie koło domku, gdzie mieszkałaś... Tam się spotkamy...

Odprowdziwszy Olę i wracając do gabinetu, natknąłem się na Polikarpa. Stał pośrodku pokoju, surowo patrzył na mnie i pogardliwie kiwał głową.

– Żeby mi tego więcej nie było, Sergiuszu Pietrowiczu! – rzekł tonem surowego rodzica. – Ja sobie tego nie życzę...

– Czegóż to?

– Właśnie tego... Myśli pan, że nie widziałem? Wszystko widziałem... Nie ma co tu amorów urządzać! Do tego są inne miejsca...

Byłem w wybornym nastroju, toteż szpiclowanie i mentorski ton Polikarpa nie rozgniewały mnie. Roześmiałem się i kazałem mu iść do kuchni.

Nie zdążyłem jeszcze ochłonąć po odwiedzinach Olgi, kiedy zjawił się nowy gość. Do mego domu podjechała z łoskotem karetka i Polikarp spluwając na prawo i lewo i złorzecząc po cichu, zameldował mi o przyjeździe „tego... jak mu tam, żeby go...” to znaczy hrabiego, którego serdecznie nienawidziłem. Hrabia wszedł, spojrzał na mnie płacząco i pokiwał głową...

– Odwracasz się... Nie chcesz rozmawiać...

– Wcale się nie odwracam – powiedziałem.

– Tak cię lubiłem, Sierioża, a ty... z powodu jakiejś bzdury! Za co mnie tak obrażasz? Za co?

Hrabia usiadł, westchnął i pokiwał głową.

– No, już dość tego, przestań błaznować! – powiedziałem. – Już w porządku!

Wielki miałem wpływ na tego słabego, wątlęgo człowieczka, tak wielki, jak wielka była moja dlań pogarda... Mój pogardliwy ton nie dotknął go, wręcz przeciwnie... Usłyszawszy moje „w porządku” zerwał się i jął mnie obejmować.

– Przywiozłem go ze sobą... Siedzi w karecie... chcesz, to cię przeprosi?

– A znasz jego przewinę?

– Nie...

– No to świetnie. Niechaj nie przeprosza, ale uprzedź go, że jeśli jeszcze raz zdarzy mu się coś podobnego, to nie będę się już hamować, lecz poczynię odpowiednie kroki.

– A więc zgoda, Sierioża? No to świetnie! Dawno już trzeba się było pogodzić, bo diabli wiedzą, dlaczegośmy się pokłócili! Jak jakie pensjonarki! Ach, à propos, kochany! Może masz... kieliszek wódki? Strasznie mi zaschło w gardle!

Kazałem mu podać wódkę. Hrabia wypił dwa kieliszki, rozparł się na kanapie i zaczął paplać.

– Spotkałem przed chwilą Oleńkę, bracie... Cud-kobieta! Muszę ci powiedzieć, że zaczynam nienawidzić Urbienina... To znaczy, że Oleńka zaczyna mi się podobać... Diabelnie ładna! Mam chętkę pozalecać się do niej.

– Nie wolno dobierać się do kobiet zamężnych! – westchnąłem.

– Co tam, temu staruchowi... temu Piotrowi Jegoryczowi to żaden grzech małżonkę zbałamucić... Gdzie mu do niej... Jest jak ten pies ogrodnika: sam nie żre i drugiemu nie daje... Przystępuję dzisiaj do szturmu i będę to robił systematycznie... Taki kąsek... hm... sam szyk, bracie! Paluszki lizać!

Hrabia wypił trzeci kieliszek i ciągnął dalej:

– Wiesz, kto mi się jeszcze podoba z tutejszych? Nadia, córka tego durnia Kalinina... Ciemna brunetka, blada, wiesz, oczy że hej... Też trzeba będzie wędkę zarzucić... Na Zielone Świątki urządzę wieczór... muzyczno-wokalno-literacki... specjalnie dla niej... A tutaj, bracie, jak się okazuje, niczego sobie, wesoło! I towarzystwo, i kobietki... i... Można się u ciebie przespać... chwileczkę?

– Można... A co z Przechockim w karecie?

– Poczeka sobie, niech go diabli... Sam go nie lubię, bracie... Hrabia oparł się na łokciu i powiedział tajemniczo:

– Trzymam go tylko z konieczności... z musu... Niech go diabli wezmą!

Łokieć hrabiego osunął się i głowa opadła mu na poduszkę. W chwilę potem rozległo się chrapanie.

Wieczorem, po odjeździe hrabiego, miałem jeszcze jednego gościa: doktora Pawła Iwanowicza. Przyjechał powiadomić mnie o chorobie Nadieždy Nikołajewny oraz o tym, że... ostatecznie dała mu kosza... Biedak był smutny i przypominał zmokłą kurę.

Minął poetyczny maj...

Przekwitły bzy, tulipany, a wraz z nimi sądzone było przekwitnąć także uniesieniom miłosnym, które, mimo iż występne i bolesne, czasem dostarczają nam słodkich, niezapomnianych chwil. A bywają chwile, za które można by oddać całe miesiące i lata!

Pewnego lipcowego wieczoru, gdy słońce już zaszło, lecz szeroki jego ślad – purpurowo-złocista smuga – barwił daleki zachód i zapowiadał nazajutrz cichy i jasny dzień, podjechałem na Zorce do oficyny, gdzie mieszkał Urbienin. Tego dnia miał się odbyć u hrabiego wieczór „muzyczny”. Goście zaczęli się już zjeżdżać, ale gospodarza nie było w domu: pojechał na spacer i miał niebawem wrócić.

Po chwili, trzymając konia za uzdę, stałem przed gankiem i rozmawiałem z córeczką Urbienina, Saszą. Sam Urbienin siedział na stopniu i podparłszy pięścią głowę, wpatrywał się w dal widniejącą za wrotami. Był posepny i niechętnie odpowiadał na moje zapytania. Dałem mu spokój i zająłem się Saszą.

– Gdzie twoja nowa mama? – zapytałem ją.

– Pojechała z hłabią na spacel. Codziennie z nim jeździ.

– Codziennie – wymamrotał z westchnieniem Urbienin.

Westchnienie to dawało wiele do myślenia. Można było w nim wyczuć to samo, co i mnie nie dawało spokoju, co usiłowałam sam sobie wytłumaczyć, ale wytłumaczyć nie mogłam i gubiłam się w domysłach.

Olga jeździła codziennie na przejażdżki konne w towarzystwie hrabiego. Olga nie mogła zakochać się w nim, toteż zazdrość Urbienina była bezpodstawna. Zazdrosnym należało być nie o hrabiego, lecz o coś innego, czego tak długo nie mogłam zrozumieć. To „coś innego” odgradzało mnie od Olgi niczym mur. Kochała mnie w dalszym ciągu, ale po odwiedzinach, opisanych już wyżej, była u mnie tylko dwa razy, a spotykając się ze mną poza moim mieszkaniem dziwnie się rumieniła i wymigiwała się od odpowiedzi na pytania. Na moje pieśszoty reagowała gorąco, lecz w sposób tak gwałtowny i lękliwy, że te nasze krótkie spotkania zostawiały w mej pamięci jedynie pełne udręki zdziwienie. Sumienie miała nieczyste – było to jasne, ale dlaczego – tego nie można było wyczytać ze skruszonego wyrazu jej twarzy.

– Mam nadzieję, że twoja nowa mama jest zdrowa? – zapytałem Saszę.

– Zdłowa. Tylko w nocy bolały ją zęby. Płakała.

– Płakała? – Urbienin odwrócił się twarzą do Saszy. – Widziałaś? Przyśniło ci się chyba, dziecinko.

Olgi nie bolały zęby. Jeśli płakała, to nie z bólu, ale z jakiegoś innego powodu... Miałam ochotę jeszcze porozmawiać z Saszą, ale nie udało mi się to, gdyż rozległ się tętent kopyt i niebawem ujrzeliśmy jeźdźca niezgrabnie podskakującego na siodle i pełną gracji amazonkę. By ukryć przed Olgą swoją radość, wziąłem Saszę na rękę i wicherząc palcami jej płowłosą czuprynkę, pocałowałem ją w główkę.

– Ładniutka z ciebie dziewczynka, Sasza! – powiedziałem. – Jakie śliczne masz loczki!

Olga spojrzała na mnie przelotnie, w milczeniu odpowiedziała na mój ukłon i, wsparta na ramieniu hrabiego, weszła do oficyny. Urbienin wstał i podążył za nią.

Pięć minut później z oficyny wyszedł hrabia. Był wesoły jak nigdy. Nawet jego twarz wydawała się świeższa.

– Powinszuj mi! – powiedział ujmując mnie pod rękę i chichocząc.

– Czego?

– Zwycięstwa... Jeszcze jeden taki spacer i, przysięgam na prochy moich szlachejnych przodków, oskubię ten kwiatusek!

– Aleś jeszcze nie oskubał?

– Jeszcze nie?... Odrobinę! Przez dziesięć minut „twoja dłoń w mojej dłoni” – zaśpiewał hrabia – i... ani razu nie wyrywała ręki... Zaczęłam! Ale poczekajmy do jutra, a teraz chodźmy. Czekają na mnie. Ach, byłbym zapomniał! Muszę z tobą porozmawiać, mój drogi, o pewnej sprawie. Powiedz mi, mój miły, czy to prawda, że ty... tego... masz jakieś złośliwe zamiary względem Nadi Kalininej?

– Bo co?

– Jeśli to prawda, to nie stanę ci na drodze. Podstawianie komuś nogi – to wbrew moim zasadom. Ale, jeżeli nie masz żadnych zamiarów, to oczywiście...

– Nie mam.

– Merci, moja duszo!

Hrabiemu marzyło się, by ubić jednym strzałem dwa zające, był absolutnie przekonany, że mu się to uda. I owego wieczoru przyglądałem się polowaniu na te zające. Polowanie było głupie i śmieszne, jak dobra karykatura. Patrząc można było tylko się śmiać albo oburzać na trywialność hrabiego; ale nikt nie mógł przypuszczać, że ta sztubacka zabawa skończy się moralnym upadkiem dla jednych, śmiercią dla drugich i zbrodnią dla trzecich!

Hrabia zabił nie dwa, lecz więcej zajęcy! Zabił je, ale skóra i mięso nie przypadły mu w udziale.

Widziałem, jak ukradkiem ścisnął rękę Olgi, która za każdym razem witała go przyjaznym uśmiechem, a odprowadzała pogardliwym grymasem. Raz nawet, pragnąc pokazać, że między nim a mną nie ma żadnych tajemnic, pocałował ją w rękę przy mnie.

– Co za bałwan! – szepnęła mi do ucha wycierając dłoń.

– Posłuchaj, Olgo! – rzekłem do niej po odejściu hrabiego. – Wydaje mi się, że masz mi coś do powiedzenia? Czy tak?

Spojrzałem jej badawczo w oczy. Wzdrygnęła się i z przestachem zamrugła oczami jak kot przyłapanym na kradzieży.

– Olgo – powiedziałem surowo – musisz mi powiedzieć! Żądam tego!

– Tak, mam ci coś do powiedzenia – wyszeptała ściskając mi rękę. – Kocham cię, żyć bez ciebie nie mogę, ale... nie przyjeżdżaj do mnie, mój miły! Nie kochaj mnie więcej i mów do mnie „pani”. Ja już nie mogę więcej... Nie wolno... I nie pokazuj nawet po sobie, że mnie kochasz.

– Ależ dlaczego?

– Tak chcę. Nie musisz wiedzieć dlaczego, nie powiem ci. Ktoś idzie... Odejdź ode mnie.

Nie odszedłem i sama musiała przerwać naszą rozmowę. Ujawszy pod rękę przechodzącego męża, z obłudnym uśmiechem kiwnęła mi głową i odeszła.

Drugi zając hrabiego – Nadia Kalinina – dostąpiła tego wieczoru szczególnego zaszczytu z jego strony. Kręcił się koło niej cały wieczór, opowiadał jej anegdoty, dowcipkował, kokietował ją... a ona, blada, umęczona, wykrzywiła usta w wymuszonym uśmiechu. Sędzia pokoju Kalinin cały czas ich obserwował, gładząc bródkę i znacząco pokasłując. Umizgi hrabiego były wodą na jego młyn. Jego zięć hrabia! Cóż przyjemniejszego dla sędziego pokoju Kalinina? Gdy tylko spostrzegł, że hrabia zaleca się do jego córki, urósł o cały arszyn we własnych oczach. A jakim majestatycznym spojrzeniem mnie mierzył, jak zjadliwie pokasływał rozmawiając ze mną! „Certowałeś się, bratku, odszedłeś – a my – kichamy na to! Teraz mamy hrabiego!” Nazajutrz wieczorem byłem znowu w hrabiowskim dworze. Tym razem rozmawiałem nie z Saszą, ale z jej bratem-gimnazjalistą. Chłopiec zaprowadził mnie do ogrodu i wyłożył mi wszystko, co mu leżało na duszy. Wynurzenia te sprowokowało moje pytanie, jak mu się żyje z „nową mamą”.

– To pana dobra znajoma – odparł nerwowo zapinając swój mundurek – pan jej powtórzy, ale ja się nie boję... Może pan jej mówić, co pan chce! Ona jest zła, podła!

I opowiedział mi, jak Olga odebrała mu pokój, przepędziła starą niańkę, która służyła u Urbienina dziesięć lat, jak wiecznie krzyczy i się złości.

– Wczoraj pan pochwalił Saszę za jej włosy... Ma przecież ładne włosy, nie? Prawdziwy len! A ona dzisiaj rano ostrzygła ją!

„To zazdrość” – skomentowałem w duchu to wtargnięcie Olgi do obcej jej dziedziny fryzjerskiej...

– Można pomyśleć, że była zazdrosna, bo pan pochwalił nie jej włosy, ale Saszy! – potwierdził chłopiec moją myśl. – Ona i tatusia zamęczyła. Tatusz strasznie dużo na nią wydaje, w pracy się zaniedbuje... i znowu zaczął pić! Znowu! Ona jest głupia... Cały dzień płacze, że musi żyć w nędzy, w takiej małej oficynie. A czy to tatusia wina, że ma tak mało pieniędzy? – Chłopiec naopowiadał mi dużo smutnych rzeczy. Widział to, czego nie widział, czy też nie chciał widzieć jego zaślepiony ojciec. Biedakowi znieważono ojca, znieważono siostrę, starą niańkę. Zabrano mu mały kącik, gdzie przywykł ustawiać swoje książki i karmić złowione przez siebie szczygiełki. Wszystkich skrzywdzono, ze wszystkiego zadrwiła sobie wszechwładna macocha! Ale biednemu chłopcu nawet się nie śniła straszna zniewaga, którą wyrządzono jego rodzinie, i której świadkiem byłem tegoż samego wieczoru, po rozmowie z nim. Wszystko bladło wobec tej zniewagi, i ostrzyżone włosy Saszy w porównaniu z nią były zwykłą błahostką.

Siedziałem późnym wieczorem u hrabiego. Piliśmy jak zwykle. Hrabia był zupełnie pijany, a ja tylko z lekka.

– Dzisiaj pozwolono mi już niby niechcący objąć za kibić – mamrotał. – A więc jutro posuniemy się jeszcze dalej.

– No, a Nadia? Co z Nadią?

– Jesteśmy na dobrej drodze! Z nią to dopiero początek. Przeżywamy na razie okres porozumiewania się oczami. Lubię, bracie, czytać w jej czarnych, smutnych oczach. W nich jest napisane coś takiego, czego słowami niepodobna wyrazić, a można zrozumieć tylko sercem. Napijemy się?

– A więc podobasz się jej, jeśli starcza jej cierpliwości rozmawiać z tobą całymi godzinami. Tatusiowi też się podobasz.

– Tatusiowi? Masz na myśli tego bałwana? Ha-ha! Stary dureń posądza mnie o uczciwe zamiary!

Hrabia rozkaszał się i wypił.

– Myśli, że się ożenię! Nie mówię już o tym, że nie wolno mi się żenić, ale tak z ręką na sercu uważam, że uczciwiej jest uwieść dziewczynę, niżli się z nią żenić... Wieczne życie z pijanym, kaszłym półstarcem – brrr! Żona moja uszłaby albo uciekła na drugi dzień... A co to za hałas?

Zerwaliśmy się z hrabią... Trzasnęło jednocześnie kilkoro drzwi i do naszego pokoju wbiegła Olga. Była blada jak śnieg i drżała jak struna, w którą mocno uderzono. Włosy miała rozpuszczone, źrenice rozszerzone. Z trudem oddychała i miętosiła na piersiach fałdy swego peniuaru.

– Co ci jest, Olgo? – zapytałem chwytając jej rękę i blednąc.

Hrabiego powinno było zdziwić to „ci”, które mimowolnie mi się wyrwało, ale nie dosłyszał go. Cały zamieniony w wielki znak zapytania, z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczyma patrzył na Olgę jak na widmo.

– Co się stało? – powtórzyłem.

– Bije mnie! – wyrzekła Olga i szlochając upadła na fotel. – Bije!

– Kto?

– Mąż! Nie mogę dłużej z nim żyć! Odeszłam!

– To oburzające! – hrabia uderzył pięścią w stół. – On nie ma prawa! To tyrania... to... to diabli wiedzą co to takiego! Bić żonę? Bić? Za cóż on panią?...

– Za nic – powiedziała Olga ocierając łzy. – Wyjmowałam z kieszeni chusteczkę do nosa, a z kieszeni wypadł list, co mi go pan wczoraj przysłał... Zerwał się, przeczytał, i... zaczął mnie bić... Schwycił mnie za rękę, ścisnął – o, proszę popatrzeć, jeszcze teraz mam czerwone plamy, i zażądał wyjaśnień... Zamiast mu wyjaśniać, przybiegłam tutaj... Niech

mnie pan przynajmniej obroni! On nie ma prawa tak brutalnie mnie traktować! Nie jestem kucharką! Jestem szlachcianką!

Hrabia chodził z kąta w kąt i plótł bełkotliwie jakieś androny, które w przekładzie na trzeźwą mowę miały znaczyć: „Oto sytuacja kobiet w Rosji.”

– To barbarzyństwo! To Nowa Zelandia! Ten typ chyba sobie myśli, że na jego pogrzebie zostanie uśmiercona jego żona? Toż dzikusy, wybierając się na tamten świat, zabierają z sobą także swoje żony!...

Ja zaś nie mogłem przyjść do siebie... Nie wiedziałem, jak rozumieć niespodziewane odwiedziny Olgi w peniuarze, co o tym sądzić, jak się zachować? Jeśli ją zbito, uwłaczono jej godności, to czemu nie pobiegła do ojca, do ekonomki... wreszcie, do mnie, który byłem jej bądź co bądź bliski? Czy zresztą znieważono ją rzeczywiście? Serce mówiło mi, że prostak Urbienin jest niewinny; przeczuwając prawdę ścisnęło się z bólu, który w tej chwili powinien był odczuwać oszołomiony mąż. Nie zadając żadnych pytań i nie wiedząc, od czego zacząć, jałem uspokajać Olgę i poczęstowałem ją winem.

– Jakże ja się pomyliłam! Jak się pomyliłam! – westchnęła przez łyżę podnosząc kieliszek do ust. – Cóż za jagniątko udawał, kiedy umizgał się do mnie! Myślałam, że to anioł, nie człowiek!

– A pani by chciała, żeby zachwycił go ten list, który wypadł pani z kieszeni? – zapytałem. – Żeby się śmiał do rozpuku?

– Nie mówmy o tym! – przerwał mi hrabia. – Niezależnie od wszystkiego jego postępek jest nikczemny! Tak się kobiet nie traktuje! Wyzwę go na pojedynek! Proszę mi wierzyć, Olgo Nikołajewno, nie ujdzie mu to płazem!

Hrabia zaperzył się niczym młody indyk, choć nikt go nie upoważniał do stawiania między żoną a mężem. Milczałem i nie przeczyłem mu, wiedziałem bowiem, że to wygrażanie mężowi ograniczy się li tylko do pustej paplaniny w czterech ścianach i że o pojedyнку nazajutrz nie będzie już pamiętać. Ale dlaczego milczała Olga?... Nie chciałem dopuścić myśli, że chętnie przystałaby na usługi, które proponował jej hrabia. Nie mogłem uwierzyć, że ta głupia ładna kotka miała w sobie tak mało godności, iż gotowa była się zgodzić, by pijany hrabia został sędzią męża i żony...

– Z błotem go zmieszam! – zapiszczał świeżo upieczony rycerz. – Spoliczkuję go! I to jutro, nie zwlekając!

Ona zaś nie zatkała ust temu łajdakowi, znieważającemu po pijanemu człowieka, którego wina polegała jedynie na tym, że oszukał się i został oszukany! Urbienin boleśnie ścisnął jej rękę i to wystarczyło, by wywołać awanturę w hrabiowskim domu, a teraz na jej oczach pijany, moralnie niedojrzały chłystek szargał uczciwe nazwisko i wylewał brudne pomyje na człowieka, którego w tym samym czasie dręczył smutek i niepewność, który czuł się oszukany, a ona nawet okiem nie mrugnęła!

Kiedy hrabia dawał upust swemu oburzeniu, a Olga ocierała łzy, służący podał pieczone kuropatwy. Hrabia nałożył gościowi połówkę... Pokręciła przecząco głową, a potem jakby machinalnie wzięła widelec i nóż i zaczęła jeść. Po kuropatwie przyszła kolej na kieliszek wina i wkrótce po łzach nie zostało nawet śladu oprócz zaczerwienienia wokół oczu i rzadkich głębokich westchnień.

Niebawem usłyszeliśmy śmiech... Olga śmiała się jak pocieszone dziecko, które zapomniało o wyrządzonej mu krzywdzie. Hrabia, patrząc na nią, również się śmiał.

– Wiecie, co wymyśliłem? – rzekł siadając koło niej. – Zamierzam urządzić u siebie przedstawienie amatorskie. Wystawimy sztukę z wybornymi rolami kobiecymi. Hę? Co o tym myślicie?

Zaczęli mówić o przedstawieniu amatorskim. Jakże ta niedorzeczna rozmowa nie licowała z niedawnym przerażeniem, jakie malowało się na twarzy Olgi, kiedy przybiegła godzinę temu, blada, cała we łzach, z rozpuszczonymi włosami! Jak tanie było to przerażenie, te łzy!

A czas płynął. Wybiła dwunasta. Przyzwoite kobiety o tej porze kładą się spać. Olga powinna była już sobie pójść. Ale zegar wybił wpół do pierwszej, pierwszą, a ona wciąż siedziała i rozmawiała z hrabią.

– Czas spać – powiedziałem spojrzawszy na zegarek. – Idę do domu... Pozwoli pani, że ją odprowadzę, Olgo Nikołajewno?

Spojrzała na mnie, na hrabiego.

– Dokąd? – wyszeptwała. – Do niego nie mogę pójść.

– Tak, tak, oczywiście, do niego nie może pani pójść – powiedział hrabia. – Któż zaręczy, że znowu pani nie uderzy? Nie, nie!

Przeszedłem się po pokoju. Zaległa cisza. Chodziłem z kąta w kąt, a mój przyjaciel i moja kochanka wodzili za mną wzrokiem. Wydawało mi się, że rozumiałem tę ciszę i te spojrzenia. Było w nich coś wyczekującego, niecierpliwego. Odłożyłem kapelusz i usiadłem na kanapie.

– Ta-ak – wymamrotał hrabia niecierpliwie pocierając ręce. – Ta-ak... Takie buty...

Wybiło pół do drugiej. Hrabia rzucił szybko okiem na zegarek, naburmuszył się i jął przemierzać pokój. Po spojrzeniach, jakie w moją stronę ciskał, widać było, że chciał mi coś powiedzieć, coś ważnego, ale drażliwego, nieprzyjemnego.

– Posłuchaj, Sierioża! – zdecydował się wreszcie, siadając koło mnie i szepcząc mi do ucha: – Nie miej do mnie żalu, kochaneczku... Powinieneś zrozumieć moją sytuację, a wtedy moja prośba nie wyda ci się dziwna i zuchwała.

– Mów, byle szybciej! Nie ma co owijać w bawełnę.

– Widzisz, rzecz w tym, że... tego... Idź sobie, kochaneczku! Przeszkadzasz nam... Ona zostanie u mnie... Wybacz mi, że cię przepędzam, ale... zrozum moją niecierpliwość.

– W porządku!

Przyjaciel mój był odrażający. Gdyby nie uczucie obrzydzenia, rozgniółbym go jak robaka, gdy trzęsąc się jak w febrze, prosił mnie, bym pozostawił go z Urbienią. Poetyczną „dziewczynę w czerwieni”, marzącą o widowiskowej śmierci, wychowaną w lasach i nad gniewnym jeziorem, chciał sobie wziąć ten mizerny anachoreta, przesycony do cna spirytualiami i w dodatku chory! Nie, ona musi trzymać się jak najdalej od niego!

Podszedłem do niej.

– No to sobie pójdę – powiedziałem.

Kiwnęła głową.

– Czy mam odejść? Tak? – zapytałem, usiłując wyczytać prawdę z jej ładniutkiej, rozpalonej twarzyczki. – Tak?

Ledwie dostrzegalnym ruchem swych długich czarnych rzęs odpowiedziała: „tak”.

– Przemyślałaś to?

Odwróciła się ode mnie jak od dokuczliwego wiatru. Nie miała ochoty mówić. Zresztą o czym tu było mówić? Nie sposób dłuższej sprawy skwitować jednym słowem, a na długą rozmowę nie było ani miejsca, ani czasu.

Wziąłem kapelusz i wyszedłem bez pożegnania. Później Olga opowiedziała mi, że od razu po moim odejściu, jak tylko odgłos moich kroków zmieszał się z szumem wiatru i ogrodu, pijany hrabia ścisnął już ją w swoich objęciach. Ona zaś, zamknawszy oczy zaciskając sobie usta i nozdrza, ledwie stała na nogach z obrzydzenia. W jakimś momencie nawet omal nie wyrwała się z jego objęć, by pobiec do jeziora. Były chwile, kiedy rwała sobie włosy z głowy, płakała. Niełatwo jest się sprzedać.

Wychodząc z domu, kierując się do stajni, gdzie stała moja Zorka, musiałem przejść koło domu rządcy. Zajrzałem przez okno. Przy mętym świetle dużego płomienia kopcającej lampy siedział przy stole Piotr Jegorycz. Nie widziałem jego twarzy. Zasłaniał ją rękami. Z całej jego niezgrabnej, ciężkiej sylwetki biło tyle smutku, tęsknoty i rozpacz, że nie trzeba było widzieć twarzy, by zrozumieć stan jego ducha. Stały przed nim dwie butelki. Jedna prawie pusta, druga dopiero co rozpoczęta. W obu była wódka. Nieborak szukał ukojenia nie w samym sobie, nie w ludziach, lecz w alkoholu.

Pięć minut później jechałem do domu. Ciemność była straszna. Jezioro burzyło się gniewnie i, zda się, złościło, że taki grzesznik jak ja, świadek przemieszania, śmie naruszyć jego surowy spokój. W ciemnościach nie było widać jeziora. Zdawało się, że to ryczał niewidzialny potwór, że ryczały same spowijające mnie mroki.

Zatrzymałem Zorkę, zamknąłem oczy i zamyśliłem się nad rykiem potwora.

– A gdybym tak teraz zawrócił i unicestwił ich?

Straszny gniew szalał w mej duszy... Cała ta resztką dobroci i uczciwości, jaka pozostała we mnie po długotrwałym, zmarnowanym życiu, wszystko, co ocalało przed zepsuciem, com troskliwie pielęgnował, z czego byłem dumny, zostało znieważone, oplute, obrzucone błotem!

Znałem niegdyś sprzedajne kobiety, kupowałem je, studiowałem, ale nie miały one niewinnego rumieńca i szczerych niebieskich oczu, które widziałem owego majowego poranka, gdym szedł brzegiem lasu na tieniewski jarmark... Sam zepsuty do szpiku kości, skłonny byłem wybaczać, tolerować wszystko, co zepsute, pobłażać słabościom... Żywiłem przekonanie, że nie można wymagać od brudu, by nie był brudem, że niepodobna oskarżać czerwońców, które zbiegiem okoliczności wpadają w błoto... Ale przedtem nie wiedziałem, że czerwońce mogą się w błocie rozpuścić i zmieszać z nim w jedną masę. A więc znaczy, że i złoto jest rozpuszczalne!

Silny podmuch wiatru zerwał mi kapelusz z głowy i uniósł w otaczające mnie ciemności. Zerwany kapelusz smagnął pysk Zorki. Przestraszyła się, stanęła dęba i pomknęła znajomą drogą.

Przyjechawszy do domu zwałem się na łóżko. Bogu ducha winnemu Polikarpowi, który chciał mnie rozebrać, nawymyślałem od diabłów.

– Sam diabeł – mruknął Polikarp odchodząc od łóżka.

– Coś ty powiedział? Coś ty powiedział? – zerwałem się.

– Ksiądz dwa razy kazania nie powtarza.

– Aaa... jeszcze śmiesz prawić mi impertynencje! – wybuchnąłem wylewając całą żółć na nieszczęsnego lokaja. – Precz! Żeby twoja noga mi tu więcej nie powstała, łajdaku jeden! Precz!

I nie czekając, aż wyjdzie z pokoju, zwałem się na łóżko i rozplakałem jak sztubak. Napięte nerwy nie wytrzymały. Bezsilna złość, znieważone uczucie, zazdrość – wszystko to musiało w ten czy inny sposób znaleźć upust.

– Mąż zabił swoją żonę! – wydzierła się moja papuga strosząc swe rzadkie piórka...

Pod wpływem tego wrzasku przemknęła mi myśl, że Urbienin mógłby zabić swoją żonę...

Zasypiając widziałem scenę zabójstwa. Koszmar był dławiący, męczący... Zdawało mi się, że ręce moje głąskały coś zimnego i że wystarczyło otworzyć oczy, bym ujrzał

trupa... Majaczyło mi się, że u wezgłowia stoi Urbienin i patrzy na mnie błagalnymi oczami...

Po koszmarnej nocy nastąpił spokój.

Zamknąłem się w domu i pozwalałem sobie wyjść czy wyjechać jedynie w sprawach służbowych. Spraw nabierało się mnóstwo, toteż o nudzeniu się nie mogło być mowy. Od rana do wieczora siedziałem przy biurku i gorliwie skrobałem piórem albo przesłuchiwałem osobników, którzy trafili w moje sędziowskie szpony. Do Karniejewa, do jego dworu nie ciągnęło mnie już więcej.

Na Oldze postawiłem krzyżyk. Baba z wozu – koniom lżej; a ona była właśnie tym, co spadło z mojego wozu i, jak sądziłem, bezpowrotnie. Nie myślałem o niej i myśleć nie chciałem.

„Głupie, rozpustne babsko!” – wymyślałem jej za każdym razem, kiedy podczas intensywnych zajęć pojawiała się w mej wyobraźni.

Z rzadka tylko, gdym kładł się spać, przypominałem sobie różne chwile naszej znajomości i krótkotrwałego współżycia z Olgą. Wspominałem Kamienną Mogiłę, domek w lesie, gdzie mieszkała wtedy „dziewczyna w czerwieni”, drogę do Tieniewa, spotkanie w pieczarze... i serce zaczynało mi mocniej bić... Gnębił mnie dojmujący ból... Ale wszystko to nie trwało długo. Pełne radości wspomnienia szybko ulatniały się pod naporem przykrych doznań. Jakaż poezja przeszłości mogła się oprzeć brudowi teraźniejszości? I teraz, skończywszy z Olgą, już zupełnie inaczej niż przedtem patrzyłem na tę „poezję”. Patrzyłem teraz na nią i zdawała mi się tylko złudzeniem optycznym, kłamstwem, faryzeuszostwem... i utraciła w moich oczach połowę swego uroku.

„Koniec! – myślałem sobie. – I chwała Bogu... Obrzydło mi to...”

Postanowiłem zerwać z hrabią wszelkie stosunki i postanowienie to niewiele kosztowało mnie wysiłku. Byłem teraz innym człowiekiem, niż trzy tygodnie temu, gdy po kłótni z powodu Przechockiego z trudem mogłem usiedzieć w domu. Nie było już przynęty...

Siedząc bez przerwy w domu zacząłem się nudzić i napisałem do doktora Pawła Iwanowicza list z prośbą, by przyjechał pogadać ze mną. Odpowiedzi na list nie wiedzieć czemu nie otrzymałem, toteż wysłałem następny. Na ten również nie doczekałem się odpowiedzi... Widocznie miły „szparka” udawał, że się gniewa... Biedaczysko, odkąd dostał kosza od Nadi Kalininej, poczytywał mnie za przyczynę swego nieszczęścia. Miał prawo się gniewać, i jeśli wcześniej nigdy się nie gniewał, to dlatego, że nie potrafił.

„Kiedyż to zdążył się tego nauczyć?” – zastanawiałem się, nie otrzymując odpowiedzi na swe listy.

Po trzech tygodniach mego uporczywego siedzenia w domu odwiedził mnie hrabia. Zbeształ mnie za to, że nie zaglądam do niego i nie odpowiadam na jego listy, rozparł się na kanapie, i zanim zachrapał, jał snuć dywagacje na ulubiony temat – o kobietach...

– Rozumiem – rzekł mrużąc oczy w zadumie i kładąc rękę pod głowę – jesteś delikatny i drażliwy. Nie odwiedzasz mnie, bo nie chcesz przerwać naszego duetu... przeszkadzać... Gość nie w porę gorszy od Tatarzyna, zaś gość w czasie miodowego miesiąca – gorszy od diabła rogatego. Rozumiem cię. Ale, przyjacielu mój, zapominasz, żeś przyjaciel, a nie gość, że jesteś kochany, poważany... Twoja obecność mogłaby tylko pogłębić harmonię... A już co do harmonii, bracie ty mój! Taka harmonia, że nie podobna tego opisać!

Hrabia machnął wyciągniętą spod głowy ręką.

– Sam nie mogę się połapać, czy dobrze mi z nią, czy nie. I diabeł się nie połapie! Bywają chwile, że pół życia oddałbym za „bis”, ale bywają też takie, że chodzę, człowieku, z kąta w kąt jak zamroczony i gotowy się rozplakać...

– A to dlaczego?

– Nie rozumiem, bracie, tej całej Olgi. To jakaś febra, a nie kobieta... to gorączka, to dreszcze, i tak z pięć razy dziennie. To jej wesoło, to nudno, łyzy przełyka, modli się... to kocha mnie, to znowu nie... Bywają chwile, kiedy pieści mnie, jak nigdy jeszcze żadna kobieta nie pieściła. Ale bywa i tak: obudzisz się, człowieku, otworzysz oczy i widzisz zwróconą ku sobie twarz... a w niej coś takiego strasznego, dzikiego... Wykrzywiona, pełna złości, obrzydzenia... Jak ujrzyś coś takiego, cały urok pryska... A często tak na mnie patrzy...

– Z obrzydzeniem?

– Jeszcze jak!... Zachodzę w głowę... Związała się ze mną, jak twierdzi, jedynie z miłości, a tymczasem nie ma nocy, żebym jej takiej nie widział. Jak to zrozumieć? Zaczyna mi się wydawać, czemu oczywiście nie wierzę, że mnie nie znosi, a oddała mi się tylko dla tych łąszków, które jej teraz kupuję. Strasznie lubi fatałaszki! W nowej sukni potrafi wystawać przed lustrem od rana do wieczora i z powodu źle przyszytej falbanki będzie płakać całą noc... Próżność niesłychana! Najbardziej podoba się jej we mnie to, że jestem hrabią. Gdybym nie był hrabią, nie pokochałaby mnie. Żaden obiad ani kolacja nie odbywa się bez tego, żeby nie wyrzucała mi, że nie otaczam się arystokratycznym towarzystwem. Chciałaby, widzicie państwo, królować w tym towarzystwie... Dziwna osoba!

Hrabia utkwiał swe mętne spojrzenie w suficie i zamyślił się. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu zauważyłem, że wbrew zwyczajowi jest tym razem trzeźwy. Zdziwiło mnie to, a nawet wzruszyło.

– Normalny jesteś dzisiaj – powiedziałem. – Nie jesteś pijany i o wódkę się nie upominasz. Co to ma znaczyć?

– Po prostu! Nie było kiedy pić, cały czas rozmyślałem... Muszę ci powiedzieć, Sierioża, zakochałem się nie na żarty. Strasznie mi się podoba. Co tu się zresztą dziwić... Kobieta z niej wyjątkowa, niepospolita, nie mówiąc już o powierzchowności. Mózdzek ptasi, ale ileż uczucia, gracji, świeżości!... Nie ma żadnego porównania z tymi moimi zwykłymi Ameliami, Angelikami, Gruszami, z którymi się dotąd kochałem. Jest jakby z innego świata, którego nie znałem.

– Filozof się znalazł! – roześmiałem się.

– Zadurzyłem się, pokochałem chyba! Ale teraz widzę, że niepotrzebnie usiłuję podnieść zero do kwadratu. To była maska, która wzbudziła we mnie fałszywy alarm. Rumieniec niewinności okazuje się minią ołowianą, miłosny pocałunek – prośbą o nową suknię... Wziąłem ją do domu jak żonę, a ona zachowuje się jak kochanka, której trzeba płacić. Ale teraz basta! Uśmierzam trwogę duszy i zacznę patrzeć na Olgę jak na kochankę... Basta!

– No dobrze, a co mąż?

– Mąż? Hm... A ty jak myślisz?

– Ja myślę, że nieszczęśliwszego człowieka trudno sobie teraz wyobrazić.

– Tak myślisz? Niepotrzebnie... To taki szubrawiec, taki szelma, że nic a nic mi go nie żal. Szelma nigdy nie może być nieszczęśliwy, zawsze sobie poradzi...

– Dlaczego tak na niego wymyślasz?

– Bo to szachraj. Wiesz, jak go szanowałem, ufałem mu jak przyjacielowi... Ja, a nawet ty – w ogóle wszyscy uważali go za uczciwego człowieka, porządnego, niezdolnego do oszustwa! A tymczasem okradał mnie, ograbiał! Wykorzystując swoje stanowisko rządcy rozporządzał moim majątkiem, jak mu się żywnie podobało. Nie brał tylko tego, czego nie można było ruszyć z miejsca...

Znając Urbienina jako człowieka na wskroś uczciwego i bezinteresownego, na te słowa zerwałem się z miejsca jak uządlony i podszedłem do hrabiego.

– Przyłapałeś go na kradzieży? – zapytałem.

– Nie, ale wiem o jego złodziejskich sprawkach z miarodajnych źródeł.

– Z jakich to źródeł, jeśli wolno wiedzieć?

– Nie denerwuj się, nie oskarżałbym go bezpodstawnie. Olga wszystko mi o nim powiedziała. Jeszcze wtedy, kiedy nie była jego żoną, na własne oczy widziała, jak wysyłał do miasta całe fury kur i gęsi. Nieraz widziała, jak moje gęsi i kury wędrowały w charakterze podarunku dla jakichś tam dobroczyńców, u których był na stacji jego syn-

gimnazjalista. Nie dość tego, widziała, jak wysyłał tam mąkę, proso, słoninę. Powiedzmy, że to drobiazgi, ale czyż te drobiazgi należały do niego? Tu nie chodzi o wartość, lecz o zasadę. Złamano zasadę! Widziała w jego szafie całą paczkę pieniędzy. Na jej pytanie, czyje to pieniądze i skąd je ma, prosił ją, by się nie wygadała, że je posiada. Miły mój! Wiesz dobrze, że jest goły jak święty turecki! Pensja ledwie mu starcza na utrzymanie... Wy tłumacz mi, skąd wzięły się u niego te pieniądze?

– I ty, durniu jeden, dajesz wiarę słowom tej małej żmii? – zawołałem oburzony do głębi duszy. – Nie dość, że uciekła od niego, zhańbiła go na cały powiat, musi jeszcze go zniesławiać? Takie drobne, kruche ciało, a ileż w nim kryje się ohydy!... Kury, gęsi, proso... Gospodarzu, gospodarzu! Twój umysł ekonomiczno-polityczny, twoja ignorancja w sprawach rolnictwa poczuły się dotknięte tym, że na święta wysyłał w podarunku drób, który i tak zżarłyby lisy i tchórze, ale czyś ty choć raz sprawdzał te obszerne sprawozdania, które przedstawia ci Urbienin? Nie! Zresztą co tu z tobą gadać? Głupi jesteś i nikczemny. Rad byś zniszczyć męża swojej kochanki, ale nie wiesz jak!

– Mój związek z Olgą nie ma nic do tego. Mąż czy nie mąż, skoro ukradł, muszę go otwarcie nazwać złodziejem. Ale odłóżmy szachrajstwo na bok. Powiedz mi, czy to uczciwie otrzymywać pensję i całymi dniami wylegiwać się po pijanemu? Jest codziennie pijany! Nie ma dnia, żebym nie widział, jak się zatacza! To ohydne i nikczemne! Porządni ludzie tak nie postępują.

– Dlatego właśnie pije, że jest porządny – powiedziałem.

– Dziwna ta twoja mania ujmowania się za podobnymi osobnikami. Ale postanowiłem być bezwzględny. Odesłałem mu dzisiaj sprawozdanie i poprosiłem, by zrezygnował ze swej posady na rzecz kogoś innego. Cierpliwość moja wyczerpała się.

Przekonywanie hrabiego, że jest niesprawiedliwy, niepraktyczny i głupi było bezcelowe. Wydawało mi się, że to nonsens stawać w obronie Urbienina wobec hrabiego.

Dziesięć dni później dowiedziałem się, że Urbienin z synem-gimnazjalistą i córką przeniósł się do miasta. Opowiadano mi, że jechał do miasta pijany, na wpół przytomny, i że parę razy spadł z wozu. Gimnazjalista i Sasza całą drogę płakali.

W jakiś czas po odjeździe Urbienina wbrew swej woli musiałem zawitać do dworu hrabiego. Do jednej z jego stajen włamali się złodzieje i ukradli kilka drogich siodła. Powiadomiono sędziego śledczego, to znaczy mnie, i *volens nolens* musiałem się tam udać.

Hrabiego zastałem pijanego i rozeźlonego. Chodził po wszystkich pokojach, szukał schronienia przed zgryzotą i nie znajdował go.

– Zadręczyła mnie na śmierć ta Olga! – powiedział machnąwszy ręką. – Rozwścieczyła się dzisiaj rano na mnie, zagroziła, że się utopi, wyszła z domu i, jak widzisz, jeszcze nie wróciła. Wiem, że się nie utopi, a jednak czuję się paskudnie. Wczoraj

cały dzień kaprysiła i tłukła naczynia, a potem objadła się czekoladkami. Co za natura niepojęta!

Pocieszyłem hrabiego, jak umiałem, i zasiadłem z nim do obiadu.

– Nie, trzeba skończyć z tą dziecinadą – mamrotał bez przerwy podczas obiadu. – Czas już, toż to śmieszne i niedorzeczne. W dodatku, przyznam się, zaczynam mieć dość tych jej nagłych zmian nastroju. Marzy mi się ktoś cichy, stały, skromny, ot, choćby Nadienka Kalinina, wiesz... Cudowna dziewczyna!

Po obiedzie, spacerując po ogrodzie, spotkałem niedoszłą „topielicę”. Zobaczywszy mnie, zaczerwieniła się po uszy i – dziwna kobieta – wybuchnęła szczęśliwym śmiechem. Wstyd na jej twarzy przeplatał się z radością, smutek ze szczęściem. Spojrzawszy na mnie z ukosa, podbiegła i bez słowa zawisła na mej szyi.

– Kocham cię – wyszeptała ściskając mnie za szyję. – Tak się stęskniłam za tobą, że gdybyś nie przyjechał, umarłabym.

Objąłem ją i w milczeniu zaprowadziłem od altanki. Dziesięć minut później, rozstając się z nią, wyjąłem z kieszeni ćwierć rubla i dałem jej. Zrobiła wielkie oczy.

– A to po co?

– To zapłata za dzisiejszą miłość.

Nie zrozumiała i w dalszym ciągu patrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– Widzisz, są kobiety – wyjaśniłem – które kochają za pieniądze. To kobiety sprzedajne. Trzeba im płacić. Weź! Jeśli bierzesz od innych, to dlaczegóż nie miałabyś wzdać ode mnie? Nie chcę nic za darmo!

Jakkolwiek byłem cyniczny, znieważając ją w ten sposób, Olga mnie nie rozumiała. Nie znała jeszcze życia i nie rozumiała, co to znaczy „sprzedajna” kobieta.

Był ładny sierpniowy dzień.

Słońce grzało, jak to w lecie, błękitne niebo łagodnie wabiło dałą, lecz w powietrzu unosiło się już przecucie jesieni. W zielonym listowiu pełnych zadumy lasów złociły się już umierające liście, a pociemniałe pola patrzyły tęsknie i ze smutkiem.

Przecucie nieuchronnej ponurej jesieni przenikało nas samych. Nietrudno było przewidzieć, że rozwiązanie było już bliskie. Musiał przecież kiedyś uderzyć piorun i lunąć deszcz, by odświeżyć duszną atmosferę! Przed burzą, gdy na niebie zbierają się ciemne, ołowiane chmury, bywa duszno, a w nas zagnieździła się już duchota moralna.

Jechałem lekkim kabrioletem, koło mnie siedziała Nadia, córka sędziego pokoju. Była blada jak śnieg, podbródek i wargi jej drżały, jakby się miała rozpłakać, a przecież całą drogę śmiała się i udawała, że jest jej niezwykle wesoło.

Przed nami i za nami jechały pojazdy wszelkich możliwych rodzajów, epok i wielkości. Po bokach cwałowali jeźdźcy i amazonki. Hrabia Karniejew, ubrany w zielony strój myśliwski, przypominający raczej kostium błazeński, wyginając się do przodu i na boki, niemiłosiernie podskakiwał na swym karym koniu. Patrząc na jego wygięte ciało i wyraz bólu, co chwila przemykający po jego zapijaczonej twarzy, można byłoby pomyśleć, że pierwszy raz w życiu jeździ konno. Na jego plecach chybotą się nowiutka dwururka, a u boku wisiała torba, w której szamotał się postrzelony kulik.

Ozdobą kawalkady była Oleńka Urbienina. Jadąca na karym koniu podarowanym jej przez hrabiego, ubrana w czarną amazonkę i kapelusz z białym piórkiem, nie podobna była już do tej dziewczyny w czerwieni, którą kilka miesięcy temu spotkaliśmy w lesie. Miała w sobie teraz coś majestatycznego, coś z wielkiej damy. Każde machnięcie szpicrutą, każdy uśmiech – wszystko to pretendowało do arystokratyzmu, do wielkości. W jej ruchach i uśmiechach było coś prowokującego, podniecającego. Wyniośle i kokieteryjnie unosiła głowę i z wysokości swego konia obejmowała pogardliwie spojrzeniem całe towarzystwo, jakby sobie nic nie robiła z głośnych uwag, które czyniły pod jej adresem nasze cnotliwe panie. Brawurowała i kokietowała swym zuchwalstwem, swoim związkiem z hrabią, jakby nie wiedziała, że już mu się sprzykrzyła i że czyha on tylko na odpowiednią chwilę, by się jej pozbyć.

– Hrabia chce mnie przepędzić! – rzekła do mnie z głośnym śmiechem, gdy kawalkada wyruszyła z dworu – a więc zdawała sobie doskonale sprawę ze swej sytuacji...

Ale co miał oznaczać ten głośny śmiech? Patrzyłem na nią i dziwiłem się: skąd tyle przebiegłości u tej mieszkanki lasów? Kiedy zdążyła nauczyć się kołysać z taką gracją na siodle, dumnie poruszać nozdrzami i popisywać się rozkazującymi gestami?

– Rozpustna kobieta – to tak jak prosię – rzekł do mnie doktor Paweł Iwanycz. – Posadź je przy stole, to ci wlezie z nogami na stół...

Ale było to zbyt proste wytłumaczenie. Nikt nie mógł być tak stronniczy wobec niej jak ja, i ja pierwszy gotów byłbym rzucić w nią kamieniem, ale mglisty głos prawdy podpowiadał mi, że nie była to ani przebiegłość, ani chełpliwość sytej, zadowolonej kobiety, lecz desperacja, przecucie bliskiego i nieuchronnego końca.

Wracaliśmy z polowania, na które wyruszyliśmy skoro świt. Nie udało się nam. Koło bagien, z którymi wiązaliśmy wiele nadziei, napotkaliśmy myśliwych, którzy powiedzieli nam, że zwierzyna jest spłoszona. Udało się im wyprawić na tamten świat zaledwie trzy kuliki i jedną młodą kaczkę – oto wszystko, co przypadło w udziale dziesięciu myśliwym. W końcu jedną z amazonek rozboleł ząb i musieliśmy zrezygnować z dalszych łowów. Wracaliśmy piękną drogą przez pole, na którym złociły się snopy świeżo zżętego zboża na tle posępnych lasów... Na horyzoncie białała hrabiowska

cerkiew i dwór. Na prawo od nich rozpościerała się lustrzana tafla jeziora, na lewo ciemniała Kamienna Mogiła...

– Co za straszna kobieta! – szeptała do mnie Nadia za każdym razem, kiedy Olga zrównywała się z naszym kabrioletem. – Straszna! Jest tyleż zła, co ładna... Dopiero co był pan jej družbą! Nie zdążyła jeszcze od tamtej chwili zedrzeć trzewików, a już parady w cudzych jedwabiach i popisuje się cudzymi brylantami. Trudno wręcz uwierzyć w tę dziwną i szybką metamorfozę... Skoro ma już takie instynkta, to powinna mieć odrobinę taktu i odczekać z rok, dwa...

– Spieszno jej żyć! Nie ma czasu na czekanie! – westchnąłem. – A wie pan, co się dzieje z jej mężem?

– Podobno pije...

– Tak... Tatuś był trzy dni temu w mieście i widział, jak on skądś tam jechał dorożką. Głowa, wie pan, przekrzywiona, bez czapki, twarz zabrudzona... Nędza ponoć straszna: jeść nie ma co, mieszkanie nie zapłacone. Biedna Sasza całymi dniami siedzi o głodzie. Tatuś opisał to wszystko hrabiemu... Ale zna pan przecież hrabiego! Porządny z niego człowiek, dobry, ale myślenie nie jest jego mocną stroną. „Poślę mu, mówi, sto rubli.” No, i posłał... Myślę, że większej zniewagi nie można było wyrządzić Urbieninowi, jak posyłając mu pieniądze... Obrazi go ta hrabiowska jałmużna i jeszcze bardziej będzie pić...

– Tak, hrabia jest głupcem – powiedziałem. – Mógłby posłać te pieniądze za moim pośrednictwem albo w moim imieniu.

– On nie ma prawa posyłać mu pieniędzy! Czy miałabym prawo pana karmić, gdybym się panu dobierała do gardła i gdyby pan mnie nienawidził?

– To prawda...

Umilkliśmy i zadumaliśmy się... Zawsze dręczyła mnie myśl o losie Urbienina; teraz zaś, kiedy na moich oczach harcowała kobieta, która go zniszczyła, myśl ta wzbudziła we mnie szereg innych przygnębiających refleksji... Co się z nim stanie, z nim i z jego dziećmi? Jak się ułoży jej los? W jakim bagnie moralnym ugrzęźnie na stare lata ten cherlawy, żaloszny hrabia?

Siedziała koło mnie jedyna porządna i godna szacunku istota... W całym naszym powiecie znałem tylko dwoje ludzi, którzy mieli pełne prawo odwrócić się ode mnie, górowali bowiem nade mną... Była to Nadieżda Kalinina i doktor Paweł Iwanowicz... Co ich czekało?

– Nadieżdo Nikołajewno! – powiedziałem do niej. – Sam tego nie chcąc wyrządziłem pani niemało zła i mniej niż ktokolwiek mam prawo liczyć na pani szczerłość. Ale zapewniam panią, że nikt nie rozumie pani tak jak ja. Pani smutek jest moim smutkiem, pani szczęście – moim szczęściem... Jeśli zadam pani teraz pytanie, to proszę

mnie nie podejrzewać o zwykłą ciekawość. Proszę mi powiedzieć, moja droga, dlaczego pani pozwala temu pigmejowi hrabiemu zbliżać się do siebie? Co by pani szkodziło przepędzić go i nie słuchać jego nikczemnych komplementów? Wszak jego zaloty nie przynoszą zaszczytu przyzwoitej kobiecie. Dlaczego pani daje tym plotkarkom powód, by wycierały sobie usta pani imieniem?

Nadia spojrzała na mnie swoimi jasnymi oczami i jakby wyczytawszy szczerłość z mej twarzy, uśmiechnęła się wesoło.

– A co one mówią? – zapytała.

– Mówią, że pani tatuś i pani zastawiacie sidła na hrabiego i że hrabia w końcu wystawi państwa oboje do wiatru.

– Nie znają hrabiego, dlatego tak mówią! – zaperzyła się Nadienka. – Bezwstydne plotkarki! Widzą w ludziach same tylko wady... Dobra nie są w stanie pojąć!

– A pani znalazła w nim coś dobrego?

– Owszem, znalazłam! Pan pierwszy powinien wiedzieć, że nie pozwoliłabym mu się zbliżyć do siebie, gdybym nie była przekonana o jego uczciwych zamiarach!

– A więc, doszło już do „uczciwych zamiarów”? – zdziwiłem się. – Szybko... A na co się pani zdadzą jego uczciwe zamiary?

– Chce pan wiedzieć? – zapytała i oczy jej zabłyśły. – Te plotkarki nie kłamią: chcę wyjść za niego za mąż! Niech pan nie robi zdziwionej miny i nie uśmiecha się. Powie pan, że to nieuczciwie wychodzić za mąż bez miłości i temu podobne, co już tysiące razy różni ludzie mówili, ale... co ja mam robić? Bardzo ciężko jest czuć się na tym świecie jak niepotrzebny mebel... Strasznie jest żyć bez celu... Kiedy ten tak nielubiany przez pana człowiek uczyni mnie swą żoną, to będę miała cel w życiu... Ja go zmienię na lepsze, oduczę go pić, nauczę pracować... Niech pan na niego spojrzy! Teraz nie jest podobny do człowieka, a ja zrobię z niego człowieka!

– I tak dalej, i tak dalej – powiedziałem. – Pani nie roztrwoni jego wielkiej fortuny, zajmie się filantropią... Cały powiat będzie panią błogosławić i widzieć w pani anioła zesłanego, by pocieszać nieszczęśliwych... Zostanie pani matką i będzie wychowywać jego dzieci... Tak, to wielki cel! Inteligentna z pani dziewczyna, a rozumuje pani jako uczennica!

– Moja idea jest, być może, bezsensowna, jest może śmieszna i naiwna, ale ja nią żyję... Sprawiała, że stałam się zdrowsza i weselsza... Niech mnie pan do niej nie zniechęca! Niechaj się sama zniechęca, ale nie teraz, lecz kiedyś... potem, w dalekiej przyszłości... Dajmy spokój tej rozmowie!

– Jeszcze jedno niedyskretne pytanie: spodziewa się pani oświadczyć?

– Tak... Sądząc po bileciku, który otrzymałam dziś od niego, los mój rozstrzygnie

się wieczorem... dzisiaj... Pisze, że ma mi coś ważnego do powiedzenia... Od mojej odpowiedzi, pisze, będzie zależeć szczęście całego jego życia...

– Dziękuję za szczerość – powiedziałem.

Sens bileciku, który otrzymała Nadia, był dla mnie jasny. Biedną dziewczynę czekała nikczemna propozycja... Postanowiłem wybawić ją od tego.

– Przyjechaliśmy już do naszego lasu – powiedział hrabia zrównawszy się z naszym kabrioletem. – Nadieżdo Nikołajewno, co by pani powiedziała na mały popas?

I nie czekając na odpowiedź klasnął w dłonie i głośnym, wibrującym tenorkiem wydał komendę:

– Popa-a-as!

Rozsiedliśmy się na skraju lasu. Słońce schowało się za drzewami barwiąc złocistą purpurą same tylko wierzchołki najwyższych olch, igrając na złotym krzyżu widniejącej w dali cerkwi. Nad naszymi głowami śmignęły spłoszone pszczołojady i wilgi. Któryś z panów wystrzelił i jeszcze bardziej zatrwożył pierzaste królestwo. Rozległ się nieposkromniony ptasi koncert. Koncert taki pełen jest uroku na wiosnę i latem, lecz kiedy w powietrzu czuje się bliskość zimnej jesieni, drażni nerwy i przypomina o rychłym odlocie.

Z gęstwiny leśnej powiało wieczorną świeżością. Nosy nam posiniały, a zmarzłak-hrabia jął zacierać ręce. Jakby na zawołanie zapachniało dymem z samowara i zabrzączały filiżanki do herbaty. Jednooki Kuźma, posapując i potykając się w wysokiej trawie, przydźwigał skrzynkę koniaku.

Wypiliśmy na rozgrzewkę.

Długi spacer na świeżym, zimnym powietrzu działa na apetyt lepiej niż wszelkie pobudzające łaknienie specyfiki. Po takim spacerze bałyk, kawior, pieczone kuropatwy i inne smakołyki cieszą oko jak róże wczesnym wiosennym porankiem.

– Dziś jesteś mądry – powiedziałem do hrabiego odkrawając sobie kawałek bałyka. – Mądry jak nigdy. Trudno lepiej zadysponować...

– To myśmy razem z hrabią zadysponowali – zachichotał Kalinin mrugnawszy na stangretów niosących z pojazdów zakąski, wina i nakrycia. – Pikniczek będzie, że palce lizać... A na zakończenie szampiter!...

Twarz sędziego pokoju promieniała dziś z zadowolenia jak nigdy. Czyżby spodziewał się, że tego wieczoru hrabia oświadczy się jego córce? Czyż nie dlatego pomyślał o szampanie, by powinszować młodym? Przyjrzałem się bacznie jego twarzy, ale nie wyczytałem z niej nic oprócz bezgranicznego zadowolenia, sytości i tępego zarozumiałstwa bijącego z całej jego zażywej postaci.

Wesoło rzuciliśmy się na zakąski. Te wszystkie wspaniałe wiktuały, rozłożone przed nami na dywanach, zostały potraktowane z obojętnością jedynie przez dwie osoby: Olgę i Nadię Kalinię. Olga stała na uboczu i, oparta o tył kabrioletu, nieruchomo i w milczeniu patrzyła na torbę myśliwską rzuconą na ziemię przez hrabiego. W torbie szamotał się postrzelony kulik. Olga obserwowała ruchy nieszczęsnego ptaka i jakby czekała na jego śmierć.

Nadia siedziała koło mnie i apatycznie patrzyła na wesoło żujące usta.

„Kiedy się to wszystko skończy?” – mówiły jej znużone oczy.

Poczęstowałem ją kanapką z kawiozem. Podziękowała i odłożyła ją na bok. Widać nie w głowie jej było jedzenie.

– Olgo Nikołajewno! Dlaczego pani nie usiądzie? – zawołał hrabia do Olgi.

Olga nie odpowiedziała i trwała dalej w bezruchu niczym posąg, wciąż patrząc na ptaka.

– Jakże bezduszni bywają ludzie – powiedziałem podchodząc do Olgi. – Jak może pani tak obojętnie przyglądać się męczarniom tego ptaka? Zamiast patrzeć, jak się szamocze, kazałaby pani lepiej go dobić.

– Inni się też męczą – powiedziała Olga nie patrząc na mnie i chmurząc brwi.

– A któż to się jeszcze męczy?

– Daj mi spokój! – warknęła. – Nie mam dzisiaj nastroju do rozmów z tobą... ani z twoim idiotycznym hrabią! Odejdź precz ode mnie!

Spojrzała na mnie oczami pełnymi złości i łez. Twarz miała bladą, wargi jej drżały.

– Co za zmiana! – powiedziałem podnosząc torbę myśliwską i dobijając kulika. – Co za ton! Jestem zdumiony! Nie posiadam się ze zdumienia!

– Daj mi spokój, słyszysz! Nie mam nastroju do żartów.

– Co ci się stało, mój skarbie?

Obrzuciła mnie spojrzeniem od stóp do głów i odwróciła się.

– Takim tonem rozmawia się z rozpustnymi i sprzedajnymi kobietami – wyrzekła. – Masz mnie za taką... no to idź do tych świętych!... Ja tu jestem najgorsza, najpodlejsza ze wszystkich... Kiedy jechałeś z tą cnotliwą Nadią, to bałeś się spojrzeć na mnie... No to idź do nich! Co tak stoisz? Idź!

– Tak, ty tu jesteś najgorsza i najpodlejsza ze wszystkich – powiedziałem czując, jak narasta we mnie gniew. – Tak, jesteś rozpustna i sprzedajna.

– Tak, pamiętam, jak proponowałeś mi te przekłete pieniądze... Wtedy nie rozumiałam, co to ma znaczyć, teraz już wiem...

Gniew przeniknął całą moją istotę. I gniew ten był tak silny jak ta miłość, która zaczynała się kiedyś rodzić we mnie do dziewczyny w czerwieni... Zresztą któż, jaki głąz pozostałby obojętny? Miałem przed sobą piękno rzucone przez niemiłosierny los w błoto. Nie została oszczędzona ani młodość, ani uroda, ani wdzięk... Teraz, kiedy ta kobieta wydawała mi się piękniejsza niż kiedykolwiek, czułem, jaką stratę w jej osobie poniosła natura i dręcząca złość na niesprawiedliwy los, na porządek rzeczy przepełniła mą duszę...

W chwilach gniewu nie umiem się pohamować. Nie wiem, czego jeszcze nasłuchałaby się Olga ode mnie, gdyby nie odwróciła się i nie odeszła. W milczeniu skierowała się ku drzewom i wkrótce zniknęła za nimi... Zdawało mi się, że płakała...

– Łaskawe panie i łaskawi panowie! – usłyszałem przemowę Kalinina. – W dniu, w którym połączyliśmy się, żeby... tego, żeby się złączyć... Jesteśmy tu w pełnym składzie, wszyscy się dobrze znamy, bawimy się i to od dawna upragnione zjednoczenie nasze zawdzięczamy nie komu innemu, lecz naszemu luminarzowi, gwieździe naszej guberni... Hrabio, niech się pan nie rumieni... Panie rozumieją, co mam na myśli... He-he-he!... No więc, dalej... Ponieważ wszystko to zawdzięczamy naszemu światłemu i młodemu... młodemu... hrabiemu Karniejewowi, proponuję wypić ten kielich za... Ale... ktoś jedzie! Kto to?

W stronę polany, gdzieśmy się rozsiedli, od hrabiowskiego dworu zbliżała się bryczka...

– Kto to może być? – zdziwił się hrabia kierując lornetkę w stronę bryczki. Hm... dziwne... To chyba jacyś przejezdni... Ach, nie! Widzę gębę Kajetana Kazimirowicza... Z kim to jedzie?

I nagle hrabia zerwał się jak oparzony... Jego twarz pokryła się śmiertelną bledością, z rąk wypadła mu lornetka. Oczy miał rozbiegane jak u złapanej myszy, i jakby prosząc o pomoc zatrzymywał wzrok to na mnie, to znów na Nadience... Nie wszyscy dostrzegli jego zmieszanie, gdyż uwagę większości pochłaniała zbliżająca się bryczka.

– Sierioża, pozwól tu na chwileczkę! – wyszeptał chwytając mnie za rękę i odciągając na bok. – Kochaneczku, błagam cię jako przyjaciela, jako najlepszego z ludzi... Żadnych pytań, żadnych pytających spojrzeń, żadnego zdziwienia! Potem wszystko opowiem. Przysięgam, wszystko, jak na spowiedzi. To takie dla mnie nieszczęście, takie nieszczęście, że nie wiem nawet, jak to wyrazić! Wszystkiego się dowiesz, a teraz – żadnych pytań! Pomóż mi!

Tymczasem bryczka była coraz bliżej i bliżej... Wreszcie zatrzymała się. Posapując i uśmiechając się wyszedł z niej Przechocki ubrany w nowy garnitur z czesuczy. Za nim zręcznie zeskoczyła młoda dama lat około dwudziestu trzech. Była to wysoka zgrabna blondynka o regularnych, lecz niesympatycznych rysach twarzy i niebieskich oczach. Pamiętam tylko te niebieskie oczy bez wyrazu, upudrowany nos, ciężką, ale wspaniałą

suknię i kilka masywnych bransoletek na obu rękach... Pamiętam, że zapach wieczornej wilgoci i wylanego koniaku ustąpił miejsca ostremu zapachowi jakichś perfum.

– Jak was tu dużo! – wyrzekła nieznajoma łamaną ruszczyzną. – Musi być bardzo wesoło! Witaj, Aleksis!

Podeszła do Aleksisa i nadstawiła mu swój policzek. Hrabia szybko ją cmoknął i z trwogą spojrział na swoich gości.

– Moja żona, mam zaszczyt przedstawić! – wymamrotał. – A to, Zuziu, moi dobrzy znajomi... Hm... Mam kaszel.

– Dopiero co przyjechałam! Kajetan mówi: odpocznij! A ja mówię, po co odpoczywać, przecież całą drogę spałam! Lepiej pojedę na polowanie! Ubrałam się i pojechałam... Kajetanie, gdzie są moje papierosy?

Przechocki podskoczył do blondynki i podał jej złotą papierośnicę.

– A to – szwagier, brat mojej żony... – mamrotał dalej hrabia wskazując Przechockiego. – Pomóżże mi! – szturchnął mnie w bok. – Ratuj, na litość boską!

Podobno Kalinin zasłabł, a Nadia, chcąc mu pomóc, nie mogła wstać z miejsca. Mówią, że wiele osób pośpiesznie wsiadło do swych powozów i odjechało. Nie widziałem tego wszystkiego. Pamiętam, że udałem się do lasu i, szukając ścieżki, nie patrząc przed siebie, poszedłem, gdzie nogi poniosą*.

Nogi miałem oblepione grudami lepkiej gliny i byłem cały utyłany w błocie, kiedy wyszedłem z lasu. Musiałem przeskakiwać przez strumyk, ale nie pamiętam tego wcale. Czuję się tak zmęczony i wycieńczony, jakby mnie niemiłosiernie pobito kijami. Trzeba było pójść do dworu hrabiowskiego, dosiąść Zorki i odjechać. Ale nie uczyniłem tego, lecz udałem się pieszo do domu. Nie byłem w stanie oglądać ani hrabiego, ani jego przeklętego dworu.**

Droga biegła wzdłuż jeziora. Potwór wodny zaczynał już ryczeć swą wieczorną pieśń. Wysokie fale z białymi grzebieniami pokrywały całą olbrzymią powierzchnię. W powietrzu unosił się łoskot i huk. Zimny, mokry wiatr przeszywał mnie do szpiku kości. Z lewej strony było gniewne jezioro, z prawej dobiegał monotony szum groźnego lasu. Poczuję się sam na sam z przyrodą, jak podczas sądowej konfrontacji. Zdawało się, że cały jej gniew, cały ten szum, i ryk docierały do mojej tylko głowy. W innych

* W tym miejscu w rękopisie Kamyszewa wykreślono sto czterdzieści linijek – A.Cz.

** W tym miejscu rękopisu narysowana jest atramentem ładna kobieca główka ze zniekształconymi z przerażenia rysami. Wszystko, co napisano poniżej, zostało starannie przekreślone. Górna połowa następnej stronicy jest również przekreślona 1 spod grubego kleksa odczytać można jedno tylko słowo: „skroń” – A.Cz.

okolicznościach poczułbym się, być może, nieswojo, ale teraz ledwo dostrzegałem otaczające mnie olbrzymy. Czym był gniew przyrody wobec burzy, która wrzała we mnie?*

Po przyjsciu do domu, nie rozbierając się, padłem na łóżko.

– Znowu bezwstydnik w jeziorze w ubraniu się kąpał – zaczął gderać Polikarp, ściągając ze mnie mokre i brudne ubranie. – Znowu, skaranie boskie! Toż to i szlacheckiego rodu, i z wykształceniem, a gorszy od jakiegoś kominiarza... Nie pojmuję, czego to pana tam w tym uniwersytecie uczyli!

Nie będąc w stanie ani słuchać głosu ludzkiego, ani patrzeć na czyjąkolwiek twarz, chciałem już krzyknąć na Polikarpa, żeby dał mi święty spokój, ale słowa ugrzęzły mi w gardle. Język był tak osłabiony i wycieńczony jak całe ciało. Jakkolwiek było to męczące, musiałem pozwolić Polikarpowi, by zdjął ze mnie wszystko, nawet przemokłą bieliznę.

– Odwróciłby się przynajmniej! – zrzędził mój służący przewracając mnie z boku na bok jak lalkę. – Od jutra się zwalniam. Nie zostanę... za żadne pieniądze! Dość już mam tego! Niech mnie ziemia pochłonie, jeśli zostanę!

Świeża, ciepła bielizna nie rozgrzała i nie uspokoiła mnie. Tak dygotałem z zimna, gniewu i strachu, że szczękały mi zęby. Strach był niewytłumaczalny... Nie bałem się ani upiorów, ani powstających z grobu nieboszczyków, ani nawet portretu mego poprzednika, Pospielowa, który wisiał nad moją głową. Nie spuszczał ze mnie swych martwych oczu, i zdawało się, mrugał nimi, ale nie robiło to na mnie żadnego wrażenia. Przyszłości swej nie znałem, można było jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że nic mi nie grozi, że czarnych chmur nie ma w pobliżu. Do śmierci daleko, chorób się nie boję, do nieszczęść natury osobistej nie przywiązywałem wagi... Czegóż więc się bałem i dlaczego szczękałem zębami?

Nie pojmowałem również swego gniewu... „Tajemnica” hrabiego nie mogła mnie aż tak rozzłościć. Cóż mógł mnie obchodzić hrabia i jego ożenek, który przede mną zataił?

Pozostawało mu wytłumaczyć mój ówczesny stan ducha rozstrojem nerwowym i zmęczeniem. Innego wytłumaczenia nie byłem w stanie wymyślić.

Po odejściu Polikarpa nakryłem głowę kołdrą, żeby zasnąć. Było ciemno i cicho... Papuga niespokojnie wierciła się w swej klatce, a z pokoju Polikarpa dobiegało miarowe tykanie zegara ściennego, wszędzie indziej panowała cisza i spokój. Fizyczne i duchowe zmęczenie zrobiło swoje i zacząłem zasypiać... Czułem, jak stopniowo spadał ze mnie jakiś ciężar, jak nienawistne obrazy przemieniły się w świadomości we mgłę... Pamiętam, że nawet zaczęło mi się coś śnić.

* Tu również coś wykreślono – A.Cz.

Śniło mi się, że słonecznym, chłodnym porankiem szedłem Newskim w Petersburgu i z nudów jałem się przyglądać witrynom sklepowym. Było mi lekko na duszy, wesoło... Nie miałem dokąd iść i po co się śpieszyć – wolność absolutna... Świadomość, że jestem daleko od swej wsi, od hrabiowskiego dworu i gniewnego, zimnego jeziora pogłębiła mój spokojny radosny nastrój. Stanąłem przed największą witryną i jałem przypatrywać się damskim kapeluszą... Były mi dobrze znane... W jednym widziałem Olgę, w drugim Nadię, trzeci widziałem w dniu polowania na płowowłosej głowie nagle przybyłej Zuzi... Pod kapelusząmi uśmiechały się znajome twarze... Kiedy chciałem im coś powiedzieć, wszystkie trzy zwały się w jedną dużą, czerwoną twarz. Ta zaś jęła gniewnie wywracać oczami i pokazała mi język... Ktoś z tyłu ścisnął mnie za szyję...

– Mąż zabił swoją żonę! – zawołała czerwona twarz. Drgnąłem, krzyknąłem, zerwałem się z łóżka... Serce strasznie mi waliło, na czole wystąpił zimny pot.

– Mąż zabił swoją żonę! – powtórzyła papuga, – Dajże mi cukru! Ależ z ciebie głupiec! Dureń!

– To papuga... – Uspokoilem się kładąc się z powrotem. – Chwała Bogu...

Słychać było monotony szmer... To deszcz stukał o dach... Chmury, które widziałem na zachodzie, kiedy szedłem brzegiem jeziora, zasnuły teraz całe niebo. Słaba błyskawica oświetliła portret świętej pamięci Pospiewowa... Nad moją głową zagrzmiął grom...

„Ostatnia burza tego lata” – pomyślałem.

Przypomniała mi się jedna z pierwszych burz... Taki sam grom grzmiął kiedyś w lesie, kiedy znalazłem się pierwszy raz w domu leśniczego... Stałem wtedy przy oknie z dziewczyną w czerwieni i patrzyłem z nią na sosny oświetlane przez błyskawice... W oczach tej pięknej istoty malował się strach. Powiedziała mi, że jej matkę zabił piorun i że ona sama pragnie widowiskowej śmierci... Pragnęła ubrać się tak, jak ubierają się najbogatsze arystokratki w powiecie. Wiedziała, że jej uroda będzie harmonizowała ze wspaniałością stroju. I, świadoma swej próżnej wielkości, dumna z niej, pragnęła wejść na Kamienną Mogiłę i tam efektownie umrzeć.

Marzenie jej speł.....choć nie na Kamien.....*

Nie mając już żadnej nadziei, że zasnę, wstałem i usiadłem na łóżku. Cichy szmer deszczu przemieniał się w gniewny łoskot, który tak lubiłem, gdy dusza moja wolna była od strachu i złości... Teraz łoskot ten wydawał mi się złowrogi. Pioruny waliły jeden za drugim.

* Niestety tu również następują skreślenia. Widać, że Kamyszew kreślił nie w trakcie pisania, lecz później... Pod koniec opowieści zwrócę na te skreślenia szczególną uwagę – A.Cz.

– Mąż zabił swoją żonę! – wrzasnęła papuga...

Były to ostatnie jej słowa... Zamknąwszy w małoduszny strachu oczy, namacałem po ciemku klatkę i cisnąłem ją w kąt...

– Niech cię diabli wezmą! – krzyknąłem usłyszawszy łoskot klatki i pisk papugi...

Biedny, szlachetny ptak! Lot do kąta kosztował go drogo... Nazajutrz w klatce leżał zimny trup. Za co ją zabiłem? Jeśli jej ulubione zdanie o mężu, który zabił żonę, przypom...*

Matka mojego poprzednika Pospiełowa, odstępując mi mieszkanie, kazała sobie zapłacić za umeblowanie, nawet za podobizny i fotografie nie znanych mi ludzi. Ale nie wzięła ani kopiejki za papugę. W przeddzień swojego wyjazdu do Finlandii zegnała się całą noc ze swym szlachetnym ptakiem. Pamiętam szlochy i lamenty, jakie towarzyszyły tym pożegnaniom. Pamiętam łzy, z jakimi prosiła mnie, bym troszczył się o jej przyjaciółkę, dopóki nie wróci. Dałem jej słowo honoru, że papuga nie pożałuje znajomości ze mną. I słowa tego nie dotrzymałem. Zabiłem ptaka. Wyobrażam sobie, co powiedziałyby staruszka, gdyby się dowiedziała o losie swego krzykacza!

Ktoś delikatnie zapukał do mojego okna. Domek, w którym mieszkałem, stał na skraju drogi i pukanie do okna zdarzało mi się często słyszeć w złą pogodę, kiedy podróżni szukali noclegu. Tym razem nie pukał do mnie podróżny. Podszedłem do okna i poczekawszy aż rozbłyśnie błyskawica, ujrzałem ciemną postać jakiegoś wysokiego i chudego jegomościa. Stał przed oknem i, zdawało się, kurczył się z zimna. Otworzyłem okno.

– Kto tam? O co chodzi? – zapytałem.

– Sergiuszu Pietrowiczu, to ja! – usłyszałem żałosny głos, jakim mówią ludzie mocno zziębnięci i wystraszeni. – To ja! Ja do pana, mój drogi!

W żałosnym głosie postaci rozpoznałem, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, głos mego przyjaciela, doktora Pawła Iwanowicza. Odwiedziny „szparki”, prowadzącego regularny tryb życia i kładącego się spać przed dwunastą, zdziwiły mnie. Co też nakazało mu naruszyć swoje zwyczaje i zjawić się u mnie o drugiej w nocy i to w dodatku w tak straszną pogodę?

– Czego pan sobie życzy? – zapytałem, posyłając w duchu gościa do wszystkich diabłów.

– Najmocniej przepraszam, mój drogi... Chciałem zapukać do drzwi, ale pański Polikarp chyba teraz śpi jak zabity. No i postanowiłem zapukać do okna.

* Tu bezładnie przekreślono niemal całą stronicę. Oszczędzono jedynie kilka wyrazów nie dających klucza do odtworzenia tego, co zostało przekreślone. – A.Cz.

– Ale czego pan sobie życzy?

Paweł Iwanowicz podszedł bliżej do okna i zaczął mamrotać coś niezrozumiałego. Drżał na całym ciele i wyglądał na pijanego.

– Słucham pana! – powiedziałem tracąc cierpliwość.

– Pan... pan, widzę, gniewa się, ale... Gdyby pan wiedział, co się stało, to przestałby pan gniewać się za takie bzdury, jak przerwany sen i moje zbyt wczesne odwiedziny... Jaki tam teraz sen! Mój ty Boże! Przeżyłem na świecie trzy dziesiątki lat i dopiero dzisiaj jestem po raz pierwszy tak strasznie nieszczęśliwy! Jestem nieszczęśliwy, Sergiuszu Pietrowiczu!

– Ale co się takiego stało? I co mnie do tego? Ledwo się trzymam na nogach... Nic mnie teraz nie obchodzi.

– Sergiuszu Pietrowiczu! – rzekł „szparka” płaczącym głosem wyciągając ku mojej twarzy mokrą od deszczu rękę. – Uczciwy człowieku! Przyjacielu mój!

Po czym usłyszałem męski płacz. Doktor płakał.

– Pawle Iwanyczu, niech pan wraca do domu! – powiedziałem po chwili milczenia. – Teraz nie mogę z panem, rozmawiać... Boję się i swojego, i pańskiego nastroju. Nie zrozumiemy się...

– Mój drogi! – rzekł doktor błagalnym głosem. – Niech się pan z nią ożeni!

– Zwariował pan? – powiedziałem zatraskując okno...

Po papudze doktor był drugą istotą, która ucierpiała z powodu mego nastroju. Nie zaprosiłem go do pokoju i zatrasnąłem mu okno przed nosem. Dwa ordynarne, nieprzyzwoite wybryki, za które wyzwałbym na pojedynek nawet kobietę.* Ale potulny i łagodny „szparka” nie miał pojęcia o pojedynkach. Nie wiedział, co to znaczy gniewać się.

Po chwili błysnęło i, spojrzawszy w okno, ujrzałem zgiętą postać mego gościa. Tym razem stał w prosiącej, wyczekującej pozie jak żebrak oczekujący jałmużny. Czekał widać, aż wybaczę mu i pozwolę się wywnętrzyć.

Na szczęście poruszyło się we mnie sumienie. Żal mi się zrobiło siebie, żal, że natura wpakowała we mnie tyle okrucieństwa i nikczemności! Podła dusza moja była takim samym krzemieniem jak moje zdrowe ciało...^{**}

* Ostatnie zdanie napisane jest nad przekreśloną linijką, którą można było odcyfrować następująco: „urwałbym komuś takiemu głowę i wytłukł mu wszystkie okna”. – A Cz.

** Dalej następują plastyczne i kwieciste rozważania o odporności duchowej autora. Widok smutku ludzkiego, krew, sekcje zwłok nie wywierają, jakoby na nim żadnego wrażenia. Fragment ten ma

Podszedłem do okna i otworzyłem je.

– Niech pan wejdzie do pokoju! – powiedziałem.

– Nie mogę!... Każda chwila jest droga! Biedna Nadia otruła się, musi być przy niej lekarz... Biedaczkę ledwie udało się uratować... Czy to nie nieszczęście? A pan nie chce słuchać. Takie nieszczęście! A pan okno zatrzaskuje?

– Ale żyje przecież?

– Przecież... Takim tonem nie wolno mówić o nieszczęśliwych, dobry mój przyjacielu! Kto by mógł pomyśleć, że ta mądra, uczciwa istota zapragnie pożegnać się z życiem z powodu takiej kreatury jak hrabia? Nie, mój przyjacielu, na nieszczęście kobietom daleko do doskonałości! Nawet najmądrzejsza, najcnotliwsza kobieta zawsze ma jakiś feler, przeszkadzający żyć jej i innym... weźmy choćby Nadię... Po co to zrobiła? Ambicja, tylko ambicja! Chorobliwa ambicja! Żeby pana zranić, postanowiła wydać się za tego hrabiego... Nie chodziło jej ani o jego pieniądze, ani o jego hrabiostwo... Chodziło jej tylko o to, by zaspokoić swoją monstrualną ambicję... A tu nagle – fiasko!... Wie pan, że przyjechała jego żona... Okazuje się, że ten rozpustnik jest żonaty... A mówią, że kobiety są odporne, że lepiej od mężczyzn znoszą cierpienia!... Jak tu można mówić o odporności, kiedy tak żałosna przyczyna każe sięgnąć po zapalki fosforowe? To nie odporność, to próżność!

– Przeziębi się pan...

– To, co przed chwilą zobaczyłem, gorsze jest od wszelkiego zaziębnienia... Te oczy, bladość... ach! Do nieodwzajemnionej miłości, do nieudanej próby dokuczenia panu doszło jeszcze to nieudane samobójstwo... Trudno sobie w ogóle wyobrazić większe nieszczęście!... Mój drogi, gdyby mógł pan wycisnąć z siebie choć odrobinę współczucia, gdyby... gdyby mógł pan ją zobaczyć... no, dlaczego miałby pan nie pójść do niej? Kochał ją pan! Jeżeli nawet pan już nie kocha, to czyż nie mógłby pan jednak poświęcić dla niej swej wolności! Życie ludzkie jest drogie, za życie można oddać wszystko! Niech pan ratuje życie!

Ktoś mocno zapukał do drzwi. Drgnąłem... Serce mi krwawiło!... Nie wierzę w przeczucia, ale tym razem niepokój mój był uzasadniony...

Pukano do mych drzwi od frontu...

– Kto tam? – zawołałem przez okno...

– Do wielmożnego pana!...

– O co chodzi?

odcień chełpliwej naiwności, nieszczerości. Zadziwia swą gruboskórnością, toteż opuściłem go. Dla charakterystyki Kamyszewa jest nieistotny. – A.Cz.

– List od hrabiego, jaśnie wielmożny panie! Zamordowano człowieka!

Jakaś ciemna postać w tułubie zbliżyła się do okna i złorzecząc na pogodę wręczyła mi list... Odszedłem szybko od okna, zapaliłem świecę i przeczytałem, co następuje:

„Na litość boską, rzucaj wszystko i przyjeżdżaj natychmiast. Olga zamordowana! Straciłem głowę i jestem bliski szaleństwa. Twój A. K.”

Olga zamordowana! Od tego krótkiego zdania zawirowało mi w głowie i pociemniało w oczach... Usiadłem na łóżku i nie byłem w stanie pozbierać myśli, ręce mi opadły.

– To pan, Pawle Iwanyczu? – usłyszałem głos przysłanego chłopca. – Właśnie miałem do pana jechać... Do pana też mam list.

W pięć minut później ja i „szparka” siedzieliśmy w krytym powozie udając się do hrabiowskiego dworu... Po budzie powozu bębnił deszcz, przed nami co chwila rozdzierała niebo oślepiająca błyskawica. Słyszać było ryk jeziora.

Zaczął się ostatni akt dramatu i dwie działające osoby jechały, by ujrzeć rozdzierający serce widok.

– Jak pan myśli, co nas czeka? – zapytałem w drodze Pawła Iwanycza.

– Ja nic nie myślę... Nie wiem...

– Ja też nie wiem...

– Hamlet żałował kiedyś, że władca ziemi i nieba poczytywał samobójstwo za grzech, ja teraz też żałuję, że los uczynił mnie lekarzem... Bardzo żałuję!

– A ja się obawiam, bym nie zaczął żałować, że jestem sędzią śledczym – powiedziałem. – Jeżeli hrabia nie poplątał morderstwa z samobójstwem i jeśli Olga została naprawdę zamordowana, to ładnie będą wyglądały moje nerwy.

– Może pan odmówić prowadzenia tej sprawy...

Spojrzałem pytająco na Pawła Iwanycza, ale w ciemnościach nie dojrzałem oczywiście niczego... Skąd wiedział, że mogę odmówić prowadzenia tej sprawy? Byłem kochankiem Olgi, ale któż o tym wiedział poza samą Olgą i bodajże jeszcze Przechockim, który mnie kiedyś zaszczycił oklaskami?

– Dlaczego pan sądzi, że mógłbym odmówić? – zapytałem „szparkę”.

– Tak... Może pan zachorować, podać się do dymisji... Nie ma w tym nic zdrożnego, może ktoś pana zastąpić, lekarz to zupełnie inna sprawa...

„Tylko tyle?” – pomyślałem.

Po długiej, morderczej jeździe po gliniastym gruncie pojazd nasz stanął wreszcie przed gankiem. Dwa okna nad gankiem były jaskrawo oświetlone, z ostatniego na prawo,

z sypialni Olgi, sączyło się słabe światło, wszystkie pozostałe zionęły ciemnymi plamami.

Na schodach powitała nas Syczicha. Spojrzała na nas świdrującymi oczkami, i jej pomarszczoną twarz wykrzywił zły, drwiący uśmieszek.

„Zaraz będziecie mieli niespodziankę!” – mówiły jej oczy.

Myślała widać, że przyjechaliśmy się zabawić i nie wiemy nic o nieszczęściu, jakie spadło na dom.

– Łaskawy pan pozwoli sobie przedstawić – powiedziałem do Pawła Iwanowicza, zrywając z głowy staruchy czepiec i obnażając jej zupełnie łysą głowę. – Ta wiedźma ma dziewięćdziesiąt lat, kochaneczku. Gdyby wypadło nam kiedyś dokonywać sekcji zwłok tej istoty, to bylibyśmy skrajnie odmiennych zdań. Pan doszukałby się starczej atrofii mózgu, ja zaś utrzymywałbym, że jest to najmądrzejsza i najsprytniejsza istota w całym naszym powiecie... Diabeł w spódnicy!

Zdumiał mnie nieoczekiwany widok salonu, do którego weszliśmy. Wszystkie krzesła i kanapy były zajęte... W kątach i przy oknach również stali ludzie. Skąd się tu wzięli? Gdyby mi wcześniej powiedziano, że spotkam tutaj tych ludzi, roześmiałbym się. Do tego stopnia nieprawdopodobna i nie na miejscu była ich obecność w domu hrabiego, w czasie gdy, być może, w jednym z pokojów leżała zmarła lub umierająca Olga. Był to cygański chór ober-Cygana Karpowa z restauracji „Londyn”, ten sam chór, który czytelnik poznał w jednym z pierwszych rozdziałów. Gdy wszedłem, w jednej z grup rozpoznałem moją starą przyjaciółkę Tinę, która na mój widok radośnie krzyknęła. Jej błada, smagła twarz rozpromienił uśmiech, kiedy podałem jej rękę, a z oczu trysnęły łzy, gdy chciała mi coś powiedzieć... Łzy nie pozwoliły jej mówić i nie udało mi się wydusić z niej ani słowa. Zwróciłem się do innych Cyganów, i ci wytłumaczyli mi swoją obecność w sposób następujący: rano hrabia przysłał im do miasta telegram, żądając, by chór w komplecie koniecznie stawił się w jego posiadłości o dziewiątej wieczorem. Wykonując to „zamówienie” wsiedli do pociągu i o ósmej byli już w salonie...

– Tak pragnęliśmy sprawić jego ekscelencji i państwu przyjemność... Nauczyliśmy się tylu nowych romansów!... A tu taka historia...

Raptem przycwałował chłop z wieścią, że na polowaniu dokonano bestialskiego morderstwa oraz z rozkazem, by pościelić łóżko dla Olgi Nikołajewny. Nie uwierzono mu, bo był pijany „jak świnia”, ale kiedy na schodach rozległ się tupot i przez salon przeniesiono czarno odziane ciało, nikt już nie miał wątpliwości...

– A teraz nie wiemy, co robić! Zostawać jakoś niezręcznie... Z popem pod jednym dachem nie przystoi przebywać wesołkom... Poza tym wszystkie śpiewaczki są poruszone i płaczą... Nie mogą przebywać w jednym domu z nieboszczykiem... Trzeba wracać, a nie chcą nam dać koni! Pan hrabia leży chory i nikogo do siebie nie wpuszcza, a służba na nasze prośby odpowiada drwinkami... Nie pójdziemy przecież pieszo w taką pogodę i w

tak ciemną noc! Służba jest w ogóle strasznie ordynarna!... Gdyśmy poprosili o herbatę dla naszych pań, posłano nas do wszystkich diabłów...

Wszystkie te skargi skończyły się łzawą prośbą o moje wstawiennictwo: może uzyskam dla nich pojazdy, żeby mogli wydostać się z tego „przekłętego” domu?

– Jeśli konie są w stajni i jeśli woźniców nie odprawiono, to wyjedziecie – powiedziałem. – Postaram się o to...

Biedakom, odzianym w błazeńskie stroje i nawykłym do epatowania swymi swobodnymi manierami, nie do twarzy były smętne miny i niezdecydowane pozy. Obietnica moja nieco ich ożywiła. Męski szept przemienił się w głośną rozmowę, a kobiety przestały płakać...

Potem, idąc do gabinetu hrabiego przez całą amfiladę ciemnych nie oświetlonych pokojów, otworzyłem jedne z licznych drzwi i zobaczyłem rozczulający widok. Za stołem koło szumiącego samowara siedziała Zuzia ze swym bratem Przechockim... Zuzia, ubrana w przewiewną bluzkę, ale nadal w tych samych bransoletkach i pierścionkach, wachała jakiś flakonik i krygując się, z odrazą piła herbatę z filiżanki. Oczy miała zapłakane... To, co się zdarzyło na polowaniu, musiało nią mocno wstrząsnąć, i na dłuższy czas zepsuć jej nastrój. Przechocki z tą samą co zawsze drewnianą twarzą pił dużymi łykami ze spodeczka i coś mówił do siostry. Sądząc po mentorskim wyrazie twarzy, uspokajał ją i przekonywał, że łyzy na nic się nie zdadzą.

Hrabiego, rzecz oczywista, zastałem w stanie godnym pożałowania. Sflaczały i cherlawy, schudł jeszcze bardziej i postarzał się... Głowę miał owiniętą chustką do nosa, od której w całym pokoju unosił się mocny zapach octu. Na mój widok zerwał się z sofy, na której leżał i owijając się szlafrokiem, podbiegł ku mnie...

– No, co? No, i co? – zawołał drżąc i jękając się. – Jak?

Wydając z siebie nieokreślone dźwięki, pociągnął mnie za rękaw ku sobie i kiedy usiadłem, przytulił się do mnie jak przestraszony psiak i zaczął się skarżyć...

– Kto się mógł tego spodziewać? Co? Chwileczkę, kochaneczku, nakryję się pledem... mam gorączkę... Zamordowana, biedaczka! I to w jak barbarzyński sposób! Jeszcze żyje, ale lekarz mówi, że umrze dziś w nocy... Straszny dzień!... Przyjechała ni stąd, ni zowąd ta... niech ją diabli, żona... To moja potworna pomyłka. Ożeniono mnie, Sierioża, w Petersburgu... byłem zupełnie pijany... Ukryłem to przed tobą, wstyd mi było, ale ona przyjechała, możesz ją zobaczyć... Zobacz, zobacz... O, przekłeta słabość! Chwila słabości, wódka i gotów jestem na wszystko! Przyjazd żony – to pierwszy podarunek, awantura z Olgą – drugi... Tylko patrzeć jak będzie trzeci... Wiem, wiem, co się jeszcze stanie... Wiem! Ja chyba zwariuję!

Popłakał, wypił trzy kieliszki wódki i nazwawszy siebie osłem, niktzemnikiem i pijakiem, płaczącym się ze wzruszenia językiem opisał mi dramat, jaki rozegrał się na

polowaniu... Było to mniej więcej tak:

W jakieś dwadzieścia czy trzydzieści minut po moim odejściu, kiedy wszyscy zaskoczeni przyjazdem Zuzi nieco ochłonęli i kiedy Zuzia po zapoznaniu się z całym towarzystwem jęła czynić honory domu, usłyszano nagle przeraźliwy, przeszywający serce krzyk. Krzyk ten doleciał od strony lasu i kilka razy powtórzyło go echo. Był do tego stopnia niezwykły, że ludzie, którzy go usłyszeli, zerwali się z miejsc, psy zaczęły szczekać, a konie zastrzygły uszami. Krzyk był niesamowity, ale rozpoznano w nim głos kobiety... Dźwięczała w nim rozpacz, przerażenie... Tak chyba krzyczą kobiety na widok zjawy lub kiedy umiera dziecko... Strwożeni goście spoglądali na hrabiego, hrabia na nich... ze trzy minuty panowało grobowe milczenie...

Podczas gdy towarzystwo spoglądało tak na siebie w milczeniu, stangreci i lokaje patrzyli w stronę, skąd rozległ się krzyk. Pierwszym zwiastunem nieszczęścia był stary lokaj Ilja. Przybiegł na skraj lasu blady, z wytrzeszczonymi oczyma, chciał coś powiedzieć, lecz, zdyszany i wzburzony, długo nie mógł wydusić z siebie słowa. Wreszcie przemógł się, przeżegnał i wykrztusił:

– Zamordowali panią!

Jaką panią? Kto zamordował? Ale Ilja nie dał odpowiedzi na te pytania... Rola drugiego zwiastuna przypadła człowiekowi, którego nikt się nie spodziewał, i którego pojawienie wzbudziło przerażenie. Gdy hrabia go ujrzał i przypomniał sobie, że Olga poszła na spacer do lasu, zamarło w nim serce i nogi się ugięły w strasznym przecuciu.

Był to Piotr Jegorycz Urbienin, eks-rządca hrabiego i mąż Olgi. Najpierw towarzystwo usłyszało ciężkie kroki i trzask suchych gałęzi... Zdawało się, że z lasu na polanę skrada się niedźwiedź. Potem pojawiła się masywna postać nieszczęsnego Piotra Jegorycza... Gdy wyszedł na skraj lasu i zobaczył towarzystwo, cofnął się o krok i stanął jak wryty. Przez chwilę milczał bez ruchu, tak że można się było mu przyjrzeć... Ubrany był w starą szarą marynarkę i mocno już sfatygowane spodnie... Był bez kapelusza i potargane włosy przylepiały mu się do czoła i skroni... Jego twarz, zawsze czerwona, a często sinopurpurowa, była tym razem blada... Oczy, otwarte nienaturalnie szeroko, patrzyły błędnie. Wargi i ręce drżały...

Ale co przede wszystkim zwróciło uwagę oszołomionych widzów – to jego zakrwawione dłonie... Obie dłonie i mankiety miał unurzane we krwi, jakby je umył w krwawej wannie.

Kilka minut stał nieruchomo, potem jak gdyby się ocknął ze snu, usiadł po turecku na trawie i jęknął. Psy, poczuwszy coś niezwykłego, otoczyły go z głośnym szczekaniem... Obwiódłszy towarzystwo mętными oczyma, Urbienin ukrył twarz w dłoniach i znów znieruchomiał...

– Olgo, Olgo, coś ty narobiła! – wyjęczał.

Głuche łkania wyrwały mu się z piersi i wstrząsnęły jego potężnymi ramionami... Kiedy odjął dłonie od twarzy, wszyscy ujrzeli na jego policzkach i czole krew, którą się poplamiał, dotykając twarzy rękami...

W tym miejscu hrabia machnął ręką, wypił gorączkowo kieliszek wódki i ciągnął dalej:

– I tu moje wspomnienia się poplątały. Jak sobie wyobrażasz, cała ta historia tak mnie oszołomiła, że straciłem zdolność pojmowania... Nic nie pamiętam, co było potem, nic a nic nie pamiętam, tylko, że mężczyźni przynieśli z lasu czyjeś ciało odziane w podartą, zakrwawioną suknię... Nie mogłem na to patrzeć... Włożyli je do powozu i powieźli... Nie słyszałem ani jęków, ani szlochania... Mówią, że miała wbity w bok ten kindżał, który nosiła zawsze przy sobie... przypominasz go sobie? Podarowałem go jej niedawno. Zupełnie tępy kindżał, tępszy niż brzeg tej szklanki... Jaką siłę trzeba mieć, żeby przebić nim człowieka! Uwielbiam broń kaukaską, ale teraz niech ją diabli wezmą! Jutro każę to paskudztwo powyrzucać!...

Hrabia wychylił jeszcze jeden kieliszek wódki i ciągnął dalej:

– Ale co za wstyd! Co za ohyda! Przywozimy ją do domu... Wszyscy w rozpacz, przerażeni. I nagle, oby ich ziemia pochłonęła, tych Cyganów – rozlega się zawadiacki śpiew!... Ustawili się w szpaler i jak nie rykną, bracie!... Chcieli mnie z fasonem powitać, a wyszło coś bardzo niestosownego... Zupełnie jak głupi Iwanuszka, który na widok pogrzebu zawołał z zachwytem: „Doniosą czy nie doniosą?” Tak, bracie! Chciałem dogodzić gościom, sprowadziłem Cyganów, a wyszła z tego bzdura. Nie Cyganów należało sprowadzić, ale lekarzy i duchownych. I teraz nie wiem, co robić! Co robić? Nie znam się na tych wszystkich formalnościach, zwyczajach, kogo wezwać, po kogo posłać... Może po policję, prokuratora?... Nie mam zielonego pojęcia, jak Boga kocham!... Dobrze, że ojciec Jeremiasz, jak się dowiedział o tym nieszczęściu, przyszedł z sakramentami, bo nie wpadłbym na to, żeby go poprosić. Błagam cię, przyjacielu, zajmij się wszystkim! Słowo daję, gotów jestem oszaleć! Przyjazd żony, morderstwo... brrr!... Gdzie jest teraz moja żona? Nie widziałeś jej?

– Widziałem. Pije herbatę z Przechockim.

– Ach, z braciszkiem... A to kanalia, ten Przechocki! Kiedy dałem cichaczem drapak z Petersburga, zwąchał pismo nosem i przyczepił się do mnie... Ile on ode mnie pieniędzy wyłudził, to przechodzi ludzkie pojęcie!

Nie miałem czasu na rozmowy z hrabią o Przechockim. Wstałem i skierowałem się ku drzwiom.

– Posłuchaj no – zatrzymał mnie hrabia. – Słuchaj... a mnie przypadkiem nie dźgnie ten Urbienin?

– A czy to on dźgnął Olgę?

– Naturalnie, że on... Nie rozumiem tylko, skąd się tam wziął? Jakie лихо przyniosło go do lasu? I dlaczego do tego właśnie lasu, a nie do innego? Przypuśćmy, że się zaczął i czekał na nas, ale skąd wiedział, że zatrzymam się właśnie w tym miejscu?

– Ty nigdy nic nie rozumiesz – odrzekłem. – *À propos*, proszę cię raz na zawsze... Jeśli zajmę się tą sprawą, to bardzo cię proszę – powstrzymaj się od swoich przypuszczeń... Będziesz łaskaw odtąd odpowiadać jedynie na moje pytania i nic poza tym.

Pozostawiwszy hrabiego, udałem się do pokoju, w którym leżała Olga...*

W pokoju paliła się mała niebieska lampka, słabo oświetlając twarze... Czytać czy pisać przy tym świetle było nie sposób. Olga leżała na swoim łóżku. Głowę miała obandażowaną; widać było tylko jej blady, zaostrozony nos i powieki zamkniętych oczu. Gdy wszedłem, jej piersi były obnażone – okładano je pęczkami z lodem.** Widocznie Olga jeszcze nie umarła. Krzątali się koło niej dwaj lekarze. Kiedy wszedłem, Paweł Iwanycz, mrużąc oczy, sapiąc i postępując, osłuchiwał jej serce.

Lekarz Urzędu Ziemskiego, strasznie zmęczony i wyglądający na chorego, siedział na krześle koło łóżka i w zamyśleniu udawał, że bada puls. Ojciec Jeremiasz, który dopiero co skończył to, co do niego należało, zawijał krzyż w stułę i sposobił się do wyjścia...

– Nie trzeba rozpaczać, Piotrze Jegoryczu! – mówił wzdychając i spoglądając w kąt. – Wszystko jest w rękach Boga, trzeba się zdać na Jego wolę.

W kącie na taborecie siedział Urbienin. Tak się zmienił, że ledwie go poznał. Nierówność i pijaństwo, którym się ostatnio oddawał, pozostawiły na nim widoczne ślady: ubranie miał zniszczone, twarz również.

Biedak siedział nieruchomo, z głową wspartą na dłoniach i nie odrywał oczu od łóżka... Ręce i twarz miał wciąż zakrwawione... Nie pamiętał o umyciu się...

O, prorocstwo duszy mej i biednego ptaka mego!

Gdy szlachetny, zabity przeze mnie ptak wykrzykiwał zdanie o mężu, który zabił swą żonę, w wyobraźni mojej niezmiennie pojawiał się wizerunek Urbienina. Dlaczego?... Wiedziałem, że zazdrośni mężowie często zabijają swe niewierne żony, wiedziałem zarazem, że tacy jak Urbienin nie zabijają ludzi... Toteż nie dopuszczałem do siebie myśli, że Urbienin zabił swą żonę, poczytując to za absurd.

* W tym miejscu wykreślono dwie linijki. – A.Cz.

** Zwracam uwagę czytelnika na następującą okoliczność: Kamyszew, który z taką lubością rozwodzi się nad każdym stanem swej duszy, nawet kiedy opisuje swe utarczki z Polikarpem, nic nie mówi o wrażeniach, jakich doznał na widok umierającej Olgi. Sądzę, że czyni to nie bez kozery. – A.Cz.

„On czy nie on?” – zadałem sobie pytanie spojrzawszy na jej biedną twarz.

Mówiąc szczerze nie umiałem dać zadowolającej odpowiedzi, nawet mimo opowieści hrabiego, mimo krwi, jaką widziałem na rękach i na twarzy Urbienina.

„Gdyby to on zabił, dawno już zmyłby krew z twarzy i rąk... – przypomniało mi się twierdzenie jednego z moich znajomych sędziów śledczych. – Mordercy nie znoszą widoku krwi swych ofiar.”

Gdyby zachciało mi się ruszyć mózgownicą, przypomniałbym sobie niemało jeszcze podobnych twierdzeń, ale nie należało wybiegać naprzód i wysnuwać przedwczesnych konkluzji.

– Moje uszanowanie! – zwrócił się do mnie lekarz Urzędu Ziemskiego. – Bardzo mi rad, że choć pan tutaj zajrzał... Proszę mi powiedzieć, kto tu jest gospodarzem?

– Tu nie ma gospodarza... Chaos jest tutaj panem... – odrzekłem.

– Ładnie powiedziane, ale wcale mnie to nie pociesza – chrząknął zgryźliwie lekarz. – Trzy godziny proszę o przysłanie mi butelki portweinu albo szampana, ale nawet pies z kulawą nogą się nie odezwał! Pogłuchli wszyscy jak cietrzewie! Lód dopiero teraz przyniesiono, choć wydałem odpowiednie rozporządzenie ze trzy godziny temu. Co to wszystko ma znaczyć? Człowiek umiera, a oni jakby kpiny sobie robili. Hrabia raczy pić likiery w swoim gabinecie, a mnie nawet kieliszka nie mogą tu przynieść! Posyłam do miasta, do apteki, mówią mi, że konie ledwo zipią i nie ma komu jechać, bo wszyscy są pijani... Chcę posłać do siebie do szpitala po lekarstwo i opatrunki, i robią mi łaskę: proponują jakiegoś pijaka, który ledwie trzyma się na nogach. Posłałem go dwie godziny temu, no i co? Podobno dopiero co wyjechał! Czy to nie skandal!... Wszyscy idioci, jeden w drugiego! Bóg mi świadkiem, pierwszy raz w życiu widzę takich bezdusznych ludzi!

Lekarz słusznie się oburzał. W niczym nie przesadzał, wręcz odwrotnie... Żeby wylać żółć na łajdactwa i nieporządki panujące we dworze hrabiowskim, nie starczyłoby całej nocy. Zdemoralizowana nieróbstwem służba była odrażająca. Każdy z lokajów mógł posłużyć za wzór obżartucha i wałkonía.

Udałem się na poszukiwanie wina. Dopiero kiedy dałem po pysku temu i owemu, udało mi się zdobyć szampana i krople walerianowe, z czego niewymownie ucieszył się medyk. W godzinę później przyjechał felczer ze szpitala i przywiózł ze sobą wszystko, co było potrzebne.*

* Muszę zwrócić uwagę czytelnika na jeszcze jedną nader ważną okoliczność: w przeciągu dwóch-trzech godzin pan Kamyszew nie robi nic, tylko chodzi z pokoju do pokoju, oburza się wraz z lekarzami na służbę, hojnie rozdaje policzki i tak dalej... Czy rozpozna w nim ktokolwiek sędziego śledczego? Widać, że nie śpieszy się i robi wszystko, żeby przeciągnąć sprawę. Prawdopodobnie wie,

Wozniesieńskiemu udało się wlać do ust Olgi łyżkę szampana. Przełknęła z jękiem. Potem wstrzyknięto jej pod skórę coś jakby krople Hoffmanna.

– Olgo Nikołajewno! – zawołał lekarz Urzędu Ziemskiego nachylając się nad nią. – Olgo Ni-ko-ła-jewno!

– Trudno się spodziewać, by odzyskała przytomność! – westchnął Wozniesieński. – Straciła dużo krwi, poza tym uderzenie w głowę jakimś tępym narzędziem musiało spowodować wstrząs mózgu.

Czy był to wstrząs mózgu czy nie, trudno orzec, ale Olga otworzyła oczy i poprosiła pić... Pobudzające środki poskutkowały.

– Może ją pan teraz wypytać... – szturchnął mnie w bok Wozniesieński. – Proszę.

Podszedłem do łóżka... Oczy Olgi były zwrócone do mnie.

– Gdzie ja jestem? – zapytała.

– Olgo Nikołajewno! – zacząłem. – Poznaje mnie pani?

Olga przez chwilę popatrzyła na mnie i zamknęła oczy.

– Tak! – wyjęczała. – Tak!

– Jestem Zinowiew, sędzia śledczy... – Miałem zaszczyt być pani znajomym, a nawet, jeżeli pani pamięta, byłem drużbą na pani weselu...

– To ty? – szepnęła Olga, wyciągając do mnie lewą rękę. – Siadaj...

– Bredzi! – westchnął „szparka”.

– Jestem Zinowiew, sędzia śledczy... – mówiłem dalej. – Pamięta pani może, byłem na polowaniu... Jak się pani czuje?

– Proszę zadawać konkretne pytania! – szepnął do mnie lekarz Urzędu Ziemskiego. – Za chwilę może stracić przytomność...

– Tylko proszę bez pouczeń! – obraziłem się. – Sam wiem, co mam mówić... Olgo Nikołajewno – ciągnąłem zwracając się do niej – niech pani postara się przypomnieć sobie, co zaszło minionego dnia. Pomogę pani... O godzinie pierwszej wsiadła pani na konia i udała się na polowanie z całym towarzystwem... Polowanie ciągnęło się ze cztery godziny... Potem nastąpił popas na skraju lasu... Pamięta pani?

– I ty... i ty... zabiłeś.

– Kulika? Potem, kiedy dobiłem zranionego kulika, skrzywiła się pani i opuściła

„kto jest mordercą”. Ponadto opisana niżej niczym nie umotywowana rewizja u Sy czichy i zakrawające na drwinę przesłuchanie Cyganów, także miało chyba na celu zyskanie na czasie. – A.Cz.

towarzystwo... Poszła pani do lasu...^{*} A teraz niech się pani postara zmobilizować wszystkie swe siły i pamięć. W lesie podczas spaceru została pani napadnięta przez nie znanego nam osobnika. Pytam panią jako sędzia śledczy, kto to był?

Olga otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– Jak on się nazywa? Oprócz mnie są tu jeszcze trzy osoby.

Olga przecząco poruszyła głową.

– Musi nam pani to powiedzieć – ciągnąłem dalej. – Poniesie ciężką karę... Prawo wyegzekwuje od niego sprawiedliwą zapłatę za jego bestialski czyn... Zostanie zesłany na katorgę...^{**} Czekam.

Olga uśmiechnęła się i znowu przecząco poruszyła głową. Dalsze przesłuchanie nie doprowadziło do niczego. Nie wydobyłem z niej ani jednego słowa, ani jednego gestu. Za piętnaście piąta Olga skołała.

O godzinie siódmej przybyli ze wsi wezwani przeze mnie starosta i wyznaczeni na świadków chłopci. Na miejsce zbrodni nie można było jednak jechać: deszcz, który zaczął padać w nocy, lał teraz jak z cebra. Małe kałuże przemieniły się w jeziora. Szare niebo patrzyło surowo i nie obiecywało słońca. Mokra drzewa, smętnie zwiesiwszy gałęzie, sypały gradem kropel przy każdym podmuchu wiatru. Jechać nie sposób, zresztą nie było nawet po co: ślady zbrodni, a więc plamy krwi, odciski stóp zostały z pewnością w ciągu nocy rozmyte przez deszcz. Formalnościom musiało się jednak stać zadość, miejsce zbrodni należało zbadać, ale odłożyłem wyjazd do czasu przybycia policji, a tymczasem zająłem się sporządzaniem brulionu protokołu i przesłuchaniami. Najpierw przesłuchałem Cyganów. Biedni śpiewacy przesiedzieli całą noc w pokojach czekając na konie, które miały ich zawieźć na stację. Ale koni im nie dano; służba odsyłała ich do hrabiego, uprzedzając zarazem, że jego ekscelencja zabronił kogokolwiek wpuszczać. Nie przyniesiono im herbaty, o którą rano prosili. Ta bardziej niż dziwna, nieokreślona sytuacja w obcym domu, gdzie leżały zwłoki zamordowanej kobiety, brak wiadomości o godzinie wyjazdu, i szara, smętna pogoda – wszystko to przyprawiało biednych Cyganów i Cyganki o taką desperację, że w ciągu nocy schudli i zbledli. Słaniali się z kąta w kąt, jakby się czegoś bali albo czekali na surowy werdykt. Swym przesłuchaniem pogłębiłem

^{*} To uchylenie się od zadawania pytań pierwszorzędnej wagi miało na celu tylko jedno: zwlekać, aż Olga straci ponownie przytomność, by nie mogła wskazać mordercy. Chwył to nader charakterystyczny i dziwić się należy, że lekarze nie ocenili go należycie. – A.Cz.

^{**} Wygląda to wszystko naiwnie tylko na pierwszy rzut oka. Kamyszew chciał widocznie dać Oldze do zrozumienia, jak poważne konsekwencje będą miały dla mordercy jej zeznania. Skoro droga jej jest osoba mordercy, *ergo* – powinna milczeć. – A.Cz.

tylko ich depresję. Po pierwsze, z powodu mego długiego przesłuchania musieli odłożyć wyjazd z „przeklętego” domu, po drugie zaś zlekli się. Ci prości ludzie, sądząc, że podejrzewa się ich o morderstwo, z płaczem jęli mnie zapewniać, że są niewinni i absolutnie nic nie wiedzą. Tina na widok mego urzędowego wyrazu twarzy zapomniała zupełnie o stosunkach, jakie nas łączyły, i mówiąc ze mną drżała i zamierała ze strachu jak wychłostana dziewczynka. Na moje zapewnienie, że nie mają się czego bać, że występują jedynie w charakterze świadków, pomocników wymiaru sprawiedliwości, chórem oświadczyli, że nigdy nie świadkowali, o niczym nie wiedzą i mają nadzieję, że Bóg również w przyszłości uchroni ich przed bliską znajomością z przedstawicielami prawa.

Zapytałem ich, jaką drogą jechali ze stacji, czy nie jechali przez las, gdzie miało miejsce morderstwo, czy ktoś z nich nie oddalił się od grupy choćby na krótką chwilę i czy nie słyszeli rozdzierającego serce krzyku Olgi.* Przesłuchanie to niczego nie dało. Wystraszeni Cyganie wysłali dwóch młodzieńców ze swego chóru do wsi w celu wynajęcia furmanek. Biedacy strasznie pragnęli stąd wyjechać. Pech chciał, że na wsi, gdzie dowiedziano się już o morderstwie, smagli posłowie wzbudzili podejrzenia i zostali doprowadzeni do mnie. Dopiero wieczorem umęczony chór wyzwolił się od koszmaru, odetchnął z ulgą i najawszy po potrójnej cenie pięć chłopskich furmanek opuścił dom hrabiego. Później otrzymali wprawdzie wynagrodzenie za przyjazd, ale nikt nie zapłacił za katusze moralne, jakie zadano im w tym domostwie...

Po ich przesłuchaniu przeprowadziłem rewizję** u Syczichy. W kufrach znalazłem masę różnych rupieci, ale, obejrzawszy wszystkie czepki i pocerowane pończochy, nie znalazłem ani pieniędzy, ani drogocennych przedmiotów, które staruszka kradła hrabiemu i jego gościom... Nie znalazłem też rzeczy, które kiedyś skradziono Tinie... Widać Baba Jaga miała inną kryjówkę, jej tylko znaną...

Nie przytaczam tu całego protokołu wstępnych zeznań i oględzin. Długi jest, zresztą nie pamiętam go... Odtwarzam go tu pokrótce w ogólnych zarysach... Opisałem przede wszystkim, w jakiej pozie zastałem Olgę i ze wszystkimi szczegółami wyłożyłem treść jej przesłuchania. Z przesłuchania tego wynikało, że Olga odpowiadała na moje pytania w pełni świadomie i świadomie zataiła nazwisko mordercy. Nie chciała, by morderca poniósł karę, co stanowczo każe przypuszczać, że morderca był jej drogi i bliski.

Oględziny odzieży, jakich dokonałem wraz z naczelnikiem policji, dały bardzo wiele... Kazakino od amazonki, aksamitne, na jedwabnej podszewce, było jeszcze

* Jeśli to wszystko było potrzebne p. Kamyszewowi, to czy nie lepiej było wypytać stangretów, którzy wieźli Cyganów? – A.Cz.

** Po co? Załóżmy, że wszystkiego tego dokonał sędzia śledczy po pijanemu albo odurzony snem, ale po cóż było o tym pisać? Czyż nie lepiej ukryć przed czytelnikiem tego rodzaju prostackie błędy? – A.Cz.

wilgotne... Prawy bok, gdzie znajdowała się rana zadana sztyletem, był przesiąknięty krwią, w kilku miejscach zakrzepniętą... Krwotok był silny, aż dziw, że Olga nie umarła od razu. Lewy bok był również zakrwawiony... Lewy rękaw był podarty na ramieniu i w przegubie... Dwa górne guziki były urwane i nie znaleźliśmy ich w trakcie oględzin. Spódnicę amazonki z czarnego kaszmiru strasznie pomięto przenosząc Olę z lasu do powozu i z powozu do łóżka. Zdjęto ją potem z Olgi i nielitościwie stłamsiwszy ciśnięto pod łóżko. Była rozdarta w pasie; to podłużne rozdarcie długości siedmiu werszków musiało chyba nastąpić podczas przenoszenia i zdejmowania; stać się to mogło również za życia Olgi, która nie lubiła zajmować się reperacjami, i nie wiedząc komu oddać spódnicę do pocerowania, mogła schować to rozdarcie pod kazakinem. Sądzę, że nie ma tu nic do rzeczy rozbestwienie zbrodniarza, na co później kładł nacisk w swej mowie oskarżycielskiej zastępca prokuratora. Prawa część paska i prawa kieszeń były przesiąknięte krwią... Chusteczka do nosa i rękawiczka, znajdujące się w tej kieszeni zamieniły się w dwa bezkształtne kłębki rdzawego koloru. Spódnica, od pasa aż po sam tren, była cała w krwawych plamach różnej wielkości i różnych kształtów... Większość z nich były to odciski palców i dłoni, jak się potem okazało na przesłuchaniu, niosących Olę stangretów i lokajów... Koszulka była zakrwawiona, zwłaszcza po prawej stronie gdzie znajdował się otwór, przecięty ostrym narzędziem. Podobnie jak w kazakinie, na lewym ramieniu oraz koło nadgarstka znajdowały się rozdarcia... Mankiet był oderwany do połowy.

Znaleziono wszystkie przedmioty, jakie Olga miała przy sobie, mianowicie: złoty zegarek, długi złoty łańcuszek, brylantową broszkę, kolczyki, pierścionki i portmonetkę ze srebrnymi monetami. Wyglądało na to, że zbrodniarz działał nie z chęci zysku.

W wyniku sekcji zwłok, dokonanej w mojej obecności przez „szparkę” i lekarza Urzędu Ziemskiego nazajutrz po śmierci Olgi, sporządzono arcydługi protokół, który przytaczam tu w skrócie. Oględziny zwłok ujawniły następujące uszkodzenia:

Na głowie, na granicy kości skroniowej i ciemieniowej – rana długości półtora cala i sięgająca kości. Brzegi rany były nierówne, postrzępione... Zadana została tępym narzędziem, prawdopodobnie, jak to potem ustaliliśmy, rękojeścią sztyletu. Na szyi, na wysokości kręgu szyjnego, widoczna była czerwona pręga w kształcie półkola, obejmująca koliście tylną część szyi. Na całej długości pręgi występowały uszkodzenia skóry i nieznaczne podskórne wylewy krwi. Na lewej ręce, o werszek nad nadgarstkiem, znaleziono cztery sińce: jeden od spodu i pozostałe trzy z wierzchu. Spowodował je ucisk, najprawdopodobniej palców, co potwierdza okoliczność, że na jednym z sińców dostrzeżono lekkie zadrażnienie od paznokcia... w miejscu, gdzie znajdowały się sińce, jak pamiętamy, podarty był lewy rękaw kazakina i naderwany do połowy lewy mankiet koszulki... Między czwartym i piątym żebrzem, na linii, którą można by poprowadzić w myśli od pachy prostopadle w dół, znajdowała się duża otwarta rana długości cala. Brzegi jej były równe, jakby przecięte, przesiąknięte rzadką i zakrzepłą krwią... Rana była głęboka... zadana ostrym narzędziem, a konkretnie, jak wynika z uprzednich ustaleń,

kindziałem, którego szerokość odpowiadała wielkości rany.

Sekcja również wykazała uszkodzenie prawego płuca i opłucnej, zapalenie i wylew krwi do opłucnej.

Lekarze, jeśli dobrze pamiętam, wydali następujące orzeczenie: a) śmierć nastąpiła na skutek znacznego upływu krwi; upływ krwi spowodowała otwarta rana z prawej strony piersi; b) ranę głowy należy zaliczyć do ciężkich uszkodzeń ciała, zaś ranę piersi do bezwarunkowo śmiertelnych; tę ostatnią należy uznać za bezpośrednią przyczynę śmierci; c) ranę głowy zadano tępym narzędziem, zaś ranę piersi – ostrym, przy czym najprawdopodobniej obosiecznym; d) wszystkie opisane wyżej uszkodzenia ciała nie mogły być zadane ręką samej denatki i e) zamachu na cnotę niewieścią prawdopodobnie nie było.

Żeby nie zwlekać i potem się nie powtarzać, odtworzę scenę morderstwa, jaka zarysowała się w mej wyobraźni pod pierwszym wrażeniem oględzin, dwóch-trzech przesłuchań oraz lektury protokołu sekcji zwłok.

Olga, odłączywszy się od towarzystwa, spacerowała po lesie. Pogrążona w marzeniach, czy też zatopiona w smętnych myślach (czytelnik pamięta, w jakim była nastroju owego fatalnego wieczoru), zabrnęła daleko w gąszcz. Spotkała się tu z mordercą. Gdy stała pod drzewem i rozmyślała, podszedł do niej jakiś człowiek i zagadnął ją... Człowiek ów nie wyglądał podejrzanie, w przeciwnym wypadku krzyknęłaby wzywając pomocy, ale nie byłby to krzyk rozdzierający serce. Po chwili rozmowy zabójca chwycił ją za lewą rękę, i to tak silnie, że rozdarł rękaw kazakina i koszulki zostawiając ślad w postaci czterech sińców. Wtedy to widocznie krzyknęła, tak, jak usłyszało całe towarzystwo, krzyknęła z bólu i, prawdopodobnie odgadując z twarzy i z ruchów zabójcy jego prawdziwe intencje. Zabójca nie chcąc prawdopodobnie dopuścić, by krzyknęła ponownie, albo, być może, powodowany złością, chwycił ją za suknię pod szyją, o czym świadczą dwa oderwane górne guziki i czerwona pręga na karku... Zabójca, trzymając Olę za gardło i szarpiąc naciągnął wiszący na szyi złoty łańcuszek... Od tarcia i ucisku łańcuszka powstała pręga. Następnie zabójca zadał jej cios w głowę jakimś tępym narzędziem, kijem albo, być może, rękojeścią kindżału, który Olga miała u boku. Rozjuszył się, albo też uznał, że jednej rany mało, obnażył kindżał i z całej siły wbił w jej prawy bok – mówię: z całej siły, bowiem kindżał był tępy.

Tak wygląda ponury obraz, jaki miałem prawo naszkicować na podstawie przytoczonych danych. Pytanie, kim był zabójca, nie nastęczało raczej zbyt trudności, odpowiedź nasuwała się sama.

Po pierwsze, zabójca działał nie dla zysku, lecz z jakichś innych powodów... Jakiś zabłąkany włóczęga czy inny obdartus, łowiący ryby w jeziorze, nie wchodził w rachubę. Krzyk ofiary nie mógł by powstrzymać grabieżcy: zdjęcie broszki i zegarka byłoby sprawą jednej sekundy...

Po wtóre, Olga nie wymieniła zabójcy, a uczyniłaby to, gdyby był to zwykły rabuś. Widocznie zabójca był dla niej kimś droгим i nie chciała, by dosięgła go ciężka kara... Mógł to być jej niespełna rozumu ojciec, mąż, którego nie kochała, lecz wobec którego widocznie czuła się winna, hrabia, wobec którego być może, żywiła w skrytości ducha wdzięczność... Obląkany ojciec w wieczór zabójstwa, jak zeznała później służba, siedział u siebie w leśnym domku i cały wieczór klecił list do naczelnika policji, prosząc go o poskromienie urojonych złodziei, którzy jakoby dniem i nocą grasowali koło jego domu... Hrabia przed i w chwili zabójstwa nie porzucił towarzystwa. Pozostawało tylko jedno: cały ciężar podejrzeń zwalić na nieszczęsnego Urbienina. Jego nagłe pojawienie się, wygląd i temu podobne – wszystko to stanowiło ważkie poszlaki.

Po trzecie, życie Olgi ostatnimi czasy stanowiło nieprzerwany romans. Romans ten pachniał kryminałem. Stary, kochający mąż, zdrada, zazdrość, bicie, ucieczka do kochanka-hrabiego w miesiąc czy dwa po ślubie... Skoro piękna bohaterka takiego romansu została zamordowana, to nie należy szukać złodziei czy grabieżców, lecz przyrzeć się innym bohaterom romansu. Z trzeciego punktu wynikało, że mordercą był tenże Urbienin...

Wstępne dochodzenie przeprowadziłem w sali mozaikowej, gdzie lubiłem się wylegiwać na miękkich kanapach i emablować Cyganki. Najpierw przesłuchałem Urbienina. Przyprawiono go do mnie z pokoju Olgi, w którym cały czas siedział w kącie na taborecie i nie odrywał oczu od pustego łóżka... Przez chwilę stał w milczeniu, patrząc na mnie apatycznie, potem domyśliwszy się widać, że zamierzam rozmawiać z nim jako sędzia śledczy, odezwał się głosem człowieka znużonego, zdruzgotanego nieszczęściem i rozpaczą:

– Niech pan najpierw przesłucha innych świadków, Sergiuszu Pietrowiczu, a potem mnie... Nie mam siły...

Urbienin uważał się za świadka albo też myślał, że poczytają go za takowego...

– Nie, teraz muszę przesłuchać pana – odrzekłem. – Zechce pan usiąść...

Urbienin usiadł naprzeciwko mnie i pochylił głowę. Był zmęczony i chory, odpowiadał niechętnie, toteż z wielkim wysiłkiem wydusiłem z niego zeznania.

Zeznał, że nazywa się Piotr Jegorycz Urbienin, szlachcic, wiek pięćdziesiąt lat, wyznanie prawosławne. Posiada majątek w sąsiednim powiecie K-sim, gdzie przez dwie kadencje pełnił funkcję honorowego sędziego pokoju. Zubożawszy zastawił majątek i postanowił wstąpić na służbę. Sześć lat temu został rządcą u hrabiego. Rozmiłowany w agronomii, nie wstydził się służyć u osoby prywatnej i uważa, że tylko głupcy wstydzą się pracy. Otrzymywał od hrabiego rzetelne wynagrodzenie, na nic się nie może skarżyć. Z pierwszego małżeństwa ma syna i córkę itd., itd.

Z Olgą ożenił się z wielkiej miłości. Z uczuciem tym walczył długo i z uporem, ale

ani zdrowy rozsądek, ani logika człowieka praktycznego i niemłodego na nic się nie zdały: musiał ulec swej namiętności i ożenił się. Wiedział, że Olga nie wychodzi za niego z miłości, ale poczytując ją za osobę w najwyższym stopniu obyczajną, postanowił zadowolić się samą tylko wiernością i przyjaźnią, którą spodziewał się pozyskać.

Dochodząc do miejsca, gdzie zaczynało się rozczarowanie i znieważanie jego siwych włosów, Urbienin poprosił, bym mu pozwolił nie mówić o „przeszłości, którą Bóg raczy jej wybaczyć” lub też, bym odłożył rozmowę o tym na później...

– Nie mam siły... Tak mi ciężko... Zresztą sam pan widział.

– Dobrze, niech będzie i tak... Ale nich mi pan teraz powie: czy to prawda, że bił pan żonę? Mówią, że kiedy znalazł pan u niej bilecik od hrabiego, uderzył ją pan...

– To nieprawda... Schwyciłem ją tylko za rękę, a ona się rozplakała i pobiegła na skargę...

– Czy wiedział pan, co ją łączyło z hrabią?

– Prosiłem pana, żeby odłożyć tę rozmowę... Na co to panu?

– Proszę mi tylko odpowiedzieć na jedno nader ważne pytanie... Czy wiedział pan, co łączyło pańską żonę z hrabią?

– Oczywiście...

– Tak też to zapiszę, a co do dalszych spraw dotyczących się niewierności pańskiej żony, o tym już następnym razem... A teraz przejdziemy do czegoś innego, mianowicie: proszę mi wyjaśnić, jak pan znalazł się w lesie, gdzie została zamordowana Olga Nikołajewna... Był pan przecież w mieście, jak sam pan mówi... Jak się pan znalazł w lesie?

– Tak jest, mieszkam w mieście u kuzynki, od chwili, gdy straciłem posiadłość... Szukałem posady i piłem z rozpaczą... Zwłaszcza w ostatnim miesiącu... Na przykład co było zeszłego tygodnia, nie pamiętam nic a nic, bo piłem bez przerwy... Przedwczoraj również piłem... jednym słowem stoczyłem się. Stoczyłem się bezpowrotnie!

– Miał mi pan opowiedzieć, jak się pan znalazł w lesie...

– Tak jest... Wczoraj rano obudziłem się wcześnie, koło czwartej... Głowa bolała mnie po pijaństwie w dniu poprzednim, łamało mnie w całym ciele, jakbym miał gorączkę... Leżałem na łóżku, widziałem przez okno, jak wschodzi słońce i przypomniały mi się... różne rzeczy... Ciężko mi się zrobiło... Zapragnąłem nagle zobaczyć ją, zobaczyć choćby raz, może ostatni. I wściekłość mnie ogarnęła, i tęsknota... Wyjąłem z kieszeni sto rubli, które przysłał mi hrabia, spojrzałem na nie i zacząłem je deptać... Depcząc tak postanowiłem pójść do niego i cisnąć mu w twarz tę jałmużnę. Choćbym był nie wiem jak głodny i obdarty, nigdy bym nie sprzedał swego honoru i każdą taką próbę poczytywałbym za zniewagę. Tak więc zapragnąłem spojrzeć na Olgę, a jemu, temu

uwodzicielowi, rzucić w pysk jego pieniądze. I tak mnie opanowało to pragnienie, że o mało nie postradałem zmysłów. Na przejazd nie miałem pieniędzy. Tych jego stu rubli nie mogłem przecież ruszyć. Poszedłem piechotą. Na szczęście po drodze spotkałem znajomego chłopca, który za dziesięć kopiejek podwiózł mnie osiemnaście wiorst, bo inaczej szedłbym jeszcze do tej pory. Wsiadłem w Tieniewie. Stamtąd przyszedłem tutaj na piechotę gdzieś koło czwartej.

– Czy ktoś wtedy pana widział?

– Tak jest. Stróż Mikołaj siedział przed bramą i powiedział mi, że państwa nie ma w domu, że są na polowaniu. Upadałem ze zmęczenia, ale pragnienie zobaczenia żony było silniejsze. Ani chwili nie odpoczywając udałem się na miejsce, gdzie odbywało się polowanie. Nie poszedłem drogą, ale zagajnikami... Znam tu każde drzewo i zabłądzić w lasach hrabiowskich byłoby mi tak samo trudno jak we własnym mieszkaniu.

– Ale idąc przez las, a nie drogą, mógł pan rozminąć się z myśliwymi.

– Nie, cały czas trzymałem się drogi, i to tak blisko, że słyszałem nie tylko strzały, ale nawet rozmowy.

– Czyli że nie spodziewał się pan spotkać żony w lesie?

Urbienin spojrział na mnie ze zdziwieniem i po chwili namysłu odrzekł:

– Dziwne pytanie, daruje pan. Nie można przewidzieć spotkania z wilkiem, a tym bardziej nie można spodziewać się strasznych nieszczęść; Bóg zsyła je nagle i niespodziewanie. Weźmy na przykład ten straszny wypadek... Idę sobie lasem Olchowskim, żadnego nieszczęścia się nie spodziewam, bo i tak niemało nieszczęść na mnie spadło, i nagle słyszę straszny krzyk. Krzyk był tak ostry, że wydawało mi się, że ktoś mi przebił ucho... Biegnę na ten krzyk...

Wykrzywiły mu się usta, podbródek zadrżał. Zamrugął oczami i rozsłochał się.

– Biegnę na ten krzyk i nagle widzę... leży Olga. Włosy i czoło całe we krwi, twarz straszna. Zaczynam krzyczeć, wołać do niej po imieniu. Nie rusza się... Całuję ją, podnoszę.

Zakrztusił się i zasłonił twarz rękawem. Po chwili ciągnął dalej:

– Nie widziałem szubrawca... kiedy biegłem do niej, słyszałem czyjeś spieszne kroki... To chyba on uciekał.

– Wszystko to bardzo pięknie wymyślone, Piotrze Jegoryczu – powiedziałem. – Ale, wie pan, sędziowie śledczy nie dają wiary takim zbiegom okoliczności... tam mordują, tu pan sobie spaceruje, i tak dalej. Niezgorzej wymyślone, ale niewiele to tłumaczy.

– Jak to wymyślone? – zapytał Urbienin wybałuszając oczy. – Ja niczego nie

wymyślałem...

Nagle poczerwieniał i wstał.

– Pan chyba mnie podejrzewa... – wymamrotał. – Podejrzewać można oczywiście każdego, ale pan, Sergiuszu Piotrowiczu, zna mnie już od dawna... Wstydziłby się pan tak mnie traktować... Pan mnie przecież zna.

– Znam pana – rzeczywiście... ale moje prywatne zdanie nie ma tu nic do rzeczy... Prywatne zdanie jest udziałem sędziów przysięgłych, to przywilej, zaś sędziego śledczego interesują jedynie poszlaki... A poszlak jest wiele, Piotrze Jegoryczu.

Urbienin spojrzał na mnie z przerażeniem i wzruszył ramionami.

– Jakiegokolwiek byłyby to poszlaki – wyrzekł – powinien pan rozumieć... Czyż ja mogłem... Ja! I to kogo? Zabić przepiórkę czy kulika, no to jeszcze, ale człowieka... człowieka, który był mi droższy nad życie i wieczne zbawienie... sama myśl o którym rozświetlała moje nędzne wegetowanie... I pan mnie podejrzewa!

Machnął ręką i usiadł.

– Życ się człowiekowi nie chce, a pan mnie jeszcze znieważa! Gdyby to jeszcze jakiś nieznajomy urzędnik, ale pan, Sergiuszu Pietrowiczu... Pozwoli pan, że sobie pójdę...

– Proszę... Jutro przesłucham pana ponownie, a tymczasem, Piotrze Jegoryczu, jestem zmuszony wziąć pana pod klucz... Mam nadzieję, że do jutra zdoła pan ocenić ważkość poszlak przemawiających przeciwko panu i przyzna się pan... Że Olgę Nikołajewną zabił pan, co do tego nie mam żadnych wątpliwości... Dziś już nie mam panu nic do powiedzenia... Może pan odejść.

Powiedziawszy to pochyliłem się nad papierami... Urbienin spojrzał na mnie w osłupieniu, wstał i jakoś dziwnie rozpostarł ręce.

– Pan żartuje czy mówi poważnie? – wyrzekł.

– To nie pora na żarty... – odpowiedziałem. – Może pan odejść.

Urbienin wciąż stał jak wryty. Spojrzałem na niego. Był blady i spoglądał w zakłopotaniu na moje papiery.

– A skąd ta krew na pana rękach, Piotrze Jegoryczu? – zapytałem.

Spojrzał na swoje ręce, wciąż poplamione krwią i poruszył palcami.

– Skąd ta krew?... Hm... Jeżeli to ma być jedna z poszlak, to bardzo kiepska poszlaka... Podnosząc zakrwawioną Olgę nie mogłem nie powalać sobie rąk. Nie miałem przecież rękawiczek.

– Powiedział pan przed chwilą, że na widok żony krzyczał pan, wołał o pomoc...

Dlaczego nikt nie słyszał pańskiego krzyku?

– Nie wiem, byłem tak oszołomiony, że nie mogłem głośno krzyczeć... Zresztą, nic nie wiem... Nie mam co się usprawiedliwiać, nie leży to w moich zwyczajach.

– Wątpię, czy pan krzyczał... Po zamordowaniu żony pobiegł pan przed siebie i przeraził się pan widząc ludzi na skraju lasu.

– Nie widziałem żadnych ludzi. Nikogo. Do nikogo nie miałem głowy.

Na tym zakończyłem tego dnia przesłuchanie Urbienina. Wzięto go pod straż i zamknięto w jednej z hrabiowskich oficyn.

Nazajutrz czy też na trzeci dzień przyjechał z miasta prokurator Poługradow – człowiek, na samo wspomnienie którego wpadam w zły nastrój. Proszę sobie wyobrazić wysokiego i chudego jegomościa lat trzydziestu, gładko ogolonego, o włosach kręconych jak u baranka, wyelegantowanego; o rysach twarzy delikatnych, ale tak drewnianych i bez wyrazu, że widać jak na dłoni całą pustkę i fircykowatość tej postaci o głosie cichym, ckliwym i uprzejmym aż do mdłości.

Przyjechał wczesnym rankiem wynajętą bryczką z dwiema walizkami. Przed wszystkim, z nader zatroskanym wyrazem twarzy i skarżąc się kokieteryjnie na zmęczenie, zapytał, czy znajdzie się dla niego lokum w domu hrabiowskim. Na moje polecenie przydzielono mu mały, ale bardzo przytulny pokój wyposażony we wszystko od marmurowej umywalki po zapalki.

– Bądź ła-askaw, mój drogi! Proszę mi przynieść ciepłej wody! – wydał polecenie, rozgościwszy się w pokoju i pociągając z odrazą nosem. – Służba, do licha! Ciepłej wody, proszę...

I nim przystąpił do swych obowiązków, długo się ubierał, mył i czesał; wyczyścił sobie nawet zęby czerwonym proszkiem i przez dłuższą chwilę obcinał ostre różowe paznokcie.

– No więc – zapytał wreszcie kartkując nasze protokoły – o co tu chodzi?

Opowiedziałem mu, o co chodzi, nie pomijając żadnego szczegółu...

– Był pan na miejscu zbrodni?

– Nie, jeszcze nie.

Zastępca prokuratora skrzywił się, pogładził białą kobiecą dłonią świeżo umyte czoło, i zaczął przemierzać pokój.

– Nie jestem w stanie pojąć, dlaczego pan się tam jeszcze nie udał – wymamrotał. – To pierwsza rzecz, którą należało zrobić, jak mi się wydaje. Zapomniał pan czy poczytywał to pan za zbędne?

– Ani jedno, ani drugie: wczoraj czekałem na policję, ale dzisiaj pojedę.

– Tam już teraz nic nie zostało: leje bez przerwy, zresztą dał pan przestępcy czas na zatarcie śladów. Mam nadzieję, że postawił tam pan strażnika? Nie? N-nie rozumiem!

I fircyk wzruszył z powagą ramionami.

– Niech pan pije, bo herbata wystygnie – powiedziałem obojętnym tonem.

– Lubię zimną.

Zastępca prokuratora pochylił się nad papierami i sapiąc na cały pokój jął czytać półgłosem, wtrącając swoje uwagi i poprawki. Ze dwa razy usta wykrzywił mu ironiczny uśmiezek: temu pokrace* nie wiedzieć czemu nie spodobał się ani mój protokół, ani protokół lekarzy. W tym wypolerowanym i wymyтым urzędniku czuło się pedanta nafaszerowanego zarozumiałstwem i poczuciem własnej godności.

W południe byliśmy na miejscu zbrodni. Padał rześisty deszcz. Nie zachowały się oczywiście żadne plamy ani ślady: deszcz rozmył wszystko. Tu i ówdzie znaleźliśmy jedynie: guzik brakujący u amazonki nieboszczki, jakieś drobiazgi, zastępca prokuratora natrafił na jakąś czerwoną miazgę, która się potem okazała czerwonym opakowaniem od tytoniu. Na początku natrafiliśmy na krzak, który miał boczne gałęzie złamane; zastępca ucieszył się: gałęzie mógł złamać zbrodniarz, wskazywałoby to kierunek, w jakim zmierzał po zamordowaniu Olgi. Ale jego radość była przedwczesna: znaleźliśmy niebawem wiele takich krzaków z połamanymi gałęziami i oskubanymi liśćmi; okazało się, że przechodziło tędy bydło.

Po naszkicowaniu planu okolicy i wypyтaniu stangretów, których ze sobą zabraliśmy, o pozycję, w jakiej znaleziono Olgę, wróciliśmy jak niepyszni. Podczas oględzin miejsca zbrodni, w ruchach naszych postronny obserwator mógł dostrzec lenistwo, ociężałość... Być może ruchy nasze po części paraliżowała okoliczność, że zbrodniarz znajdował się już w naszych rękach. Dedukcja à la Lecoq była więc pozbawiona większego sensu.

Wróciwszy z lasu, Poługradow znowu długo się mył i ubierał, znowu zażądał ciepłej wody. Skończywszy z toaletą wyraził pragnienie ponownego przesłuchania Urbienina. Podczas przesłuchania Piotr Jegorycz nie powiedział nic nowego: twierdził w dalszym ciągu, że jest niewinny, i za nic miał nasze poszlaki.

– Dziwię się nawet, jak można mnie podejrzewać – powiedział wzruszając ramionami – dziwne!

– Niech pan nie udaje naiwnego, mój drogi! – rzekł do niego Poługradow. –

* Niepotrzebnie Kamyszew złorzeczy na zastępcę prokuratora. Wina prokuratora polega tylko na tym, że jego fizjonomia nie podoba się p. Kamyszewowi. Uczciwiej byłoby przyznać się do braku doświadczenia lub też do popełnionych błędów – A.Cz.

Bezpodstawnie nikogo się nie podejrzewa, a jeśli podejrzewa się, to widocznie istnieją ku temu przyczyny!

– Jakiegokolwiek byłyby przyczyny, jakkolwiek obciążające byłyby poszlaki, trzeba przecież rozumować po ludzku! Nie mogłem zabić... rozumiecie, panowie? Nie mogłem... Cóż więc warto są wasze poszlaki?

– No! – machnął ręką zastępca prokuratora – nieszczęście z tymi inteligentnymi zbrodniarzami: chłopu można wszystko wmówić, a spróbujcie z takim porozmawiać! Nie mogłem... po ludzku... na psychologię się powołują!

– Nie jestem zbrodniarzem – obraził się Urbienin. – Proszę liczyć się ze słowami...

– Zechce pan zamilknąć, mój drogi! Nie mam czasu na przeproszenie pana i wysłuchiwanie pańskich pretensji... Nie chce się pan przyznać, no to niech się pan nie przyznaje, pozwoli pan tylko, że będziemy go uważać za kłamcę...

– Pańska sprawa – burknął Urbienin – może pan zrobić ze mną, co się panu żywnie podoba... Od tego ma pan władzę...

Urbienin machnął ręką i ciągnął dalej patrząc przez okno:

– Zresztą, wszystko mi jedno: życie stracone.

– Niech pan posłucha, Piotrze Jegoryczu – powiedziałem – wczoraj i przedwczoraj był pan tak przybity nieszczęściem, że ledwie się pan trzymał na nogach i z trudem odpowiadał pan na pytania; dzisiaj, wręcz przeciwnie, wygląda pan stosunkowo kwitnąco i wesoło, ale nie dość na tym, że peroruje pan bez przerwy, to ma pan jeszcze pretensje. Czym wytłumaczyć tak radykalną zmianę?

– A czym pan ją tłumaczy? – zapytał Urbienin mrużąc ironicznie oczy.

– A no tym, że zapomniał pan swojej roli. Trudno przecież długo udawać: albo się zapomina roli, albo staje się to dokuczliwe...

– To wymysł sędziów śledczych – uśmiechnął się Urbienin – przynosi on zaszczyt pańskiej pomysłowości... Tak, ma pan rację: zaszła we mnie duża zmiana...

– Może to pan wyjaśnić?

– Proszę uprzejmie, nie mam co ukrywać: wczoraj byłem tak zgnębiony i przybity nieszczęściem, że myślałem o samobójstwie... albo że zwariuję... ale dzisiaj w nocy rozmyśliłem się... przyszło mi na myśl, że śmierć wybawiła Olgę od rozpustnego życia, wyrwała ją z rąk tego szubrawca, mojego oprawcy; o śmierć nie jestem zazdrosny: lepiej, że Olga dostała się śmierci niż hrabiemu; myśl ta dodała mi otuchy i pokrzepiła mnie; teraz już mi lekko na duszy.

– Sprytnie wymyślone! – wycedził Poługradow kiwając głową. – Ma na wszystko odpowiedź!

– Czuje, że mówię szczerze, i dziwię się, że choć ludzie z was wykształceni, nie potraficie, panowie, odróżnić szczerości od hipokryzji! Zresztą, uprzedzenie to zbyt silne uczucie, trudno się pod jego, wpływem nie pomylić; rozumiem waszą sytuację, wyobrażam sobie, co będzie, gdy uwierzywszy waszym poszlakom, zaczną mnie sądzić... wyobrażam sobie: wezmą pod uwagę moją zwierzęcą fizjonomię, moje pijaństwo... nie mam zwierzęcej fizjonomii, ale uprzedzenie zrobi swoje...

– Dobrze, dobrze, dość tego – powiedział Poługradow pochylając się nad papierami – proszę sobie już iść...

Po odejściu Urbienina przystąpiliśmy do przesłuchania hrabiego. Jego ekscelencja zjawił się w szlafroku i z kompresem z octu na głowie; przywitał się z Poługradowem i rozparty w fotelu jął zeznawać:

– Opowiem wszystko od początku do końca... No, a co porabia teraz prezes Lioński? Nie rozwiódł się jeszcze z żoną? Poznałem go przypadkowo w Petersburgu... Panowie, czym by tu was poczęstować, co? Przy koniaku jakoś weselej się rozmawia... a że winnym morderstwa jest Urbienin, nie ma co do tego żadnych wątpliwości...

I hrabia opowiedział nam wszystko, co już czytelnik dobrze wie. Na prośbę prokuratora opisał ze wszystkimi szczegółami swoje współżycie z ponętą Olgą, i malując jego rozkosze tak się zagalopował, że kilkakrotnie cmoknął i mrugnął porozumiewawczo... Z jego zeznań dowiedziałem się o pewnym ważnym, nie znanym czytelnikowi szczególe. Powiedział, że Urbienin, przebywając w mieście, nieustannie bombardował go listami; w jednych listach przeklinał, w innych błagał, by mu zwrócił żonę, obiecując puścić w niepamięć wszystkie krzywdy i zniewagi; biedak chwycił się tych listów jak ostatniej deski ratunku.

Po przesłuchaniu kilku stangretów zastępca prokuratora zjadł solidny obiad, wygłosił mi cały wykład i odjechał. Przed odjazdem zajrzał do oficyny, gdzie Urbienin był trzymany w areszcie, i oświadczył mu, że nabraliśmy pewności co do jego winy. Urbienin machnął ręką i poprosił, by mu pozwolono wziąć udział w pogrzebie żony, na co wyrażono zgodę.

Poługradow nie okłamywał Urbienina: rzeczywiście nabraliśmy pewności co do jego winy, byliśmy pewni, że wiemy, kim jest zbrodniarz i że jest on w naszych rękach; ale niedługo trwała ta nasza pewność!...

Pewnego pięknego dnia, gdy zajęty byłem opieczętowaniem papierów, wraz z którymi Urbienin miał być odesłany do więzienia, usłyszałem przeraźliwy hałas. Wyjrzawszy przez okno zobaczyłem ciekawe widowisko: z dziesięciu tęgich parobków wlokło z czeladnej jednookiego Kuźmę.

Kuźma, blady i rozczochrany, zapierał się nogami w ziemię i nie mogąc bronić się rękami, tłukł swych prześladowców wielką głową.

– Niech wielmożny pan tutaj pozwoli! – rzekł do mnie zaniepokojony Ilja. – Nie chce przyjść!

– Kto nie chce przyjść?

– Zabójca.

– Jaki zabójca?

– Kuźma... to on zabił, wielmożny panie... Piotr Jegorycz cierpi po próżnicy... jak Boga kocham...

Wyszedłem na podwórze i skierowałem się w stronę kuchni, gdzie Kuźma, zdoławszy wyrwać się z rąk parobków, walił na odlew na prawo i lewo...

– O co chodzi? – zapytałem podchodząc do gromady... Usłyszałem coś dziwnego i nieoczekiwanego.

– Wielmożny panie, to Kuźma zabił!

– Kłamią! – zawył Kuźma. – Jak mi Bóg miły, kłamią!

– To dlaczego, diabelskie nasienie, krew obmywałeś, jeśli masz czyste sumienie? Poczekaj, już wielmożny pan zrobi z tobą porządek!

Strażnik Trifon, przejeżdżając brzegiem rzeki, zauważył, że Kuźma coś pracowicie szorował. Trifon pomyślał z początku, że pierze bieliznę, ale podjechawszy bliżej dostrzegł kapotę i kamizelkę. Wydało mu się to dziwne: sukna się przecież nie pierze.

– Co ty tu robisz? – zawołał Trifon.

Kuźma się zmieszał. Przyjrząwszy się uważniej Trifon dostrzegł rudą plamę na kapocie...

– Zaraz się domyśliłem, że to krew... poszedłem do kuchni i opowiedziałem to wszystko naszym; ci zacaili się i zobaczyli, jak w nocy suszył kapotę w ogrodzie. Po co miałyby prać, gdyby był niewinny? Na złodzieju czapka gore... Myśleliśmy, myśleliśmy i przywlekliśmy go do wielmożnego pana... Włeczemy go, a on się opiera i pluje nam w oczy. Czego się opiera, jeżeli jest niewinny?

Z dalszych pytań wynikało, że Kuźma przed samym zabójstwem udał się do lasu, w tej właśnie chwili, kiedy hrabia z gośćmi siedzieli przy herbacie na skraju lasu. W przenoszeniu Olgi nie brał udziału, nie mógł więc poplamić się krwią.

Przyprowadzony do mojego pokoju Kuźma z początku nie mógł wykrztusić słowa ze zdenerwowania; przewracał ciągle oczyma i przysięgał, że jest niewinny.

– Uspokój się i opowiedz wszystko, to cię zaraz wypuszczę – powiedziałem mu.

Kuźma padł mi do nóg i, jękając się, zaczął przysięgać na wszystkie świętości.

– Niech zginę, jeżeli to ja... Żeby ani ojciec mój, ani matka... wielmożny panie! Niech Bóg mnie skarże...

– Chodziłeś do lasu?

– A jakże, chodziłem... podawałem państwu koniak, i przyznam się, gołnąłem sobie trochę; uderzyło mi to do głowy i zachciało mi się poleżeć; poszedłem, uwalilem się i zasnąłem... A kto zabił i jak, tego nie wiem i wiedzieć nie mogę... Przysięgam, że mówię prawdę!

– A dlaczego krew zmywałeś?

– Bałem się, żeby kto czego złego nie pomyślał i na świadka mnie nie ciągal...

– A skąd się wzięła krew na twojej kapocie?

– Nie mam pojęcia, wielmożny panie.

– Jak to – nie masz pojęcia? Przecież kapota jest twoja?

– Tak jest, moja, ale nie mam pojęcia: krew zobaczyłem, jak się przebudziłem.

– To znaczy, że powalałeś się krwią podczas snu?

– Tak jest...

– No, to idź sobie, bracie, namyśl się... Głupstwa pleciesz; jak się namyślisz, to mi jutro opowiesz... Idź sobie!

Na drugi dzień, gdy się obudziłem, doniesiono mi, że Kuźma pragnie ze mną mówić. Kazałem go przyprowadzić.

– Namyśliłeś się? – zapytałem.

– Tak jest, namyśliłem się...

– No to skąd wzięła się krew na twojej kapocie?

– Proszę wielmożnego pana, przypominam sobie coś jakby we śnie; a czy to prawda, czy nie, sam nie wiem.

– Cóż więc sobie przypominasz?

Kuźma wzniósł w górę swe jedyne oko, pomyślał i odrzekł:

– Dziwne rzeczy... jakby przez sen albo we mgle... Leżę sobie pijany i drzemię, ni to drzemię, ni to całkiem śpię... A tu nagle słyszę, jak ktoś przechodzi i głośno stąpa... Otwieram oczy i widzę, jakby przez mgłę albo we śnie: podchodzi do mnie jakiś pan, nachyla się i wyciera ręce o moje poły... najpierw o poły, a potem po kamizelce rękę przeciągnął... o tak.

– Cóż to był za pan?

– Tego nie wiem; pamiętam tylko, że to nie był chłop, ale pan... ubrany był, jak to panowie się ubierają, a twarzy nic a nic nie pamiętam.

– Jakiego koloru miał ubranie?

– A kto go tam wie! Może białe, a może i czarne... pamiętam tylko, że to był pan, a więcej nic nie pamiętam... Ach tak, przypomniałem sobie, wytarł sobie ręce i powiedział: „Pijane bydlę!”

– A nie przyśniło ci się to?

– Nie wiem... może i przyśniło... tylko skąd wzięła się ta krew?

– Czy ten pan, którego widziałeś, nie był podobny do Urbienina?

– Jakby nie... a może i był podobny... Tylko że pan Urbienin nie wyzywałby od bydlaków.

– Przypomnij sobie... idź, posiedź i pomyśl... może sobie jeszcze coś przypomnisz.

– Słucham wielmożnego pana...

To nieoczekiwane wtargnięcie Kuźmy do kończącego się już prawie dramatu wywołało nieopisane zamieszanie. Zupełnie straciłem głowę i nie wiedziałem, jak mam rozumieć Kuźmę. Wypierał się jakiegokolwiek winy, zresztą śledztwo wstępne przemawiało również za jego niewinnością. Olgę zamordowano nie dla jakiegoś zysku, ani też nie zbezczeszczono jej, jak to ustalili lekarze; można było więc przypuścić, że Kuźma zamordował ją i nie skorzystał ze swojej zbrodni tylko dlatego, że był w sztok pijany, albo też zląkł się, co nie wiązało się zupełnie z okolicznościami, w jakich popełniono morderstwo.

Jeżeli jednak Kuźma był niewinny, to dlaczego nie chciał wyjaśnić pochodzenia krwi na swej kapocie i dlaczego zmyślał sny i majaki? Skąd się wziął ów pan, którego słyszał i widział, lecz nie może sobie nawet przypomnieć koloru jego ubrania? Tu wtrącił się raz jeszcze Poługradow.

– No, widzi pan! – rzekł. – Gdyby pan dokonał natychmiast oględzin miejsca zbrodni, to, proszę mi wierzyć, teraz wszystko byłoby już jasne jak na dłoni! Gdyby pan od razu przesłuchał całą służbę, to wiedzielibyśmy już wtedy, kto niósł Olgę Nikołajewę, a kto nie, a teraz nie jesteśmy nawet w stanie ustalić, w jakiej odległości od miejsca zbrodni leżał ten pijak!

Ze dwie godziny męczył się z Kuźmą, ale nie dowiedział się od niego niczego nowego; Kuźma powtórzył raz jeszcze, że w jakimś pólśnie widział tego pana, że pan ten wytarł ręce o poły jego kapoty i nawymyślał mu od „pijanych bydlaków”, ale kto to był, jaką miał twarz i ubranie, nie powiedział.

– A ileś ty tego koniaku wypił?

– Z pół butelki.

– A może to nie był koniak?

– Koniak, prawdziwy *fine-champagne...*

– Patrzajcie, on się nawet zna na koniakach! – uśmiechnął się zastępca prokuratora...

– Miałbym się nie znać! Chwała Bogu, już ze trzydzieści lat służę jaśniepaństwu, wielki czas się nauczyć...

Zastępca prokuratora zażądał nie wiedzieć czemu konfrontacji Kuźmy z Urbieninem... Kuźma długo patrzył na Urbienina, pokręcił głową i rzekł:

– Nie, nie pamiętam... może to był Piotr Jegorycz, a może i nie on... Kto go tam wie.

Poługradow machnął ręką i odjechał, pozostawiając mnie wybór jednego z dwóch ewentualnych morderców.

Śledztwo przeciągało się... Urbienina i Kuźmę zamknięto w areszcie mieszczącym się w wiosce, gdzie mieszkałem. Biedny Piotr Jegorycz upadł zupełnie na duchu, postarzał się, posiwiiał i wpadł w mistyczny nastrój; parokrotnie prosił mnie o przysłanie mu kodeksu karnego; ciekawy był widać, co mu grozi.

– Co będzie z moimi dziećmi? – zapytał mnie podczas jednego z przesłuchań. – Gdybym był samotny, pańska pomyłka nie byłaby dla mnie taka straszna, ale muszę przecież żyć... żyć dla dzieci! Zginą beze mnie, a ja... nie mogę się z nimi rozstać! Co pan ze mną wyprawia?!

Kiedy stróż zaczął mówić mu „ty” i kiedy ze dwa razy musiał przejść pieszo ze wsi do miasta i z powrotem pod strażą, na oczach wszystkich znajomych, wpadł w rozpacz i zaczął histeryzować.

– To nie prawnicy! – krzyczał na cały areszt. – To okrutne młokosy bez serca, drwiący sobie z ludzi i prawdy! Ja wiem, dlaczego tu siedzę, wiem! Chcą zwalić na mnie winę, żeby ukryć prawdziwego winowajcę! To hrabia zamordował, a jeśli nie on, to jego najemnik!

Kiedy dowiedział się o zatrzymaniu Kuźmy, z początku bardzo się ucieszył.

– No i znalazł się najemnik! – rzekł do mnie. – No i się znalazł! Lecz wkrótce, gdy zobaczył, że go nie wypuszczają i, kiedy poinformowano go o zeznaniach Kuźmy, znowu posmutniał.

– Teraz jestem zgubiony – mówił – zgubiony z kretesem: żeby wyjść z więzienia, ten ślepy diabeł Kuźma wcześniej czy później powie, że to ja wycierałem ręce o poły jego kapoty. Ale przecież pan widział, że miałem ręce nie wytarte.

Wcześniej czy później wątpliwości nasze musiały się rozproszyć.

W końcu listopada tegoż roku, kiedy przed moimi oknami wirowały płatki śniegu, a jezioro wyglądało jak niezmierna biała pustynia, Kuźma poprosił o widzenie się ze mną: przysłał do mnie stróża z wiadomością, że się już „namyślił”. Kazałem go przyprowadzić do siebie.

– Bardzo mnie cieszy, żeś się już wreszcie namyślił – rzekłem na wstępie – czas już wielki skończyć z tym wodzeniem nas wszystkich za nos, jak jakichś smarkaczy. No więc, co powiesz?

Kuźma nie odpowiadał; stał pośrodku pokoju i przyglądał mi się w milczeniu nieruchomym wzrokiem... W jego oczach widziałem przestach; zresztą cały jego wygląd świadczył o tym, że jest przerażony: był blady i drżał, na twarzy wystąpił mu zimny pot.

– No więc, coś sobie przypomniał? – powtórzyłem.

– Coś takiego dziwnego, że nawet trudno pomyśleć... – rzekł. – Wczoraj przypomniałem sobie krawat, jaki miał ten pan, a dzisiaj w nocy i jego twarz sobie przypomniałem.

– No więc, kto to był?

– Strach powiedzieć, wielmożny panie, niech mi pan pozwoli nie mówić: to jest takie dziwne, chyba zdawało mi się albo przyśniło...

– Ale kto ci się przyśnił, mówże?

– Nie, niech już wielmożny pan nie każe mi mówić: jak powiem, to mnie jeszcze zasądzą... Niech mi wielmożny pan pozwoli namyślić się do jutra... Boję się.

– Tfu! – rozzłościłem się. – Po co mi zawracasz głowę, jak nie chcesz mówić? Po coś tu przychodził?

– Myślałem, że powiem, lecz teraz się boję. Nie, wielmożny panie, niech mnie pan puści... powiem jutro... Jak powiem, to się pan tak na mnie rozgniewa, że na Sybir mało będzie mnie posłać, zasądzi pan...

Rozgniewałem się i kazałem Kuźmę wyprowadzić.* Tego samego dnia wieczorem, by nie tracić czasu i skończyć czym prędzej z tą nieznośną „sprawą morderstwa”, udałem się do aresztu i, chcąc sprowokować Urbienina, powiedziałem mu, że Kuźma wskazał jego jako zabójcę.

* Ładny mi sędzia śledczy! Zamiast dalej przesłuchiwać Kuźmę i wymóc na nim rzeczowe zeznania, rozgniewał się – zajęcie nie wchodzące w zakres obowiązków urzędnika. Zresztą, niezbyt temu wszystkiemu wierzę... Jeśli p. Kamyszew nie przywiązywał większej wagi do swych obowiązków, to do dalszego przesłuchania winna go była nakłonić zwykła ciekawość. – A.Cz.

– Spodziewałem się tego... – odrzekł Urbienin machnąwszy ręką – wszystko mi jedno...

Zamknięcie w odosobnieniu silnie oddziało na niedźwiedzi organizm Urbienina: zżółkł, stracił niemal połowę swej wagi. Obiecałem mu, że każę stróżom wypuszczać go na spacer po korytarzu podczas dnia, a nawet i w nocy.

– Nie obawiam się, że pan ucieknie – powiedziałem.

Urbienin podziękował i zaraz po moim odejściu wyszedł sobie na korytarz: drzwi jego celi więcej już nie zamykano. Wychodząc od niego zapukałem do celi Kuźmy.

– No jak, namyśliłeś się?

– Nie, wielmożny panie... – rozległ się słaby głos – niechaj przyjedzie pan prokurator, to jemu powiem, a panu tego nie wyznam.

– Jak sobie chcesz...

Na drugi dzień z rana wszystko się rozwiązało.

Dozorca Jegor przybiegł do mnie i zameldował, że jednooki Kuźma został znaleziony martwy na swojej pryczy. Udałem się do aresztu i przekonałem się o tym naocznie... Zdrowy, rosły chłop, który jeszcze wczoraj tryskał zdrowiem i wymyślał różne bajeczki, by się uwolnić, leżał teraz bez ruchu, zimny jak głaz... Nie będę opisywał przerażenia mego i strażnika – jest to chyba zrozumiałe. Dla mnie Kuźma miał szczególne znaczenie jako oskarżyciel i świadek, dla strażników był to aresztant, za którego śmierć lub ucieczkę czekała ich surowa kara... Przerazenie nasze było tym większe, że przeprowadzona sekcja zwłok wykazała śmierć gwałtowną... Kuźma zmarł uduszony... Przekonawszy się o tym, zająłem się poszukiwaniem sprawcy. Niedługo musiałem szukać... Był blisko...

Udałem się do celi Urbienina i nie mogąc się pohamować, nie pomnąc, że sędzia śledczy, nie owijając słów w bawełnę nazwałem go mordercą.

– Mało panu było, łajdaku, śmierci nieszczęsnej żony – powiedziałem – zachciało się panu jeszcze śmierci człowieka, który pana wydał! Przystanie chyba już pan teraz odgrywać swą nikczemną, łotrowską komedię!

Urbienin pobladł okropnie i zachwiał się...

– Pan kłamie! – krzyknął uderzając się pięścią w pierś.

– To nie ja kłamie! To pan przelewał krokodyłe łzy nad naszymi poszlakami, drwił sobie pan z nich... Bywały chwile, że pragnąłem uwierzyć raczej panu niż poszlakom... O, dobry z pana aktor!... Ale teraz już panu nie uwierzę, nawet gdyby z pańskich oczu zamiast tych aktorskich, fałszywych łez popłynęła krew. Niech się pan przyzna, to pan zamordował Kuźmę!

– Pan jest albo pijany, albo też znęca się nade mną! Sergiuszu Pietrowiczu, każda cierpliwość i pokora ma swoje granice! Ja tego nie zniosę!

I Urbienin z błyszczącymi groźnie oczyma grzmotnął pięścią w stół.

– Miałem wczoraj nieostrożność dać panu nieco swobody – ciągnąłem – pozwoliłem panu na to, na co nie pozwala się innym aresztantom: spacerować po korytarzu. I oto, jakby przez wdzięczność, zakrada się pan do celi tego nieszczęśnika Kuźmy i dusi go podczas snu! Czy pan wie, że przez pana zginął nie tylko Kuźma, ale i strażnicy?

– Co ja takiego zrobiłem, wielki Boże! – zawołał Urbienin chwytając się za głowę.

– Chce pan dowodów? Proszę bardzo... Pańskie drzwi, stosownie do mojego rozkazu, były otwarte... niedorajdy strażnicy otworzyli je i zapomnieli odczepić kłódkę... wszystkie cele są zamykane jednakowymi kłódkami... W nocy wziął pan swój klucz, wyszedł na korytarz i otworzył nim drzwi swojego sąsiada... Zadusił go pan, zamknął pan drzwi z powrotem, a klucz włożył do swojej kłódki.

– Ale po co miałem go udusić? Za co?

– Za to, że wskazał na pana... Gdybym wczoraj nie powiedział panu tego, co Kuźma mi wyznał, to żyłby jeszcze... Grzech i wstyd, Piotrze Jegoryczu!

– Sergiuszu Pietrowiczu, młodzieńcze! – przemówił nagle ciepłym, łagodnym głosem zabójca chwytając mnie za rękę. – Jest pan przecież uczciwym i porządnym człowiekiem... Niech pan nie hańbi siebie niesprawiedliwymi podejrzeniami i pochopnymi oskarżeniami! Nie zdaje sobie pan sprawy z tego, jak okrutnie i boleśnie znieważył pan mnie, Bogu ducha winnego, tym nowym oskarżeniem... Jestem męczennikiem, Sergiuszu Pietrowiczu! Niech pan nie krzywdzi męczennika! Przyjdzie chwila, kiedy będzie mnie pan prosił o przebaczenie, i to niedługo... Jak można mnie oskarżać, doprawdy! Ale wtedy to przebaczenie nie zaspokoi pańskiego sumienia... Zamiast rzucać się na mnie i tak obrażać, lepiej by pan po ludzku – nie mówię po przyjacielsku, nie: nie przyznaje się już pan do naszych dobrych stosunków – lepiej by pan mnie przesłuchał... Jako świadek i pański pomocnik wyświadczyłbym sprawiedliwości o wiele większą przysługę niż jako oskarżony. Weźmy choćby nawet to nowe oskarżenie... Wiele bym mógł o tym panu powiedzieć: w nocy spać nie mogłem i wszystko słyszałem...

– Co pan słyszał?

– W nocy, gdzieś koło drugiej... było zupełnie ciemno. Ktoś cicho chodził po korytarzu i wciąż dotykał moich drzwi... chodził – chodził, a potem otworzył moje drzwi i wszedł.

– Kto?

– Nie wiem: było ciemno – nie widziałem... Postał chwilkę w mojej celi i

wyszedł... i właśnie tak, jak pan mówił – wyjął mój klucz z drzwi i otworzył sąsiednią celę. Po chwili usłyszałem charczenie, a potem jakiś hałas. Myślałem, że to dozorca, a charczenie wziąłem za chrapanie, inaczej podniósłbym krzyk.

– To są bajki! – odparłem. – Oprócz pana nikt nie mógł zabić Kuźmy. Strażnicy spali. Żona jednego z nich, która nie spała całą noc, powiedziała mi, że wszyscy trzej dozorczy spali jak zabici i nie opuszczali swych łóżek ani przez chwilę; nieszczęśni nie wiedzieli, że w takim marnym areszcie mogą siedzieć tak niebezpieczne bestie. Służą tutaj od lat dwudziestu i przez cały ten czas nie było ani jednego wypadku ucieczki, nie mówiąc już o takiej ohydzie jak zabójstwo. Teraz, dzięki panu, całe ich życie jest zmarnowane; mnie się też zresztą dostanie za to, że nie przesłałem pana do więzienia gubernialnego i pozwoliłem panu na spacer po korytarzu. Dziękuję panu!

Była to moja ostatnia rozmowa z Urbieninem. Więcej już nigdy z nim nie rozmawiałem, jeżeli nie liczyć dwóch-trzech pytań, które zadał mi jako świadkowi z ławy oskarżonych...

Opowieść moja nosi w tytule przymiotnik „kryminalna”, teraz zaś, gdy „sprawa zabójstwa Olgi Urbieninej” zawikłana została o kolejne zabójstwo, niezbyt zrozumiałe i pod wieloma względami tajemnicze, czytelnik ma prawo oczekiwać, że opowieść weszła w najciekawszą fazę. Ujawnienie sprawcy i motywów zbrodni stwarza rozległe pole do popisu dla konceptu i sprawności umysłowej. Zła wola i przebiegłość prowadzi wojnę z wiedzą, wojnę interesującą w każdym swym przejawie...

Prowadziłem wojnę i czytelnik ma prawo oczekiwać ode mnie opisu środków, które przyniosły mi zwycięstwo i z pewnością spodziewa się on subtelności śledczych, którymi tak olśniewają powieści Emila Gaboriau i Szklariewskiego; gotów byłbym zadośćuczynić tym oczekiwaniom, ale... jedna z osób działających porzuca pole bitwy, nie doczekawszy się jej wyniku – zwycięstwo nie staje się jej udziałem i wszystko, co uczyniła wcześniej, idzie na marne, ona zaś miesza się z tłumem widzów. Tą osobą działającą jest pokorny sługa czytelnika. Nazajutrz po wspomnianej rozmowie z Urbieninem otrzymałem propozycję czy też raczej rozkaz podania się do dymisji. Plotki i obmowa powiatowych kumoszek zrobiły swoje... Usunięciu mnie ze stanowiska sprzyjało także zabójstwo w areszcie, zeznania, jakie służba złożyła zastępcy prokuratora w tajemnicy przede mną, a także, jeśli czytelnik pamięta, cios, jaki zadałem chłopu wiosłem w głowę w czasie jednej z pijackich nocy. Chłop zaskarżył mnie do sądu. Sytuacja uległa radykalnej zmianie. W przeciągu jakichś dwóch dni musiałem przekazać sprawę zabójstwa sędziemu śledczemu wyższej instancji.

Plotki i korespondencje w gazetach podniosły na nogi cały nadzór prokuratorski. Prokurator przyjeżdżał co drugi dzień do hrabiowskiego dworu i brał udział w przesłuchiwaniach. Protokoły naszych lekarzy odsyłano do Izby Lekarskiej i dalej. Przebąkiwano nawet o ekshumacji i ponownej sekcji zwłok, co by nawiasem mówiąc nic nie dało.

Urbienina zawieziono ze dwa razy do miasta gubernialnego dla zbadania jego władz umysłowych, i za każdym razem uznawano go za w pełni poczytalnego. Zacząłem występować w charakterze świadka.* Nowi sędziowie śledczy tak się przejęli sprawą, że nawet mojego Polikarpa powołali na świadka.

W rok po mojej dymisji, kiedy mieszkałem już w Moskwie, otrzymałem wezwanie na rozprawę sądową w sprawie Urbienina. Rad ze sposobności zobaczenia dobrze znanych mi okolic wyruszyłem w drogę. Hrabia, który mieszkał w Petersburgu, nie przyjechał i wytłumaczył się świadectwem lekarskim.

Sprawę rozpatrywano w naszym mieście powiatowym w tamtejszym wydziale sądu okręgowego. Oskarżycielem był Poługradow, ten sam, który po cztery razy dziennie czyścił sobie zęby czerwonym proszkiem; obrońcą zaś – niejaki Smirniajew, wysoki, chudy blondyn o sentymentalnym wyrazie twarzy i długich gładkich włosach. Sędziowie przysięgli składali się wyłącznie z mieszczan i chłopów; tylko czterech z nich było piśmiennych, pozostali, gdy im dawano do wglądu listy Urbienina do żony, pocili się i peszyli. Na czele sądu przysięgłych stał sklepikarz Iwan Diemianycz, ten sam, który użył swego imienia mej nieboszczce papudze.

Wchodząc na salę sądową nie poznałem Urbienina: był zupełnie siwy i fizycznie postarzał się o jakie dwadzieścia lat. Spodziewałem się, że wyczytam na jego twarzy obojętność wobec własnego losu i apatię, lecz oczekiwania moje nie sprawdziły się – Urbienin zmobilizował całą swą energię; odrzucił oskarżenia trzech sędziów przysięgłych, wdawał się w obszerne wyjaśnienia i zadawał pytania świadkom; wypierał się stanowczo swej winy i każdego, kto nie świadczył na jego korzyść, wypytywał bardzo długo.

Świadek Przechocki zeznał, że byłem kochankiem Olgi.

– To kłamstwo! – krzyknął Urbienin – on kłamie! Żonie mojej nie wierzę, ale jemu wierzę!

Kiedy składałem zeznania, obrońca zapytał mnie, jakie stosunki łączyły mnie z Olgą, i zapoznał mnie z zeznaniami Przechockiego, który mnie kiedyś okłaskiwał. Powiedzenie prawdy równoznaczne było z zeznaniem na korzyść oskarżonego: im bardziej rozpustna żona, tym wyrozumialszy są sędziowie przysięgli dla męża – Otella, świetnie zdawałem sobie z tego sprawę... Z drugiej strony, powiedzenie prawdy znieważyłoby Urbienina... mogło go boleśnie zranić... Uznałem, że lepiej będzie skłamać.

– Nie! – powiedziałem.

W mowie swej prokurator, opisując w barwnych słowach morderstwo Olgi, zwracał

* Rola bardziej oczywiście odpowiednia dla p. Kamyszewa niżli rola sędziego śledczego: w sprawie Urbienina nie mógł występować w charakterze sędziego śledczego. – A.Cz.

szczególną uwagę na bestialstwo mordercy, na jego zaciekłość... „Oto stary rozpustnik, lubieżnik, ujrzał ładną i młodą dziewczynę. Znając jej koszmarną sytuację domową, obłąkanego ojca, wabi ją kawałkiem chleba, mieszkaniem i fatalaszkami... Ona przystaje na to: zamożny mąż-starzec to jednak coś lepszego od obłąkanego ojca i nędzy. Ale ona jest młoda, a młodość, panowie przysięgli, ma swoje niezaprzeczone prawa... Dziewczyna, wychowana na powieściach i na łonie przyrody, wcześniej czy później musiała pokochać...” i tak dalej, w tym stylu. Kończyło się to tym, że „on, który nie dał jej nic prócz swej starości i kolorowych fatalaszków, widząc umykającą zdobycz, wpada w furię jak zwierzę, któremu przytknięto rozpalone żelazo do pyska. Kochał po zwierzęcemu i nienawidzić musiał jak zwierzę” i temu podobne.

Oskarżając Urbienina o zabójstwo Kuźmy, Poługradow wskazywał na to, jakich złodziejskich sposobów miał się sprawca mordując „śpiącego człowieka, który nieopatrznie w przeddzień obciążył go swymi zeznaniami. A że Kuźma zamierzał opowiedzieć sędziemu śledczemu właśnie o nim, nie ma co do tego, jak sędzę, panowie przysięgli, żadnych wątpliwości”.

Obrońca Smirniajew nie negował winy Urbienina, prosił jedynie, by uznano, iż Urbienin działał pod wpływem afektu i by w związku z tym potraktowano go z całą wyrozumiałością. Opisując udreki, jakie towarzyszą uczuciu zazdrości, powołał się na przykład szekspirowskiego Otella. Zanalizował wszechstronnie ten „ogólnoludzki typ”, przytaczając cytaty z różnych rozpraw krytycznych i tak się zaplątał, że przewodniczący musiał mu przerwać uwagę, iż „znajomość literatury obcej nie jest dla sędziów przysięgłych obowiązkowa”.

Korzystając z ostatniego słowa Urbienin wezwał Boga na świadka, że nie zgrzeszył ani myślą, ani uczynkiem.

– Osobiście jest mi obojętne, gdzie będę przebywać: czy w tym powiecie, gdzie wszystko przypomina mi moją niezasłużoną hańbę, czy na katordze, ale niepokoję się o los moich dzieci.

I odwróciwszy się do publiczności, Urbienin rozplakał się prosząc, by zaopiekowano się jego dziećmi.

– Proszę je przygarnąć. Hrabia nie omieszka popisać się swą wspaniałomyślnością, ale ja już uprzedziłem dzieci: nie przyjmą od niego żadnej jałmużny.

Spostrzegłszy mnie wśród publiczności, rzucił mi błagalne spojrzenie i rzekł:

– Niech pan obroni moje dzieci przed dobrodziejstwami hrabiego.

Zapomniał widać o mającym zapaść werdykcie i cały pogrążył się w myślach o dzieciach. Mówił dopóty, dopóki nie przerwał mu przewodniczący.

Sędziowie przysięgli nie naradzali się długo. Uznali Urbienina za winnego i nie dopatrzyli się żadnych okoliczności łagodzących.

Skazano go na piętnaście lat ciężkich robót, pozbawiając na ten czas wszelkich praw obywatelskich i publicznych.

Taką cenę zapłacił za spotkanie pewnego majowego poranka z poetyczną „dziewczyną w czerwieni”...

Od czasu opisanych wydarzeń minęło już z górą osiem lat. Jedni uczestnicy dramatu zeszli z tego świata i ich ciała zdążyły już zgnić, drudzy pokutują za swe grzechy, inni jeszcze wiodą żywot zmagając się z nudą, i z dnia na dzień oczekując śmierci.

Przez te osiem lat wiele się zmieniło... Hrabia Karniejew, wciąż żywiąc do mnie uczucie serdecznej przyjaźni, rozpił się do reszty. Jego dwór, który posłużył za miejsce dramatu, przeszedł na własność jego żony i Przechockiego. Nic mu nie pozostało po dawnej fortunie i jest teraz na moim utrzymaniu. Czasami, pod wieczór, leżąc w moim pokoju hotelowym na kanapie, lubi wspominać dawne czasy.

– Dobrze by było teraz Cyganów posłuchać – mamrocze – pošlij po koniak, Sierioża.

Ja również się zmieniłem. Ubywa mi stopniowo sił i czuję, jak zdrowie i młodość mnie opuszczają. Nie mam już tej siły fizycznej ani zręczności, ani wytrzymałości, którymi popisywałem się niegdyś, nie śpiąc całymi nocami i wypijając takie ilości, jakim bym dziś chyba nie podolał.

Na twarzy jedna po drugiej pojawiają się zmarszczki, włosy mi rzedną, głos chrypcie i słabnie... Życie minęło...

Dni minione pamiętam jak dzień wczorajszy. Jak we mgle widzę miejsca i postaci ludzkie. Nie jestem w stanie odnosić się do nich bezstronnie. Kocham i nienawidzę ich z dawną siłą, i nie ma dnia, żebym, ogarnięty uczuciem oburzenia lub nienawiści, nie chwycił się za głowę. Hrabia jest mi jak dawniej wstrętny, Olga odpychająca, Kalinin śmieszny w swojej chełpliwości. Zło poczytuję za zło, grzech – za grzech.

Bywają jednak rzadkie chwile, kiedy wpatrując się w stojący na moim biurku portret, czuję nieprzeparte pragnienie, by pospacerować sobie z „dziewczyną w czerwieni” po lesie wśród szumiących sosen i by przytulić ją do piersi nie zważając na nic. W takich chwilach przebaczam kłamstwo i upadek, gotów jestem wszystko wybaczyć, byleby wróciła choćby cząstka przeszłości... Znużony nudą miejską, pragnąłbym raz jeszcze posłuchać ryku jeziora-olbrzyma i pocwałować jego brzegiem na swej Zorce... Wybaczyłbym i puścił wszystko w niepamięć, bylebym raz jeszcze mógł przejść się drogą do Tieniewa i spotkać ogrodnika Franza z jego beczułką na wódkę i kaszkietem na głowie... Bywają chwile, kiedy gotów byłbym nawet uścisnąć rękę zbroczoną krwią i porozmawiać z poczciwym Piotrem Jegoryczem o religii, urodzaju, oświacie dla ludu... Chciałbym zobaczyć „szparkę” z jego Nadią...

Życie szalone, hulaszcze i niespokojne jak jezioro w noc sierpniową... Ileż to ofiar spoczywa pod jego ciemnymi falami... Na dnie leży ciężki osad...

Ale za co je kocham w pewnych chwilach? Za co wybaczam mu i lgnę doń całą duszą jak czuły syn, jak ptak wypuszczony z klatki?

Życie, które widzę teraz przez okno pokoju hotelowego, przypomina mi szary krąg: szary kolor bez żadnych odcieni, żadnych jasnych przebłysków...

Lecz gdy zamykam oczy i wspominam dni minione, widzę tęczę z jej słonecznym spektrem... Tak, tam jest burzliwie, ale też i jaśniej...

S. Zinowiew

KONIEC

U dołu rękopisu dopisek:

Szanowny Panie Redaktorze!

Opowiadanie niniejsze (czy też opowieść, jak pan woli) proszę wydrukować w miarę możliwości bez skrótów, opuszczeń i wstawek. Zresztą konieczne zmiany można będzie wprowadzić w porozumieniu z autorem. Gdyby rękopis do druku się nie nadawał, proszę o przechowanie go do chwili, gdy się po niego zgłoszę. Moje (tymczasowe) miejsce zamieszkania: Moskwa, ul. Twerska, hotel „Anglia”. Iwan Pietrowicz Kamyszew. P.S. Honorarium do uznania redakcji.

Data.

Zaznajomiwszy czytelnika z powieścią Kamyszewa, powracam teraz do przerwanej rozmowy z nim. Muszę przede wszystkim uprzedzić, że obietnicy złożonej czytelnikowi na początku opowieści nie dotrzymano: powieść Kamyszewa wydrukowano nie bez opuszczeń, nie *in toto*, jak to obiecywałem, lecz ze znacznymi skrótami. Chodzi o to, że *Dramat na polowaniu* nie mógł zostać opublikowany w gazecie, o której była mowa w rozdziale pierwszym tej opowieści: gazeta przestała istnieć, kiedy rękopis składano do druku... Obecna zaś redakcja, która przygarnęła powieść Kamyszewa, nie uznała za stosowne wydrukować ją bez cięć. Za każdym razem w czasie druku przysyłano mi korektę poszczególnych rozdziałów z prośbą o „poprawienie”. Nie chciałem jednakże brać na siebie odpowiedzialności za poprawianie cudzego tekstu i uważałem, że lepiej już i korzystniej jest coś opuścić, niżli poprawiać kłopotliwy fragment. W porozumieniu ze mną redakcja opuściła sporo fragmentów szokujących swym cynizmem, dłużyznami,

nieporadnościami natury stylistycznej. Opustki te i cięcia wymagały taktu i czasu, toteż z wieloma rozdziałami spóźniono się. Opuszczono między innymi dwa opisy nocnych orgii. Jedna miała miejsce w domu hrabiego, druga na jeziorze. Pominięto opis biblioteki Polikarpa oraz jego oryginalny sposób czytania: miejsce to uznano za nazbyt rozciągnięte i przeszarżowane.

Najbardziej się upierałem przy rozdziale, który najmniej się podobał redakcji, zawierającym opis zawziętej gry w karty, którą pasjonowała się służba hrabiego. Najbardziej namiętnymi graczami byli ogrodnik Franz i starucha Syczicha; grali przeważnie w stukulkę i w trzy karty. Podczas śledztwa Kamyszew, przechodząc raz koło jednej z altan i zajrzawszy do niej, zobaczył obłądną grę: grali Syczicha Franz i ... Przechocki. Grali w stukulkę, w ciemno, ze stawką 90 kop.; wysokość puli dochodziła do 30 rubli. Kamyszew przysiadł się do graczy i „oskubał” ich jak kuropatwy. Ograny Franz, pragnąc grać dalej, udał się nad jezioro, gdzie schował swoje pieniądze. Kamyszew wyśledził jego kryjówkę i okradł ogrodnika nie zostawiając mu ani kopiejki. Skradzione pieniądze oddał rybakowi Michiejowi. Ta dziwna filantropia świetnie charakteryzuje narwanego sędziego śledczego, lecz opisana została tak niedbale, a rozmowy partnerów upstrzone są takimi perełkami plugawych przekleństw, że redakcja nie zgodziła się na żadne ekwiwalenty.

Opuszczono szereg spotkań Olgi z Kamyszewem; usunięto jedną z jego rozmów z Nadią Kalinią, itd. Sądzę jednak, że i tego, co pozostało, wystarczy dla charakterystyki mojego bohatera. *Sapienti sat...*

Równow w trzy miesiące później woźny redakcyjny Andrzej zameldował mi o przyjsciu „pana w czapce z bączkiem”.

– Proś! – powiedziałem.

Wszedł Kamyszew, zdrowy i piękny jak trzy miesiące temu. Kroki jego były jak przedtem bezszelestne... Położył czapkę na oknie z taką ostrożnością, jakby to był jakiś spory ciężar... Z jego niebieskich oczu promieniało tak samo coś dziecięcego, nieskończenie dobrodusznego...

– Znowu pana niepokoję! – zaczął uśmiechając się i ostrożnie siadając. – Zechce mi pan łaskawie wybaczyć. No i cóż? Jaki wyrok został wydany na mój rękopis?

– Nie jest bez grzechu, ale zasługuje na pobłażliwość – odrzekłem.

Kamyszew zaśmiał się i wytarł nos naperfumowaną chusteczką.

– A więc zesłanie na pastwę płomieni? – zapytał.

– Skądże, po cóż tak surowo? Na karę nie zasługuje, zastosujemy środki zaradcze.

– Trzeba coś przerobić?

– Tak, coś niecoś... po wzajemnym porozumieniu...

Przez chwilę milczeliśmy obydwaj. Serce mocno mi biło i pulsowało mi w skroniach, ale nie chciałem się zdradzić ze swym wzruszeniem.

– Po wzajemnym porozumieniu – powtórzyłem. – Ostatnim razem mówił mi pan, że u podstaw pańskiej opowieści legło zdarzenie autentyczne.

– Tak jest, i teraz gotów jestem powtórzyć to samo. Jeśli pan czytał moją powieść, to... mam zaszczyt się przedstawić: moje nazwisko Zinowiew.

– To znaczy, że pan był drużbą na ślubie Olgi Nikołajewny?

– I drużbą, i przyjacielem domu... Nieprawdaż, że wyglądam sympatycznie w tej powieści? – zaśmiał się Kamyszew gładząc sobie kolano i czerwieniąc się. – Ładnie, co? W skórę powinienem dostać, ale nie ma komu mi dać.

– Ta-ak... Pańska powieść podoba mi się... jest lepsza i ciekawsza od wielu powieści kryminalnych... Tylko będziemy musieli, po wzajemnym porozumieniu, dokonać w niej zasadniczych przeróbek...

– Niech i tak będzie. Co mianowicie?

– Choćby sam *habitus* powieści, jej fizjonomię. Jak przystoi powieści kryminalnej, jest w niej wszystko: zbrodnia, poszlaki, śledztwo, nawet piętnastoletnia katorga na deser, ale nie ma rzeczy najistotniejszej.

– Czegóż to?

– Nie ma prawdziwego winowajcy...

Kamyszew zrobił wielkie oczy i uniósł się na krześle.

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem pana – rzekł po chwili milczenia – jeżeli nie uważa pan za prawdziwego winowajcę człowieka, który zasztyletował i udusił, to... doprawdy nie wiem, kogo należy uważać za winnego. Naturalnie każdy przestępca jest wytworem społeczeństwa i społeczeństwo ponosi winę, ale... gdybyśmy chcieli wdawać się w głębsze rozważania, to należałoby przestać pisać powieści, a wziąć się do referatów.

– Co mają do tego głębsze rozważania! Przecież to nie Urbienin zabił!

– Jak to? – zapytał Kamyszew przysuwając się do mnie.

– Nie Urbienin!

– Być może. *Errare humanum est* – sędziowie śledczy też nie są doskonali. Pomyłki sądowe zdarzają się często na tym najlepszym ze światów. Uważa pan, że popełniliśmy pomyłkę?

– Nie, pan się nie pomylił, pan chciał się pomylić.

– Wybacz pan, ale znowu pana nie rozumiem – uśmiechnął się Kamyszew. – Jeśli pan uważa, że śledztwo doprowadziło do pomyłki, i to do rozmyślnej pomyłki, to ciekaw

jestem pańskiego zdania w tej sprawie. Jak pan sądzi, kto zabił?

– Pan!!!

Kamyszew popatrzył na mnie ze zdziwieniem, niemal z przerażeniem, poczerwieniał i zrobił krok naprzód, po czym odwrócił się, podszedł do okna i zaśmiał się.

– Ładny gips! – wymamrotał chuchając na okno i rysując na nim monogram.

Spojrzałem na jego rysującą dłoń i zdawało mi się, że rozpoznaję w niej tę samą muskularną i żelazną rękę, która potrafiła jednym uściskiem udusić śpiącego Kuźmę, rozszarpać delikatne ciało Olgi. Myśl, że stoi przede mną morderca, przepełniła moją duszę niezwykłym uczuciem przerażenia i strachu... nie o siebie – nie! lecz o niego, o tego pięknego, i zgrabnego olbrzyma... w ogóle o człowieka...

– Pan zabił! – powtórzyłem.

– Jeśli pan nie żartuje, to winszuję panu odkrycia – zaśmiał się Kamyszew wciąż nie patrząc na mnie. – Zresztą, sądząc po drzeniu pańskiego głosu i pańskiej bladości, trudno przypuścić, że pan żartuje. Ależ z pana nerwowy człowiek!

Kamyszew zwrócił ku mnie swą płonąca twarz i siląc się na uśmiech, ciągnął dalej:

– Ciekawe, skąd też przyszła panu taka myśl do głowy! Czyżbym napisał coś podobnego w swej powieści, ciekawe, Bóg mi świadkiem... Niech pan opowie, bardzo proszę. Warto choć raz w życiu doznać wrażenia, jakie odczuwa człowiek, gdy patrzy na niego jak na mordercę.

– To pan jest tym mordercą – rzekłem. – Nie potrafi pan nawet tego ukryć: nałgał pan co niemiara w swej powieści, zresztą w tej chwili też źle pan odgrywa komedię.

– A to mimo wszystko interesujące – ciekawe byłoby posłuchać, słowo daję.

– Skoro to pana ciekawi, to proszę posłuchać.

Zerwałem się z miejsca i wzburzony jałem chodzić po pokoju. Kamyszew spojrzał na drzwi i zamknął je jeszcze szczelniej. Zdradziła go ta ostrożność.

– Czego się pan boi? – zapytałem.

Zakasłał zmieszany i machnął ręką.

– Niczego się nie boję, tak po prostu... Spojrzałem tylko na drzwi. I to też wydało się panu podejrzane? No, opowiadaj pan.

– Pozwoli pan najpierw zadać sobie pytanie?

– Ile tylko pan sobie życzy.

– Uprzedzam, że sędzią śledczym nie jestem i przesłuchiwanie nie jest moją mocną stroną; niech pan nie liczy na jakiś porządek i system, proszę mnie więc nie zbijać z tropu

i nie peszyć. Przede wszystkim niech mi pan powie, dokąd pan poszedł po opuszczeniu polany na skraju lasu, gdzie miała miejsce hulanka po polowaniu?

– To jest powiedziane w powieści: do domu.

– W powieści opis pańskiego powrotu do domu jest skrzątnie pominięty. Szedł pan lasem?

– Tak.

– Czyli że mógł pan się tam spotkać z Olgą?

– Tak, mogłem – uśmiechnął się Kamyszew.

– I pan się z nią spotkał.

– Nie, nie spotkałem się.

– Podczas śledztwa zapomniał pan przesłuchać bardzo ważnego świadka, to znaczy siebie... Słyszał pan krzyk ofiary?

– Nie... Rzeczywiście, mój łaskawco, mistrzem w przesłuchiowaniu to pan nie jest...

To familiarne „mój łaskawco” zatkało mnie: nadto kłóciło się z jego początkowym zmieszaniem i nieustannym przeproszaniem. Zauważyłem niebawem, że Kamyszew przyglądał mi się pobłaźliwie, z góry i niemal rozkoszował się moją nieumiejętnością wyplątania się z masy niepokojących mnie pytań...

– Załóżmy, że nie spotkał się pan w lesie z Olgą – ciągnąłem dalej – chociaż, nawiasem mówiąc, Urbieninowi trudniej byłoby się z nią spotkać niżli panu. Urbienin bowiem nie wiedział, że ona jest w lesie, a więc nie szukał jej, pan zaś, pijany i wściekły, nie mógł jej nie szukać. Pan na pewno jej szukał – w przeciwnym wypadku nie szedłby pan do domu lasem, lecz drogą... Załóżmy jednak, że pan jej nie widział... Jak wytłumaczyć pański ponury, niemal wściekły nastrój owego feralnego dnia? Co skłoniło pana do zabicia papugi, krzyczącej o mężu, który zabił żonę? Wydaje mi się, że przypominała panu o pańskiej zbrodni... W nocy zawezwano pana do domu hrabiego i pan zamiast od razu przystąpić do pełnienia swych obowiązków, zwlekał z tym do przybycia policji, niemal kilka dni, sam tego widocznie nie zauważając... Tak postępują sędziowie śledczy, którzy wiedzą, kto jest mordercą... Pan to wiedział... Dalej – Olga nie wskazała zabójcy, gdyż była to dla niej osoba droga... Zrobiłaby to, gdyby to był jej mąż. Skoro mogła donosić na męża swemu kochankowi-hrabiemu, to co by jej szkodziło oskarżyć go o zabójstwo: nie kochała go przecież, nie był dla niej osobą drogą... Kochała pana, pan był tą drogą osobą... oszczędziła pana... Pozwoli pan jednak, że zapytam, dlaczego zwlekał pan z zadaniem jej pytania wprost, kiedy odzyskała na krótką chwilę przytomność? Dlaczego zadawał jej pan pytania nie mające nic wspólnego ze sprawą? Pozwoli mi pan, że będę zdania, iż robił pan to wszystko, by zyskać na czasie, by nie zdążyła pana wydać. Potem Olga umiera... W powieści swej nie zająknął się pan nawet o

wrażeniu, jakie wywarła na panu jej śmierć... Dopatruję się tu nieostrożności: nie zapomina pan pisać o wychylonych przez siebie kieliszkach, a tak ważne wydarzenie, jak śmierć „dziewczyny w czerwieni” pozostaje w powieści niezauważone... Dlaczego?

– Proszę mówić dalej, proszę, proszę...

– Śledztwo prowadzi pan w sposób skandaliczny... Trudno przypuszczać, by pan, człowiek mądry i nader przebiegły, robił to bez rozmysłu... Dlaczego nie dokonał pan wizji lokalnej na miejscu zbrodni? Nie dlatego, że zapomniał pan o tym albo uważał to za nieistotne, ale dlatego, że czekał pan, aż deszcz rozmyje pańskie ślady. Prawie nic nie pisze pan o przesłuchaniach służby, a więc Kuźmy nie przesłuchał pan do chwili, gdy zastano go przy praniu kapoty... Nie zależało widać panu na wplątywaniu go w tę sprawę. Dlaczego nie przesłuchał pan gości, którzy ucztowali z panem na skraju lasu? Widzieli zakrwawionego Urbienina i słyszeli krzyk Olgi – należało ich przesłuchać. Ale pan tego nie zrobił, bo przynajmniej jeden z nich mógłby sobie przypomnieć podczas przesłuchania, że wkrótce przed zabójstwem udał się pan do lasu i zniknął. Później prawdopodobnie ich przesłuchiowano, ale nikt już o tym nie pamiętał...

– Nieźle! – zawołał Kamyszew zacierając ręce – mów pan dalej, mów pan dalej!

– Nie wystarczy panu to, co już powiedziałem?... A oto koronny dowód, że pan zabił Olgę: był pan przecież jej kochankiem, kochankiem, porzuconym dla człowieka, którym pan gardził!... Mąż może zabić z zazdrości, kochanek, jak sądzę, również... Przejdźmy zatem do Kuźmy... Sądząc po ostatnim przesłuchaniu w przeddzień jego śmierci, to pana miał na myśli; to pan wytarł ręce o jego kapotę, pan go nazwał bydlakiem... Jeśli nie pan, to dlaczego zaniechał pan przesłuchania w najciekawszym momencie? Dlaczego nie zapytał pan o kolor krawata zabójcy, kiedy Kuźma oświadczył, że sobie przypominał, jakiego koloru był ten krawat? Dlaczego pozwolił pan Urbieninowi poruszać się swobodnie po areszcie właśnie wtedy, kiedy Kuźma przypominał sobie nazwisko zabójcy? Dlaczego nie wcześniej i nie później? Widocznie chciał pan zwalić na kogoś winę, potrzebny był panu ktoś, kto by chodził w nocy po korytarzu... A więc zabił pan Kuźmę, bo się pan bał, że wsypie pana.

– No, dość już tego! – rzekł Kamyszew ze śmiechem – starczy! Tak się pan podniecił i tak zbladł, że gotów pan jeszcze zemdleć. Niech się pan już nie fatyguje. Rzeczywiście, ma pan rację: to ja zabiłem!

Zaległo milczenie. Przeszedłem się z kąta w kąt. Kamyszew zrobił to samo.

– Ja zabiłem – ciągnął Kamyszew – trafił pan w dziesiątkę, pańskie szczęście. Rzadko komu udaje się to: większość pańskich czytelników będzie złorzeczyć na starego Urbienina i podziwiać moje talenty śledcze.

Do mego gabinetu wszedł jeden z redaktorów, przerywając naszą rozmowę. Spostrzegłszy, że jestem zajęty i wzburzony, pokręcił się koło mego biurka, z

zaciekawieniem przyjrzał się Kamyszewowi i wyszedł. Po jego odejściu Kamyszew zbliżył się do okna i zaczął chuchać na szybę.

– Od owego czasu minęło już osiem lat – zaczął po chwili milczenia. – Przez te osiem lat nosiłem w sobie tajemnicę. Ale tajemnica i żywa krew w organizmie są nie do pogodzenia; nie można bezkarnie ukrywać tego, o czym nie wiedzą inni. Przez osiem lat byłem męczennikiem. Nie sumienie mnie dręczyło, nie! Sumienie – swoją drogą... zresztą nie przejmuję się nim zbytnio: można je doskonale stłumić rozważaniami o jego elastyczności. Kiedy rozsądek odmawia mi posłuszeństwa, uśmierzam wyrzuty pićm i kobietami. U kobiet mam powodzenie jak dawniej – to *à propos*. Męczyło mnie co innego: cały czas wydawało mi się dziwne, że ludzie patrzą na mnie jak na zwykłego człowieka; ani jedna żywa dusza przez te osiem lat nie przyjrzała mi się uważnie; wydawało mi się dziwne, że nie muszę się ukrywać; noszę w sobie straszną tajemnicę i chodzę po ulicach, bywam na proszonych obiadach, emabluję kobiety! Dla człowieka, który popełnił zbrodnię, taka sytuacja jest nienaturalna i męcząca. Nie męczyłbym się, gdybym nie musiał się ukrywać i czegoś taić. Psychoza jakaś, mój łaskawco! W końcu owładnęło mną jakieś szaleństwo. Zapragnąłem nagle zwierzyć się komuś: pluć wszystkim w oczy, wygarnąć wszystkim tę moją tajemnicę... zrobić coś takiego... niezwykłego... I oto napisałem tę powieść, z której tylko człowiek ograniczony nie dowie się prawdy... Z każdej stronicy... Nieprawdaż? Pan to od razu zrozumiał... Pisałem ją z myślą o przeciętnym czytelniku...

Znowu nam przeszkodzono. Wszedł Andrzej i przyniósł na tacy dwie szklanki herbaty... Odprawiłem go czym prędzej...

– I teraz jakby mi ulżyło – uśmiechnął się Kamyszew – patrzy pan teraz na mnie jak na kogoś niezwykłego, jak na człowieka, który nosi w sobie tajemnicę, toteż czuję się z tym dobrze... Ale... dochodzi już trzecia, czekają na mnie w dorożce...

– Chwileczkę, niech pan położy czapkę... Opowiedział mi pan o tym co skłoniło pana do napisania powieści, niechże mi pan teraz powie: w jaki sposób dokonał pan zabójstwa?

– Ma to być suplement do tego, co pan przeczytał? Proszę uprzejmie... Zabiłem pod wpływem afektu. Teraz pije się i pali również pod wpływem afektu. Pan też w podnieceniu chwycił moją szklankę zamiast swojej i pali pan więcej niż zwykle... Życie jest nieprzerwanym łańcuchem afektów... tak mi się przynajmniej wydaje... Kiedy szedłem przez las, byłem daleki od myśli o zabójstwie; szedłem mając jeden tylko cel: odszukać Olgę, aby jej w dalszym ciągu dokuczać... Kiedy jestem pijany, mam zawsze ochotę komuś dokuczać... Spotkałem ją o jakieś dwieście kroków od skraju lasu... Stała pod drzewem i patrzyła w zadumie na niebo. Zawołałem ją po imieniu... Ujrzawszy mnie, uśmiechnęła się i wyciągnęła do mnie rękę...

– Nie dokuczaj mi, jestem bardzo nieszczęśliwa – rzekła.

Była tak piękna tego wieczoru, że odurzony alkoholem, zapomniałem o wszystkim na świecie i wziąłem ją w objęcia... Jęła przysięgać, że nigdy nie kochała nikogo poza mną... i tak było naprawdę: kochała mnie. I wśród najgorętszych zaklęć miłosnych, nieopatrnie zawołała nagle: „Jaka ja jestem nieszczęśliwa! Gdybym nie wyszła za Urbienina, mogłabym teraz wyjść za hrabiego!” Słowa te podziałały na mnie jak ceber zimnej wody... Wszystko, co się dotąd zbierało w mej piersi, teraz nagle zawrzało... Schwyciłem to małe, wstrętne stworzenie za ramię i rzuciłem o ziemię, jak się rzuca piłkę... Gniew mój osiągnął szczyt... No... i zabiłem ją... Historia z Kuźmą jest chyba dla pana jasna...

Spojrzałem na Kamyszewa. Na jego twarzy nie wyczytałem ani skruchy, ani żalu. „No... i zabiłem – słowa te były wypowiedziane tak niefrasobliwe, jak na przykład: „No i zapaliłem sobie.” Ogarnęło mnie uczucie gniewu i odrazy... Odwróciłem się.

– A Urbienin jest tam, na katordze?

– Tak... Powiadają, że umarł w drodze, ale nie wiadomo jeszcze na pewno... A bo co?

– A bo co... Człowiek cierpi niewinnie, a pan pyta: „A bo co?”

– A cóż ja mogę na to poradzić? Iść i przyznać się?

– Choćby nawet.

– Powiedzmy, że pójdę... Mógłbym się znaleźć na jego miejscu, oczywiście, ale bez walki się nie poddam, sam do nich nie pójdę. Dlaczego mnie nie wzięli, kiedy byłem w ich rękach? Na pogrzebie Olgi tak ryczałem i wpadłem w taką histerię, że nawet ślepy mógłby dojść prawdy... To nie moja wina, że oni... są głupcami!

– Brzydę się panem – rzekłem.

– To zupełnie naturalne... Ja się też sobą brzydę...

Zaległa chwila milczenia... Otworzyłem książkę rachunkową i jałem machinalnie przeglądać rubryki. Kamyszew sięgnął po kapelusz.

– Zdaje się, że panu jest duszno, to chyba przeze mnie – powiedział. – Nie chciałby pan przy sposobności zobaczyć hrabiego Karniejewa? O, siedzi tam, w dorożce!

Podszedłem do okna i wyjrzałem... W dorożce, tyłem do nas siedziała mała, zgarbiona postać w zniszczonym kapeluszu i wytartym kołnierzyku. Trudno było w nim rozpoznać uczestnika dramatu!

– Dowiedziałem się, że syn Urbienina mieszka tu w Moskwie, w hotelu Andriejewa – rzekł Kamyszew. – Chcę doprowadzić do tego, żeby hrabia przyjął od niego jakmużnę... Niech przynajmniej w ten sposób zostanie ukarany! Ale czas na mnie, *adieu!*

Kamyszew kiwnął głową i wyszedł szybkim krokiem. Usiadłem przy biurku i

pogrzeżyłem się w gorzkich rozmyślaniach.

Było mi duszno.

Kto ma świadomość winy, zawsze szuka usprawiedliwienia w okolicznościach zewnętrznych.

Psycholog nie jest obowiązany rozumieć, czego nie rozumie. Co więcej, psycholog nie jest obowiązany udawać, że rozumie coś, czego nie rozumie nikt. Nie blagujmy, powiedzmy wprost, że na tym świecie nic nie rozumiemy. Wszystko wiedzą i wszystko rozumieją tylko głupcy i blagierzy.

Kiedy piszę, ufam bez reszty czytelnikowi zakładając, że uzupełni on sam brakujące w opowiadaniu elementy subiektywne.

Antoni Czechow, *Aforyzmy*, Warszawa 1975

POSŁOWIE

„...oprócz powieści, wierszy i donosów wszystkiego próbowałem” – wyznał Czechow Pleszczejewowi w jednym ze swych listów z roku 1889, zatajając fakt, iż pięć lat wcześniej napisał był właśnie powieść – *Dramat na polowaniu*. Zatajając, czy też raczej nie chcąc o niej pamiętać. Wyznanie to w ustach Czechowa jest dość niezwykle, jak dość niezwykle jest los tego utworu otoczonego zagadkowym milczeniem autora, który nigdy i nigdzie się o nim nie zająknął, pragnąc jakby wymazać go całkowicie ze swej pamięci i przeszłości pisarskiej. Niewiele też o nim wiemy. Tyle tylko, że powieść ukazała się w odcinkach w gazecie „Nowości Dnia” („Nowosti dnia”) Abrama Lipskierowa, przy czym w odstępach nader nieregularnych, w ciągu kilku miesięcy: pierwszy odcinek pojawił się w sierpniu 1884 roku, ostatni 25 kwietnia roku następnego. Nie był przy tym *Dramat na polowaniu* pisany fragmentami, „kawałkami”, lecz został dostarczony redakcji w całości, co potwierdza w swym wspomnieniu A. Aleksiejew, jeden z ówczesnych współpracowników gazety:

„Już jako pisarz rokujący duże nadzieje, choć zmuszony do pisania dla małych pisemek za maksimum pięć kopiejek od wiersza Czechow odsprzedał hurtem powieść *Dramat na polowaniu*. Pokażną objętościowo, napisaną drobnym, misternym charakterem pisma oddał ją niemal w całości, zastrzegając, iż na wypadek cięć cenzury ma jeszcze w zanadru spory zapas materiału.”

I tak oto 28 lipca 1884 roku gazeta „Nowości Dnia” poinformowała swych czytelników, że „od następnej soboty rozpoczyna druk powieści *Dramat na polowaniu*, utworu Antoszy Czechonte”. „Nowości Dnia” specjalizowały się w powieściach sensacyjno-kryminalnych serwując je często-gęsto swym niezbyt wybrednym czytelnikom. To właśnie w dziale literackim gazety ukazywała się systematycznie „produkcja” domorosłych i obcych autorów „czarnych serii” powieściowych o frapujących tytułach: *Zły duch* (W. Prochorowa), *Czarna banda* (Labouriera), *Krew za krew* (A. Czumaka), *Zagadkowe morderstwo albo „sprawa Bazarowa”* (V. Rivala – pseudonim W. Prochorowa), *Bratobójca* (Markiza Toujours-Partout alias A. Gillina), *Woskowa kobieta (ze wspomnień detektywa)* bez podpisu, *Współczesny dramat* – podpisany Niebieskie Domino alias A. Sokołow, itd., itd.

Tę bulwarową literaturę, nader popularną w Rosji w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, Czechow tak scharakteryzował w numerze 22 „Odprysków moskiewskiego życia” za rok 1884, czyli w dziale specjalnie stworzonym dla niego przez Lejkina w wydawanych przezeń „Odpryskach” („Oszołki”), jednym z „najpoważniejszych”, by tak rzec, ówczesnych tygodników humorystycznych:

„Gazety nasze dzielą się na dwa obozy: jedne straszą czytelników artykułami wstępnymi, inne powieściami. Są i były na tym świecie rzeczy straszne, poczynając od Polifema, a kończąc na liberalnych cyrkułowych, lecz takich straszdeł (mówię o powieściach, jakimi częstują teraz publiczność nasi moskiewscy papierozercy, w rodzaju Złych Duchów, Domin Wszelkich Kolorów i temu podobnych), jeszcze nigdy nie było... Czytasz, człowieku, i oczom nie wierzysz. Strach pomyśleć, że istnieją takie upiorne mózgi, z których wypełzną mogą owi potworni *Ojcobójcy*, *Dramaty* itd. Morderstwa, ludożerstwa, milionowe przegrane, zjawy, fałszywi hrabiowie, ruiny zamków, sowy, szkielety, lunatycy... diabli wiedzą czego tylko nie ma w tych fantazjach zniewolonej i pijackiej myśli (...) Straszna fabuła, straszne postacie, straszna logika i składnia, ale najstraszniejsza jest nieznanomość życia...”

Ta unicestwiająca charakterystyka ówczesnych pism brukowych obejmowała, rzecz jasna, także „Nowości Dnia”, które Czechow przechrzczył na własny użytek na „Plugastwa Dnia”. Przystał na propozycję Lipskierowa opublikowania swej powieści zapewne nie bez wahania i oporów, co wyraźnie widać z jednego z jego listów do Lejkina: „Otrzymałem – pisał 27 czerwca 1883 roku – propozycję od «Nowości Dnia» (...) Zdaje się, że uśmieją się tylko zecerzy i cenzor, zaś przed czytelnikami będę musiał uciekać, gdzie pieprz rośnie.”

Trudno rzec, czy „uśmiali się tylko zecerzy i cenzorzy”, ale wiadomo na pewno, że zadrwiła z młodego autora kasa redakcyjna „Nowości Dnia”. Honorariów podówczas nie otrzymywało się zresztą ot tak, po prostu. „Wydębiało się” je, co okazywało się niekiedy rzeczą wcale niełatwą. Żeby je zaś „wydębić”, trzeba było zedrzeć niejedną parę zelówek. Wiecznie zajętego Czechowa wyręczał w tym niewdzięcznym zadaniu młodszy brat Michał, który „wydębiał” z redakcji honoraria Antoniego, opatrzony przezeń następującym upoważnieniem:

„Zaświadczenie lekarskie

Wydane studentowi Cesarskiego Uniwersytetu Moskiewskiego Michałowi Pawłowiczowi Czechowowi, lat dwadzieścia, wiary prawosławnej, stwierdzające, iż od roku 1865 jest moim rodzonym bratem, i upoważniony został przeze mnie do pobierania w redakcjach, z którymi współpracuję, takiej ilości pieniędzy, jaka mu będzie potrzebna, co własnoręcznym podpisem i przyłożoną pieczętką niniejszym potwierdzam.

(–) Lekarz A. Czechow.”

„Z tym zaświadczeniem lekarskim – wspomina Michał Czechow – udałem się po honorarium dla brata do «Nowości Dnia». Ach, były to dla mnie dni ciężkiej próby! Przychodzę do redakcji, czekam i czekam, aż sprzedawcy gazet przyniosą utarg dzienny.

– Na co pan czeka? – pyta w końcu wydawca.

– Na trzy ruble, które mi się należą.

– Nie mam. A może chciałby pan bilet do teatru albo nowe spodnie? Zgoda? No to niech pan pójdzie do krawca Arontrichera i weźmie u niego spodnie na mój rachunek.”

A jednak Czechow oddał swoją pierwszą i ostatnią powieść na pastwę pisma, które nie dość, że nie płaciło zbyt wiele i regularnie, lecz poczyniło sobie z cudzymi tekstami, jak mu się żywnie podobało: skracało, dodawało, usuwało to i owo wedle własnego gustu i uznania. Napomyka o tym wyraźnie Czechow w epilogu *Dramatu na polowaniu*: „Muszę uprzedzić, że obietnicy danej czytelnikom na początku powieści nie dotrzymano. Powieść Kamyszewa (bohatera, narratora i zarazem fikcyjnego autora powieści – R. S.) wydrukowano nie bez opuszczeń, nie *in toto*, jak to obiecywałem, lecz ze znacznymi skrótami... Redakcja, dając powieści schronienie, nie uznała za możliwe wydrukować ją bez cięć. Za każdym razem podczas druku przysyłano mi korektę poszczególnych rozdziałów z prośbą o przeróbkę. Nie chciałem obciążać swego sumienia zmieniając cudzy tekst i uznałem za stosowne i pożądane raczej opuszczać budzące zastrzeżenia miejsca, niżli je zmieniać. Za moją zgodą redakcja opuściła wiele fragmentów szokujących swym cynizmem, dłużyznami i niechlujstwem... Opustki te i cięcia wymagały ostrożności i czasu – oto dlaczego wiele rozdziałów pojawiło się z opóźnieniem.”

Dalej Czechow wylicza, jakie partie tekstu zostały usunięte: szereg spotkań bohaterki z narratorem, opis nocnych orgii u hrabiego, przyjaciela narratora, długi, szczegółowy opis biblioteki jego służącego itd. W wyniku osobliwej „współpracy” z redakcją powstał utwór przedziwny, swoisty konglomerat znakomitego materiału literackiego nie poddającego się gatunkowemu zaszufadkowaniu, epatującego efektami (tajemnicze morderstwo) obcymi przecież smakowi literackiemu Czechowa, który tym razem poszedł widać na daleko idące ustępstwa i był tego najwyraźniej świadom. Nic przeto dziwnego, że wołał o *Dramacie na polowaniu* zapomnieć. A przecież utwór to mimo wszystko fascynujący w lekturze, a przy tym zagadkowy – i w swej genezie, i w samej formie, co do której historycy literatury i krytycy nie są jednomyślni. W istocie *Dramat na polowaniu* nie poddaje się jednoznacznej ocenie i klasyfikacji.

Niewątpliwie wyrósł on z zamiłowania Czechowa do parodii, któremu to zamiłowaniu dał upust w najwcześniejszych swych utworach już jako student, w takich miniaturach jak *Prace wakacyjne Nadi N.*, *pensjonarki* (parodia wypracowań uczniowskich), *Tysiąc i jedna namiętność* (parodia Wiktora Hugo, a raczej jego rosyjskich naśladowców), *Tatuńcio*, *Mój jubileusz* i wielu innych. Poczytywany za debiut Czechowa *List do uczonego sąsiada* także stanowił komiczną trawestację gatunków epistolarnych. W okresie zaś, kiedy powstawał *Dramat na polowaniu*, nader modne stały się w Rosji parodie powieści kryminalnych i melodramatów. Powieść Czechowa ma podtytuł *Z notatek sędziego śledczego* i poczytywana była przez krytyków radzieckich lat trzydziestych za parodię romansu kryminalnego, skrzyżowanie parodii takowego z melodramatem. Jeden z ówczesnych badaczy puścizny Czechowa Abram Derman skwitował powieść wręcz lekceważącym zdaniem, wytykając jej „nader urągających dobremu smakowi stronic”.

Aleksander Amfitieatrow uważał, iż obiektem parodii Czechowa był twórca francuskiej powieści kryminalnej Emil Gaboriau (1835–1873) i jego rosyjscy naśladowcy, przede wszystkim A. A. Szklariewski, zwany „rosyjskim Gaboriau”.

Emil Gaboriau był w istocie autorem nader popularnym w Rosji, na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przełożono sporo powieści, między innymi *Pana Lecoq (Monsieur Lecoq)*, *Sprawa nr 113 (Dossier nr 113)*, *Morderstwo pani Lerouge (L'affaire Lerouge)* i inne. Nazwiska detektywa Lecoqa, bohatera powieści Gaboriau, jak i jego twórcy, padają już na samym początku *Dramatu na polowaniu*, co prawda w kontekście lekceważąco ironicznym („...nasza nieszczęsna publiczność dawno zaspokoili swój apetyt i już ją mdli od Gaboriau i Szklariewskiego” – mówi redaktor (alias Czechow?) do kandydata na pisarza; „Mój miły Lecoq” – zwraca się żartobliwie hrabia Karniejew w liście do swego przyjaciela sędziego śledczego). Rzecz nie tylko w owych wzmiankach. Pewne podobieństwa między *Dramatem na polowaniu* a *Morderstwem pani Lerouge* rzucają się w oczy: i tu, i tam przedstawiciele prawa występują jako mordercy i ofiary namiętności – u Gaboriau jest nim adwokat, u Czechowa sędzia śledczy. I tu, i tam świat utytułowanych, dobrze urodzonych ociera się o zbrodnie i zbrodniarzy, w ten czy inny sposób pośrednicząc i bezpośrednio lub pośrednio biorąc udział w różnych niegodziwościach. Są to jednak, jak się zdaje, zbieżności czysto incydentalne, przypadkowe. U Gaboriau owi *bene nati* – to postaci schematyczne, papierowe, zaś sytuacje, w których je autor umieszcza – wykoncypowane, rodem z tanich melodramatów bulwarowych, mieszczą się w konwencji rodzącego się właśnie kryminału. Mają przede wszystkim zafrapować czytelnika, nie pozwolić mu oderwać się od atrakcyjnej, obfitującej w niespodziewane zwroty (zamiana dzieci – płodu grzesznej miłości, do której to zamiany ostatecznie nie dochodzi, co zmienia radykalnie bieg wydarzeń i los bohaterów itd., itd.) fabuły, zaintrygować zagadką kryminalną, jej nieoczekiwanymi komplikacjami i niespodziewanym rozwiązaniem. Obowiązuje je jedynie logika owej zagadki, nic ponadto.

Parodiowanie tego typu literatury byłoby zbyt łatwe. Czechow odgradza się od niej paroma replikami, jak widzieliśmy już na samym początku. I to wszystko. Jego postacie nie są wytworem spekulacji pisarskiej obliczonej wyłącznie na uatrakcyjnienie lektury za każdą cenę, kosztem prawdopodobieństwa, realiów, prawdy psychologiczno-społecznej. Bohaterów swych osadza w konkretnej rzeczywistości społecznej, czyniąc ich pełnokrwistymi postaciami, a nie marionetkami podporządkowanymi regułom gry rządzącym jedynie w wyimaginowanym świecie zbrodni i namiętności. Motywacja psychologiczna ich postępów jest ściśle i logicznie uzasadniona i równie ważka jak i samo przestępstwo i perypetie związane ze śledztwem. (W *Dramacie na polowaniu* zajmują jednak one zaledwie piątą część tekstu.) Jak trafnie zauważył niedawno jeden z badaczy tego utworu, I. Wukołow, „Czechow usiłuje dotrzeć do filozoficznych, społecznych i moralnych źródeł zbrodni. I, co jest nader istotne, nie odgradza on zbrodniarza od społeczeństwa, które go zrodziło, które dlatego właśnie nie chce zauważyć zbrodni Kamyszewa, że jest związane z nim mocnymi więzami krwi.”

Takie założenie ideowe powieści pociągnęło za sobą konsekwencje natury fabularnej. W klasycznym kryminale zbrodniarz zostaje ukarany, sprawiedliwości staje się zadość. W *Dramacie na polowaniu* wędruje na katorgę człowiek Bogu ducha winny, ofiara. I autor nie daje nam żadnej nadziei, by właściwy zbrodniarz miał być kiedykolwiek ukarany, rozliczony w jakiejkolwiek formie. Końcowa scena rozmowy-zwierzenia Kamyszewa z redaktorem ma wymowę jednoznaczną, nie pozostawia ani cienia wątpliwości:

„Spojrzałem na Kamyszewa. Na jego twarzy nie wyczytałem ani skruchy, ani żalu. «No... i zabiłem» – słowa te były wypowiedziane tak niefrasobliwie, jak na przykład: «No i zapaliłem sobie». Ogarnęło mnie uczucie gniewu i odrazy... Odwróciłem się.

– A Urbienin jest tam, na katordze?

– Tak... Powiadają, że umarł po drodze, ale nie wiadomo jeszcze na pewno... A bo co?

– A bo co... Człowiek cierpi niewinnie, a pan pyta: «A bo co?»

– A cóż ja mogę na to poradzić? Iść i przyznać się?

– Choćby nawet.

– Powiedzmy, że pójdę... Mógłbym się znaleźć na jego miejscu, oczywiście, ale bez walki się nie poddam, sam do nich nie pójdę. Dlaczego mnie nie wzięli, kiedy byłem w ich rękach? Na pogrzebie Olgi tak ryczałem i wpadłem w taką histerię, że nawet ślepy mógłby dojść prawdy... To nie moja wina, że oni... są głupcami!”

Tego rodzaju rozwiązanie sytuacji skrajnych każe myśleć o Dostojewskim, z którym Czechow zdaje się tu polemizować. U Dostojewskiego zbrodnia musi być w taki czy inny sposób okupiona, choćby poprzez ekspiację, Czechow zaś nie łudzi czytelnika: żadne oczyszczenie nie nastąpi. Bo trudno za ekspiację uznać spowiedź zbrodniarza – autora. Pozostanie więc jedynie zbrodnia bez kary. Spowiedź bez pokuty i chęci odkupienia grzechu. Triumfuje przewrotność i przebiegłość. Samoobnażanie się, popisywanie wręcz własną nikczemnością, nie prowadzą do odrodzenia moralnego. Jest to więc Dostojewski *à rebours*, przewrotny, niejednoznaczny.

Sytuacji rodem z Dostojewskiego jest w *Dramacie na polowaniu* więcej. Także niektóre postaci, choćby Kamyszew – ten kłębek namiętności, natura naszpikowana sprzecznościami, pełen zawilości emocjonalnych, czyniący zło bezwiednie czy lekarz powiatowy Wozniesieński – jego jawne przeciwieństwo – człowiek zgoła anielskiej dobroci, kryształowo czysty, gotów przyjść każdemu z pomocą, potrafiący kochać nawet wtedy, gdy zostaje odepchnięty, każą myśleć o autorze *Idioty*.

Georgij Bierdnikow skłonny jest dopatrywać się nawet w *Dramacie na polowaniu* pewnych elementów parodii typów i sytuacji czy opisów charakterystycznych dla wielkiego znawcy duszy rosyjskiej, by dojść do wniosku, że „podejście Czechowa do

sytuacji zawiłych, jakby absurdalnych sprowadza się do tego, by je rozwikłać, usunąć z nich wszelkie zagadkowe i irracjonalne nawarstwienia, wytłumaczyć je właściwościami charakteru i okolicznościami”. Spostrzeżenie to niewątpliwie ciekawe, choć, jak się zdaje, młody autor nie tylko może parodiował, co raczej parafrazował mistrza z taką przenikliwością penetrującego tajniki ludzkiej patologii.

Sprawami tymi Czechow interesował się jako pisarz i jako lekarz. Fascynowała go psychiatria, niejednokrotnie o tym wspominał. „Niezmiennie pociągają mnie wszelkie dewiacje tak zwanej duszy – wyznał pisarzowi i krytykowi Hieronimowi Jasińskiemu. – Gdybym nie był pisarzem, prawdopodobnie zostałbym psychiatrą.” „Jeśli Pani chce zostać dobrą pisarką – radzi Tatianie Szczepkinej-Kupernik – niech Pani studiuje psychiatrię – to rzecz konieczna.” Podczas studiów Czechow nie miał okazji zetknąć się z tymi sprawami. Samodzielna katedra psychiatrii powstała na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Moskiewskiego w roku 1887, zaś pierwszy podręcznik psychiatrii – *Kurs psychiatrii* Sergiusza Korsakowa – ukazał się dopiero w roku 1893. Chcąc zapełnić tę lukę w swym wykształceniu Czechow szukał gdzie się dało odpowiednich materiałów z tego zakresu. *Dramat na polowaniu* stanowi fascynujący przyczynek do tych właśnie poszukiwań przetworzonych pod jego piórem w powieść kryminalną.

Epilog owych „dewiacji”, o których wspominał Czechow, rozgrywał się często na salach sądowych. Młody Czechow spędził w nich *volens nolens* sporo czasu z obowiązku dziennikarskiego. Najpierw na długotrwałej sprawie Rykowa, kupca, burmistrza i dyrektora banku w mieście Skopinie, sądanego za nadużycia finansowe, która toczyła się w Moskwie w 1884 roku. Stąd wzięły się jego reportaże z przebiegu tej rozprawy drukowane w „Gazecie Petersburskiej”. O zainteresowaniu Czechowa sprawami kryminalnymi mówi też sporo jego korespondencja, z której widać, jak bacznie śledził procesy sądowe, na przykład byłego policjanta Mironowicza, zabójcy młodej Sary Becker; drobnego urzędnika kasy pożyczkowej i właściciela ziemskiego z Ufy, który zgładził świadka zbrodni, niejaką Szerszawiną; kupca Waliano, zamieszanego w aferę sprzeniewierzenia w taganroskiej komorze celnej; Aleksandry Maksymienko, sądzonej w Rostowie nad Donem za otrucie swego męża itd., itd. Świadczenia zainteresowania Czechowa sprawami kryminalnymi można by mnożyć. Z jego listów wynika, że sięgał też do prac specjalistycznych z zakresu sądownictwa, miał między innymi w ręku wydaną w Moskwie w 1888 roku książkę *Krasomówstwo sądowe we Francji*, a tuż przed swym wyjazdem na Sachalin sięgnął do wykładów prawa kryminalnego, które właśnie wkuwał jego młodszy brat Michał, student wydziału prawa. Osobliwe doświadczenia w tym zakresie przyniesie mu już później podróż na Sachalin i związane z nią prace. Zainteresowanie Czechowa sprawami kryminalnymi znalazło też wyraz w jego prozie, choćby w wybornej, przezabawnej parodii powieści kryminalnej powstałej w tym samym mniej więcej czasie co *Dramat na polowaniu* – w *Szwedzkiej zapałce*, w takich opowiadaniach, jak *Sąd*, *Wypadek z praktyki sądowej*, *Senność*, *Katastrofa* itd. Jakaż w nich różnorodność tonu narracyjnego! Ileż wariantów spraw, problemów!

Dramat na polowaniu nie był więc w twórczości Czechowa czymś odosobnionym, jakby się to na pierwszy rzut oka mogło zdawać. Wyjątkowy był tylko los tej powieści, tak po macoszemu potraktowanej i przez redakcję, i przez autora.

A także po latach przez polskiego tłumacza, który poddając *Dramat na polowaniu* niemiłosiernym amputacjom, usuwając z powieści pełne uroku opisy pejzażu, po których – jak zauważył jeden z pierwszych monografistów Czechowa Aleksander Izmańłow – poznać można już „jednego z najgłębszych i najsubtelniejszych naszych liryków w prozie” pozbawiając ją tak istotnych warstw i elementów obyczajowych, charakterystyk psychologicznych poszczególnych postaci itd. Nie widać było w tamtej polskiej „wersji” *Dramatu na polowaniu* – by się jeszcze raz posłużyć słowami Izmańłowa – „owego małego orlątko, wpuszczonego do kurnika ze związanymi skrzydłami, które już wtedy bystrością oka i siłą krzyku dawało odczuć tym, co mieli uszy i oczy otwarte, królewskość swego pochodzenia”.